

Małgorzata Garkowska

SPOTKAMY SIĘ
PRZYPADKIEM



Małgorzata Garkowska

SPOTKAMY SIĘ
PRZYPADKIEM

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Małgorzata Garkowska
Spotkamy się przypadkiem

ISBN 978-83-8116-314-9

Copyright © by Małgorzata Garkowska, 2018
All rights reserved

Redakcja
Monika Simińska

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna M. Damasiewicz

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

* * *

1

2

3

4

5

6

7

8

9

* * *

* * *

To będzie chyba najtrudniejsza rozmowa w całym moim dotychczasowym życiu. Nie tylko muszę, ale przede wszystkim chcę ją przeprowadzić. Egzaminy maturalne, które zdawaliśmy kilka dni temu, to przy tym pestka, jakbyśmy jeszcze byli jedynie rozkrzyczanymi dzieciakami. Prawdziwa dojrzałość zaczyna się dla nas właśnie teraz, kiedy mamy podjąć tyle niepokojąco ważnych decyzji. Jednak przede wszystkim powinniśmy przejść przez wszystko razem. Staje się to dla mnie jasne w momencie, kiedy na blacie stołu, rozdzielającym nas niczym mur, łąduje jasny prostokąt karteczki z wynikami badań krwi. Kiedy go kładzie, jej palce wyraźnie drżą.

— Jakiś ósmy tydzień — oznajmia. Głos ma przesycony niezrozumiałą dla mnie niewypowiedzianą pretensją.

Patrzę na moją dziewczynę, poszukując zmian, jakie mogły zajść za sprawą nowej, rozwijającej się w niej istoty. Ale ona wygląda tak samo pięknie jak zawsze. Miedziane, poprzetykane złotymi refleksami pierścionki włosów połyskują w letnim słońcu, które wraz z natarczywym świergotem ptaków wdziera się do pokoju przez przysłonięte lekką zasłoną półotwarte okno. Badam wzrokiem jej bledszą niż zwykle twarz. Piegi są jak odpryski światła na mleczonej skórze. Moje wargi mimowolnie układają się w uśmiech na wspomnienie jej wspaniałego ciała, w całości pokrytego miodowymi drobinkami niczym pocałunkami. Tak bardzo chciałbym teraz dotknąć jej policzka, ale bije od niej nieznana mi dotąd rezerwa. Powstrzymuję gest. Zamiast tego układam dłonie obok karteluszka z laboratorium.

— Dlaczego się śmiejesz? — teraz nie pyta, tylko oskarża.

Zaskakuje mnie jej ton. To już nie rezerwa, którą wyczuwam od progę, ale wrogość. Co się wydarzyło przez ten tydzień, kiedy się nie widzieliśmy? Nie wyjaśniła mi nic więcej poza tym, że potrzebuje przerwy i odpoczynku. Pojechała z Kaśką na działkę babki, nad jezioro, a ja nie umiałem sobie znaleźć miejsca, wyczekując jej powrotu. Mam wrażenie, że wróciła z jakąś decyzją. Jest twarda i nieustępliwa. Zupełnie inna niż dziewczyna, którą — wydawało się — dobrze znałem.

— Cieszę się. — Próbuję znaleźć właściwe słowa. — Naprawdę. Jakoś to przecież pogodzimy z moimi studiami. I z twoimi też — dodaję szybko, żeby nie nabrała przekonania, że myślę jedynie o sobie.

— Co? — syczy. — Pogodzimy? Czy ty słyszysz, co mówisz? Czy ty nie rozumiesz?

Wstaję i obchodzę stół. Chcę ją objąć, ale mnie odpycha. Rzeczywiście nie pojmuję, dlaczego unika bliskości. Od wejścia. Nie dała się pocałować, a teraz to.

— Nie złość się, kochanie — próbuję. — Powiedziałem coś nie tak?

— Oczywiście. Nic nie rozumiesz. Nie chcę teraz pakować się w pieluchy.

Mamy tyle planów — tłumaczy niby spokojnie, ale głos jej drży. — Ty w ogóle widziałeś małe dziecko z bliska?

— Przecież nie będziesz sama. Jak będzie trzeba, to pójde do pracy, choć jestem pewien, że moi rodzice pomogą nam finansowo — deklaruje w ciemno. — I przy dziecku też pomogą. Nie martw się, kochanie, ja naprawdę bardzo się cieszę — zapewniam, ale to chyba za mało, bo moja ukochana ucieka spojrzeniem.

— Ale ja nie chcę. Nie teraz. Nie jestem gotowa. — W rytm zdań kręci głową, jej rude loki podskakują jak sprężynki.

— Poradzimy sobie. Razem. Uwierz mi. — Staram się brzmieć pewnie, nie jestem jednak przekonany, czy nie wypada to żałośnie. — Chyba już za późno na niechcenie? — Stawiam na mały żart.

— Jeszcze nie jest za późno. — Rzeczowy ton powrócił. Widzę, jak zaciska pięści, jakby szykowała się do walki. — Kaśka dowiedziała się, gdzie można to zrobić i ile kosztuje. Ewka była tam w zeszłym roku. Zapłacisz? Pójdiesz ze mną? — kończy prosząco, płaczliwie, wysokim, piskliwym głosem.

W oczach ma łzy, a ja gubię się całkowicie i dłuższą chwilę zajmuje mi zorientowanie się, o czym ona właściwie mówi. Cofam się o krok i opieram plecami o ścianę. Szukam bezpieczeństwa. Świat wokół mnie właśnie się wali. Złość przybywa niespodziewanie i zalewa mnie wyniszczającą falą.

— Co? Co chcesz zrobić? — krzyczę, rozpaczliwie łapiąc powietrze, bo coś ściska moje gardło. — Nie zabijesz mojego dziecka — to dla odmiany szepczę, bo same te słowa są zbyt straszne i nie chcę ich słyszeć.

— Nie masz nic do powiedzenia. Nic! Już zdecydowałam! Nie będę sobie teraz niszczyć życia! — wrzeszczy. — To nie ty jesteś w ciąży!

Jest wściekła. W furii zrywa się z krzesła, rusza do wyjścia.

Mija mnie, nie zaszczyciwszy ani jednym spojrzeniem, a ja stoję jak sparaliżowany. Kiedy udaje mi się wyrwać z niemocy, biegnę za nią do przedpokoju. Sytuacja jest tym bardziej absurdalna, że to jej mieszkanie. Nie mogę pozwolić, żeby wyszła.

A jednak się myliłem. To nie ona chce wybiec na zewnątrz. To ja mam opuścić to miejsce. Jej miejsce. Otworzyła drzwi i dumnym gestem wskazuje mi kierunek.

Zatrzymuję się na wprost niej, delikatnie biorę jej twarz w dłonie i zmuszam, żeby na mnie spojrzała.

— Proszę — mówię, a właściwie chrypię. — Błagam — uzupełniam, bo nie doczekałem się nawet mrugnięcia. — Porozmawiajmy. Postanówmy coś razem.

— Nie.

— Przepraszam, że krzychałem — próbuję.

— Nie. Wyjdź. Poradzę sobie sama.

— To jakiś test? Proszę, nie rób tego.

— Wynoś się!

Jej głos przebiega echem po klatce schodowej. Za chwilę staruszka dewotka spod piątki wyjrzy na korytarz zainteresowana hałasem. Albo od razu wezwie policję. Potrząsam głową, zaskoczony, że zaprzątam myśli takimi durnymi sprawami jak wścibska sąsiadka, kiedy zajmować powinna mnie przede wszystkim moja dziewczyna.

Próbuję jeszcze raz ją przytulić, nakłonić do rozmowy w nadziei, że znajdę odpowiednie argumenty. Zapewniam, że będzie mogła studiować, a ja pójdę do pracy. Ale ona opędza się ode mnie i moich słów, jakby robiły jej krzywdę.

Poddaję się i uciekam. Po drodze znowu ogarnia mnie wściekłość. Na nią. Na siebie. Na jej nieustępliwość. Na moje tchórzostwo. Kopię pełną parą w jakąś walającą się na trawniku puszkę. Obdzieram sobie skórę na knykciach, bez opamiętania uderzając w szorstkie pnie mijanych drzew. Nic nie pomaga. Puszczam się w szaleńczy bieg.

Zdyszany wpadam do domu. Rodzice siedzą w kuchni przy kolacji. Spokój i milcząca bliskość między nimi w tej chwili działa na mnie jak płachta na byka.

— Zmieniłem zdanie. Wyjeżdżam z wami z Polski — komunikuję sztywno, cedząc zdania przez zaciśnięte szczęki.

Nie czekam na ich reakcję. Idę do siebie i zamykam drzwi na zamek. Nie włączam światła. Kulę się na środku pokoju. I w końcu dopada mnie rozpacz. Łkam spazmatycznie. Sam nie wiem, czy nad sobą, czy nad utraconą miłością, czy nad nienarodzonym dzieckiem.

1

Maria z westchnieniem wydostała się ze szczelnego kokonu, jaki uwiła z dwóch ciepłych pledów i grubego wełnianego swetra. Mimo lata jej ciągle było zimno. Zimno na wskroś, do samego serca.

Dzwonek u drzwi wybrzmiał drugi raz, tym razem natarczywiej.

— Idę już, idę — mruknęła, skopując koce na podłogę. Wstała, przewiązując pulower w talii. Domyślała się, kto czeka właśnie pod drzwiami jej mieszkania, i szczerze mówiąc, ruszyła otworzyć tylko dlatego, że osobnik naciskający właśnie dzwonek po raz trzeci tak łatwo by nie odpuścił. Westchnęła raz jeszcze, nieuważnie spojrzała w swoje odbicie w lustrze i uchyliła drzwi.

— Maryniu, w końcu! — Szpakowaty, postawny pięćdziesięciolatek odetchnął z wyraźną ulgą. — Nie odbierałaś telefonu — dorzucił zaraz z mieszaniną troski i oburzenia.

— Witaj, Andrzejku. Byłam na cmentarzu, zmarłam i weszłam pod koc — wyjaśniła, na potwierdzenie banalności wytłumaczenia wruszając lekko ramionami. — Mogę ci zrobić herbatę — zaproponowała.

— Odgrzej sobie risotto, Hania zrobiła. — Gość wyciągnął w jej stronę

zapakowany w kilka reklamówek i folię aluminiową półmisek. — Na kolację też miałaś przyjść.

Marysia ponownie wzruszyła ramionami i bez słowa poszła do kuchni. Wstawiła naczynie do lodówki.

— Zjem później— oznajmiła, patrząc w okno, za którym zachodzące słońce malowało ciepły spektakl. Z wysokości jedenastego piętra nic nie przysłaniało widoku. Nad zanurzoną w upale Warszawą płynęły majestatycznie lekkie, podbarwione różem chmury, formując puchate wybrzuszenia niczym kłęby waty cukrowej. Bliżej chowającej się czerwonej kuli barwy nieba przechodziły w ognistą czerwień i kojący pomarańcz.

Maria nie doceniała tych wspaniałości, obojętnym spojrzeniem ogarniając horyzont. Otuliła się mocniej swetrem. Nadal drżała z zimna. To nie mijało. Chłód tkwił w niej od poprzedniego roku, od tamtego marcowego dnia. Czy wtedy przemarzała? Na pewno. Przecież padał deszcz ze śniegiem, a ona w samych kapciach i bez kurtki pokonała całą drogę do szpitala. Wybiegła tak, jak stała, gdy tylko usłyszała tę straszną wiadomość i rzuciła słuchawkę telefonu. Potem nic już nie było ważne. Czas się zatrzymał i miała wrażenie, że płynie w bańce smutku i beznadziei, w której nie ma miejsca na spokojny sen, na uśmiech, na przyjemności. Cokolwiek mogło zaoferować jej życie, nie chciała tego. Bez dwóch najważniejszych dla niej osób nic nie wydawało się dostatecznie atrakcyjne.

— Maryniu, tak nie można. — Andrzej Widzyński otworzył lodówkę, odpakował naczynie z warstw folii, w które owinęła je jego żona, i wstawił potrawę do mikrofalówki. Bez słowa wyjął z szafki talerze i sztucce. Po chwili namysłu pstryknął włącznikiem czajnika elektrycznego i przygotował dwa kubki, do każdego wsypując łyżeczkę granulowanej herbaty.

— Mówiłam, że teraz nie jestem głodna. — Maria odwróciła się od okna.

— Nie masz wyjścia, już wszystko naszykowałem, a risotto Hani to dzieło sztuki, więc chętnie zjem z tobą — uśmiechnął się mężczyzna, sprawnie nakładając porcje potrawy na talerze. — Siadaj. — Zalał jeszcze wrzątkiem herbaciane granulki. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego jego siostra kupowała coś takiego; on uważał, że to najgorszy gatunek.

Kobieta skapitulowała i zajęła się jedzeniem. Potrawa rzeczywiście była wyborna, jej bratowa umiała wyczarować w kuchni wszystko oprócz ciast — takich jak na pierogi czy pizzę, bo jej słodkie wypieki były niezrównane. Śmiały się z tego, zadowolone, że się uzupełniają. Kiedyś. Przed wypadkiem.

— Pyszne — odezwała się po chwili. — Jak zawsze.

— No widzisz, a ty chciałaś zostawić na święty nigdy. Pewnie znowu byś zjadła jakiś serek, a risotto wyhodowałyby w lodówce własną kolonię bakterii, bynajmniej nie kulturalnych. — Brat żartobliwie pogroził jej palcem.

— Nie zaczynaj...

— Co nie zaczynaj? Maryniu, nie możesz tak żyć. Znowu schudłaś. Leków pewnie nie bierzesz. Proszę, daj sobie pomóc.

— Biorę na noc. I nie rozmawiajmy o tym więcej — odparła cicho i upiła łyk herbaty.

— Dobrze, dziś dam ci spokój. Ale obiecaj, że wkrótce nas odwiedzisz — nalegał Widzyński.

— W przyszłym tygodniu. Może być? — burknęła jego siostra.

— Kiedy tylko zechcesz. Wiesz przecież, że jesteś u nas mile widziana. Hania jest niepokieszona, że dziś nie przysłałaś. Gdyby nie jej zwichnięta noga, przyjechałaby ze mną, ale wyperswadowałem jej ten pomysł. Lepiej, żeby nie forsowała jej na schodach, ale jak wydobrzeje, to już się nie wymigasz.

— Wiem, wiem. Przepraszam, że nie przysłałam. — Marysia odstawiła pusty kubek.

— No dobrze, to tę sprawę już omówiliśmy. — Andrzej zakaszał lekko i poprawił się na krześle. — Ale jest jeszcze coś ważnego.

— Czyli?

— Dzwonił do mnie Henryk. Ponoć nie odbierasz od niego telefonów.

— Od nikogo nie odbieram. — Maria wzruszyła ramionami. — Przecież wiesz.

— To, że wiem, nie znaczy, że mi się to podoba, droga sestro — oznajmił Andrzej. — Przypominam, że Henio prowadzi wszystkie twoje rachunki, mogłabyś czasem z nim porozmawiać. Chciałaś sprzedać ten lokal, który został z majątku Wojtka, prawda? Kolejny potencjalny kupiec zrezygnował.

— Trudno. Nie mam do tego głowy.

Myśli Marii ponownie odpłynęły w przeszłość, która była tym boleśniej, że nic na świecie nie mogło jej wrócić. Mąż kupił ten lokal dla niej, chcąc spełnić marzenia o małej gastronomii. Wprawdzie lokal był w opłakanym stanie i wymagał gruntownego remontu, ale Wojciech uparł się, że to żaden problem, ot, wezmą mały kredyt, wynajmą ekipę i wszystko ruszy. Obiecał, że zajmie się tym, kiedy Ania, ich córka, wyprowadzi się do Wrocławia, by studiować tam medycynę. Byli z niej tacy dumni. Najlepsza maturzystka w mieście! Wojtek otwarcie lokalu uważał za doskonały plan, bo wtedy Maria nie będzie miała czasu na tęsknotę. Tamtego dnia Ania wracała do akademika po krótkiej wizycie w domu. Wojtek miał ją odwiedzić, bo zabierała ze sobą trochę książek, ulubiony dywan i mnóstwo zapasów jedzenia. Pożegnały się, jak zwykle popędzane przez Wojtka, uroniły kilka łez, ale stanęło na zapewnieniach, że przecież są telefony i internet. Mąż ucałował jej policzki i przypomniał, że ma zająć się przeglądaniem katalogów wnętrzarskich. Pojechali. I już nie wrócili. Nie dotarli nawet do autostrady.

— Maryniu. — Andrzej przywrócił Marię do rzeczywistości, lekko dotykając jej dłoni zaciśniętych wokół pustego kubka. — Pytałem, czy nie

chciałabyś pojechać do nas. Mart-wię się o ciebie. Hania również.

— Wolę być sama, tyle razy mówiłam. — W jej głosie wyraźnie dało się słyszeć zniecierpliwienie.

— No właśnie. Siedzisz sama. Chowasz się. Jak długo tak będzie?

— Nie znam odpowiedzi, Andrzej. Bez nich nie umiem wrócić do świata. Część mnie jest z nimi, a ta druga, która została, nie umie żyć tak jak dawniej. Potrafię tylko czekać. Czekać, choć wiem, że to nie ma już sensu.

Widzyński westchnął, wyraźnie zasmucony. Maria wiedziała, że się martwi, bo z jego punktu widzenia nic do niej nie docierało. Nie miała wątpliwości, że rozumiał jej rozpacz, tym bardziej że i jemu było trudno — tragedia dotknęła przecież całą rodzinę, ale to nie zmieniało faktu, że nie znajdowała sił, by opuścić odgradzający ją od świata kokon, w którym trwała już ponad rok. Poszła wprawdzie kilka tygodni temu na zorganizowaną przez brata wizytę u lekarza, który przepisał leki na depresję, cóż jednak z tego, skoro nie chciała ich brać i żadne tłumaczenia jej nie przekonywały.

— Jak wolisz — odpowiedział zrezygnowanym tonem. — Ale jest jeszcze jedna rzecz. Posłuchaj... — W kilku krótkich zdaniach wyłuszczył sprawę finansów, cytując słowa Henryka, który wyraził się jasno: jeżeli lokal z majątku Wojciecha Kowalskiego nie zostanie sprzedany w porę, to za kilka tygodni oszczędności się skończą, a wtedy wdowie po nim zostanie jedynie skromne świadczenie z ubezpieczenia, a i to tylko przez rok.

Maria słuchała. Gdy brat skończył, skinęła głową.

— Dobrze. Pomyślę o tym.

Andrzej pożegnał ją, zaniepokojony jeszcze bardziej niż przed wizytą.

— Cześć, siostra! Gotowa? — Adam Jarosz wepchnął pięści w kieszenie luźnych dżinsów i krytycznym spojrzeniem obrzucił stos wypakowanych po brzegi kartonów, powiązane sznurkiem książki, dwie duże walizki i dodatkowe worki wypełnione grubszymi ubraniami. Wszystko zgromadzone na podłodze w pokoiku, który dotąd zajmowała jego najmłodsza siostra. — Sporo tego. Nanosimy się ze szwagrem.

— Nie marudź, Adaś, lepiej bierzmy się do roboty, bo obiecałeś, że jeszcze dziś załatwimy zakupy w Ikei. — Joanna, zaróżowiona z wysiłku, mocowała się z zamkiem ostatniej sportowej torby. — Szymek zaraz przyjdzie, Ewka wysłała go po pieluchy dla małego, wrzaskun wyjątkowo dużo ich ostatnio zużywa — westchnęła, odgarniając z czoła zlepiony potem kosmyk włosów.

Mały Jerzyk urodził się trzy miesiące temu i jak dotąd przez większość nocy urządzał skuteczne pobudki wszystkim mieszkańcom ciasnego, trzypokojowego mieszkania na przedmieściach Warszawy. Sąsiadom zapewne również, ale starsi państwo mieszkający za ścianą przyjmowali te nocne ekscesy ze zrozumieniem. Joanna chwilami szczerze zazdrościła bratu, że nie mieszka już z nimi

w odziedziczonym po matce lokum. Adam wyprowadził się jeszcze przed ślubem Ewy z Szymonem Bielickim i wyjechał do Irlandii, gdzie znalazł pracę w dużej firmie budowlanej. Joanna, od zawsze wyjątkowo związana z bratem, który po śmierci matki samodzielnie opiekował się młodszymi siostrami, bardzo za nim tęskniła i nawet się zastanawiała, czy po obronieniu licencjatu z języka angielskiego nie dołączyć do Adama na Zielonej Wyspie. Jednak pod koniec semestru przypadkiem znalazła bardzo atrakcyjne ogłoszenie. Podstawówka i gimnazjum znajdujące się w pobliskim miasteczku oferowały posadę nauczyciela wraz z mieszkaniem służbowym — kawalerką na ostatnim piętrze bloku pamiętającego wprawdzie czasy PRL-u, ale za to z niskim czynszem. Asia, nieszczerólnie wierząc, że ktoś będzie chciał zatrudnić nowicjuszkę zaraz po studiach, pojechała na rozmowę kwalifikacyjną i ku swojemu zdumieniu została z miejsca przyjęta. I oto dzisiaj, w samym środku sierpnia, miała ostatecznie się wyprowadzić, umożliwiając młodym rodzicom urządzenie prawdziwego pokoju dziecięcego. Razem z Adamem, który specjalnie wziął urlop i przyjechał do Polski, odmalowali ściany, a nawet położyli podłogę z paneli, kafelki w łazience oraz wstawili nowe meble do kuchni. Wszystko zafundował starszy brat, nie oglądając się na koszty. Mówił: „Nawet jakbyś tylko rok miała tu zostać, to przecież milej ci będzie, a to mieszkanie jest tak małe, że naprawdę nie przejmuj się pieniędzmi”. Dzisiaj pozostały do przewiezienia jej osobiste rzeczy i już wszystko będzie gotowe, żeby zacząć urządzać nowe gniazdko. Nie mogła się doczekać.

Całe znoszenie, wbrew głośno wyrażanym narzekaniom i obawom Jarosza, nie zajęło zbyt wiele czasu. Podobnie zakupy w centrum handlowym — Joanna miała przygotowaną listę z kodami produktów. Uwinęli się w niecałą godzinę. Po kolejnej parkowali już przed blokiem, w którym miała mieszkać.

— Siostra, zaniemiemy majdan i będę leciał. — Adam odezwał się dopiero, gdy wyłączył silnik. Nigdy nie rozmawiał, kiedy prowadził, zawsze maksymalnie skupiał się na drodze. Joanna lubiła te milczące wycieczki, cisza wcale nie męczyła, otulała ich miękko niczym puszysty, ciepły koc. Budowała więź. — Dziś się dowiedziałem, że muszę skrócić urlop, a chciałbym jeszcze trochę pomóc Ewce, okej? Poradzisz sobie z rozpakowaniem?

— Pewnie, choć myślałam, że mnie odwiedzisz, jak już wszystko urządzę. Zrobię herbatę, pogadamy na spokojnie — zasmuciła się.

— No pewnie, tyle że później. Nosimy! Żebym zdążył przed wieczorem do Warszawy.

Nawet się nie obejrzała, jak została sama. Zanim Adam odjechał, przytulił ją przez krótki moment i szorstko burknął, żeby na siebie uważała. Nie był dobry w okazywaniu uczuć, ale Joanna wiedziała, że poszedłby za nią w ogień. Kiedy rak zabrał im matkę, ona miała dziesięć lat, Ewa dwanaście, a Adam ledwie skończył technikum budowlane. Jego pełnoletność i odpowiedzialność uchroniła

dziewczynki przed domem dziecka. Innych krewnych w zasadzie nie mieli. Ojca alkoholika zapamiętali jako sprawcę koszmarnych awantur, nawet mała Joasia, która w trakcie rozvodu rodziców miała zaledwie sześć lat, dlatego z ulgą przyjęli najpierw jego wyprowadzkę, a potem brak wszelkich kontaktów. Nie pojawił się ani na pogrzebie, ani później. I całe szczęście. Za to Adam przejął na siebie ciężar utrzymania sióstr (skromna renta nie pokrywała wszystkich potrzeb), pewnie dlatego Joanna traktowała go trochę jak ojca, a trochę jak przyjaciela. Świadomość, że ma starszego brata, na którego może zawsze liczyć, dawała jej kojące poczucie bezpieczeństwa.

Joanna z westchnieniem poprawiła doniczki z kwiatami na parapecie. Dostawczak Adama zniknął za zakrętem. Popatrzyła jeszcze chwilę przez lekko zakurzoną szybę. Miała widok na niewielki skrawek zieleni w postaci zaniedbanego trawnika i podobny popeerelowski dwupiętrowy blok. Pod jedną z klatek rudowłosy chłopak cierpliwie ćwiczył żonglowanie trzema kolorowymi piłeczkami. Innych kilkupiętrowych wielkopłytowców nie było w okolicy. Asia zdążyła się zorientować, że te dwa bloki były jedynymi tego typu budynkami w miasteczku. Pięć minut marszu chodnikiem przy głównej szosie i już było widać szkołę, w której miała pracować. Poza tym okolicę upiększały mniej lub bardziej leciwe domki jednorodzinne. Właściwie cała miejscowość oblepiała przez kilka kilometrów drogę krajową na Warszawę, zaczynając się kościołem i cmentarzem, a kończąc zbudowanym niedawno małym rondem i budynkami szkolnymi. W centrum tkwiło parę sklepów, przy rynku sterczała nieco zdezelowana budka przystanku autobusowego i właściwie to wszystko. Kilka bocznych ulic prowadziło do okolicznych wiosek — Joanna sprawdziła już okolicę na mapach internetowych, kiedy szukała ścieżek nadających się do biegania.

Teraz nie pozostało jej nic innego, jak wziąć się do roboty i rozpakować cały, dość skromny, dobytek. Zaczęła od wyciągnięcia z walizki laptopa oraz małych głośniczków i wrzucenia do odtwarzacza listy swoich ulubionych piosenek. Lekko podśpiewując, zabrała się do właściwej pracy. Z zapalem ścierała kurz, układała książki, a potem zajęła się wieszaniem ciuchów w szafie oraz porządkowaniem kuchni i łazienki. Dopiero kiedy burczący z głodu żołądek dał jej znać, że pora na przerwę, postanowiła coś zjeść. Nie miała wielkiego wyboru, bo z Warszawy zabrała jedynie kilka podstawowych produktów i ćwiartkę sernika, który upiekła dla rodzeństwa na pożegnanie.

Siedząc w małej kuchni i popijając zieloną herbatę, Joanna niespiesznie przeglądała wiadomości internetowe. Nawet zrobiła sobie zdjęcie telefonem, rozmazała je „artystycznie” i opatrzone podpisem: „Herbata w nowym kubku i w nowej kuchni”, wstawiła na facebookową tablicę dla grupy najbliższych znajomych. Grono to znacznie się zmniejszyło od czasu, kiedy tuż przed obroną pracy licencjackiej zerwała z Damianem. Rozstanie poprzedziły banalne

okoliczności, czyli odkrycie, że jakiś miesiąc wcześniej jej chłopak nawiązał równie intensywną znajomość z ich wspólną przyjaciółką. Tłumaczenia, że oboje byli pijani, a w ogóle to wina Joanny, bo powinna chodzić z nim na wszystkie popijawy, zamiast ciągle siedzieć w książkach, jakoś nie przekonało panny Jarosz, która definitywnie postanowiła zakończyć związek i tym sposobem straciła znajomych, którzy należeli do paczki jej byłego chłopaka. Czyli większość, bo jakoś tak wyszło, że podczas studiów trzymała się głównie z jego koleżeństwem. Dziś już zdążyła odżalować ten romans, a niespodziewana oferta pracy i przeprowadzka miały znaczący udział w terapii.

Napisała jeszcze krótkiego maila do brata i siostry, a potem zamknęła komputer. Wiedziała, że mimo zmęczenia, po tak emocjonującym dniu nie zaśnie zbyt szybko, więc sięgnęła po książkę, w której zatopiła się na kilka godzin.

Ranek powitał wszystkich deszczem dającym ulgę po ostatniej fali upałów. Chłodny wiatr przynosił już zapowiedź nadchodzącej jesieni, ale rozgrzana ziemia nie pozwalała zapomnieć o rozbuchanym, gorącym lecie i odwdzięczała się uwodzicielską mieszaniną zapachów.

Joanna otworzyła szerzej okno zachwycona świeżością powietrza i jednostajnym szumem obfitych kropel. Spała długo. Późno skończyła czytanie, bo powieść okazała się niezwykle wciągająca i nie mogła odmówić sobie kolejnego rozdziału, potem następnego i tak prawie do szarówki świtu. Ale mimo to czuła się wypoczęta.

Na śniadanie przyrządziła jajecznicę z pomidorami i szczypiorkiem, podśpiewując przy tym w takt jakiegoś przeboju z radia. Właściwie miała dla siebie cały dzień i mogła rozkoszować się samotnością, której do tej pory tak bardzo jej brakowało. Postanowiła spędzić niedzielę na samych przyjemnościach: poznać okolicę na krótkim spacerze, sprawdzić, czy wypatrzone w sieci trasy nie kryją jakichś niespodzianek, upiec ciasto, które zamierzała zabrać na zapowiedzianą na jutro radę pedagogiczną, a przede wszystkim porządnie poleniuchować. Kiedy myła talerz i kubek, deszcz jak na zamówienie przestał padać. Joanna włożyła ulubioną sukienkę, uszytą z kilku warstw cienkiej jak mgiełka, przewiewnej tkaniny, sandałki z rzemyków i była gotowa do wyjścia.

Na zewnątrz pachniało niedawną ulewą, mokre rośliny z wdzięcznością dźwigały obmyte z suchego pyłu listki i gałązki. Było pięknie. Słońce świeciło nieco nieśmiało, zanurzone w białych kłębach chmur. Joanna wolnym krokiem przemierzała uliczki miasteczka, uprzejmie uśmiechając się do nielicznych przechodniów. Po jakimś czasie zauważyła, że mijają ją głównie starsze kobiety, które grupkami po dwie lub trzy zmierzały wszystkie w tym samym kierunku. Szybko się zorientowała, jaki był cel tego pośpiechu — w całej okolicy rozległ się dzwon kościelny przypominający o zbliżającej się mszy.

— Czemu nie? — mruknęła do siebie Joanna.

Nie była zbyt religijna, ale lubiła odwiedzać świątynie, chłonąć szczególną atmosferę opieki i zaufania. I śpiewać. Najbardziej lubiła śpiewać.

Lokalny kościółek nie był duży, ale zachwycał swoim wystrojem. Cały w drewnie, z przepięknymi witrażami umiejscowionymi za ołtarzem i prawdziwą amboną ozdobioną wymyślną drewnianą sztukaterią górującą nad szeregiem prostych ławek. Dziewczyna przystanąła w progu, rozglądając się jak oczarowana. Smuga światła przecinająca ciemne wnętrze skupiała wirujące drobinki kurzu, zwracając uwagę na oryginalną posadzkę. Dopiero ruch w pobliżu ołtarza wyrwał Joannę z odrętwienia. Wraz z pojawieniem się krępego księdza wśród zgromadzonych kobiet zapanowało wyraźne poruszenie. Niektóre podeszły bliżej, inne przesiad-ły się do pierwszych ławek.

— Ciebie też zapraszam do nas! — rozbrzmiał głęboki i donośny głos wikariusza, który bez cienia wątpliwości patrzył właśnie na Joannę. Pamiętała, że to nie proboszcz, bo tego zdążyła poznać, kiedy podpisywała umowę w Urzędzie Gminy. Przypomniała sobie, że zapraszał ją wtedy na mszę, zupełnie nie dopuszczając myśli, że mogłaby być innego wyznania. Nawet ją to wówczas rozbawiło. Ksiądz był zresztą bardzo serdeczny i sympatyczny.

Onieśmielona podeszła bliżej ołtarza, mimowolnie zwalniając, gdy wkraczała w smugę jasności bijącej od okna. Odruchowo zmrużyła oczy. Słońce zatańczyło w jej brązowych włosach, wydobywając miodowe i złote odcienie z pojedynczych pasm.

— Zaczniemy od próby psalmu. „Wszyscy zobaczą, jak nasz Pan jest dobry”. Uwaga! Pan Stasiu zagra wstęp, a potem proszę powtarzać za mną! — Zażywny duchowny podniósł do góry lewą dłoń z palcem wskazującym wycelowanym w sufit i uśmiechnął się pokrzepiająco do swojej nowej owieczki.

Kulawa przygrywka na organach wypełniła kościół, a po chwili ksiądz zaintonował wers refrenu. Kiedy śpiewał, wznosił oczy ku górze i zaplatał palce na wydatnym brzuchu. Joanna przyglądała mu się z uśmiechem. Nadeszła kolej kobiet. Kilka zupełnie niezgranych głosów uniosło się w przesyconym kadzidłem powietrzu. Grubawa staruszka, wpatrzona w wikariusza jak w święty obrazek, nie dość, że śpiewała najgłośniej, to jeszcze weszła zbyt wcześnie i w niewłaściwej tonacji, przez co zmieniła zupełnie prostą melodię psalmu.

Ksiądz westchnął i dał znak organiście. Instrument umilkł.

— Pani Walczakowa, proboszcz prosił, żeby Walczakowa oszczędzała gardło. Za głośno, za głośno. — Pogroził palcem, okraszając połajankę dobrotliwym uśmiechem. — A inne panie znowu za cicho. Jak zawsze, jak zawsze. Ksiądz proboszcz bardzo lubi ten psalm i specjalnie prosił, żeby dziś go koniecznie ładnie zaśpiewać. Jeszcze raz — zarządził. — Dwa refreny pod rząd. Albo trzy. Razem!

Muzyka ponownie rozbrzmiała, tym razem składniej i śmielej. Joanna

zaczepnęła powietrza i czystym głosem dołączyła do chóru. Tak się złożyło, że nie tylko ksiądz proboszcz był miłośnikiem tej pieśni. Ona też. W pierwszej klasie liceum wygrała nawet parafialny konkurs piosenki religijnej, wykonując wszystkie zwrotki psalmu. Ćwiczyła przez miesiąc i słowa wryły jej się w pamięć, niespodziewanie przynosząc otuchę w trudnych chwilach. Jak wtedy, gdy po rozstaniu z Damianem zapłakana szorowała wszystkie zakamarki w domu, łykając gorzkie łzy i bezgłośnie nucąc pieśń o dobroci Boga. I z każdym wersem rozlewał się w niej spokój. Zrozumiała, że będzie umiała się z tym pogodzić. Nabrała nadziei, że będzie dobrze. Teraz, na fali tego wspomnienia, odruchowo rozpoczęła zwrotkę, ale ucichła po drugim wersie zdezorientowana nagłą ciszą wokół siebie. Kilka par szeroko otwartych oczu wpatrywało się w nią intensywnie i ze szczerym zdumieniem. Zawstydzona pochyliła głowę, pozwalając, żeby gęste fale włosów przesłoniły jej twarz. Zorientowała się, że bezceremonialnie weszła w partię księdza, a przecież miały ćwiczyć jedynie refren. Nie była zachwycona swoim występem, wiedziała za to, że stanie się głównym tematem pokościelnych plotek.

— Dziecko... — szepnął nabożnie wikariusz. — Ty śpiewasz.

Dariusz Wiktorski nie uważał się za złego ojca. Przeciwnie. Pił, bił, ale przecież był. W swoim mniemaniu wyrastał nawet na kogoś w rodzaju bohatera, bo po śmierci Janki sam wychowywał chłopaka. I nie własnego, lecz jedynie przysposobionego. Zachciało mu się wziąć pannę z małym dzieckiem! Piękna była z niej dziewczyna, z burzą rudych loków, a że słabego zdrowia? To wyszło na jaw dopiero po czasie. Kiedy zaszła z nim w ciążę, wzięli ślub i przez jakieś kilka miesięcy ich życie ładnie się układało, zwłaszcza że Wiktorski dostał pracę w pobliskiej firmie logistycznej, a od miasta całkiem wygodne mieszkanie. Ale wszystko do czasu. Podczas porodu pojawiły się jakieś komplikacje, których Darek nie potrafił nazwać, ze słów lekarzy zrozumiał tylko, że dziecko w łonie jego żony musiało nie żyć od kilku dni, a Janka podczas porodu dostała krwotoku i zmarła. Taki los. Dariusz został bez żony i własnego syna, za to z małym rudowłosym Jaśkiem, z którym nie wiedział, co zrobić, bo Janeczka nie miała krewnych. Pielęgnował w sobie ogromny żal, że tak się to życie potoczyło. Rozpacz szybko zaczął topić w wódce, najpierw usłudze polewanej przez kolegów, potem pitej głównie w samotności, a dzięki matce, która zajmowała się przysposobionym synem, mógł nie zaprzętać sobie głowy „problemem”. Przez nadużywanie alkoholu i zaniebywanie obowiązków stracił dobrą pracę i musiał szukać innej, którą załatwił w końcu po znajomości. Co prawda pił dalej, ale do roboty chodził i przynosił dobrą pensję, bo majster przymykał na to oko — wiedział przecież o tragedii, jaka spotkała Dariusza, i o tym, że ma dziecko na utrzymaniu. Matka Wiktorskiego zmarła, kiedy dzieciak zaczął pierwszą klasę gimnazjum, ale wtedy młody był już nauczony, jak ma postępować z ojczymem, i Wiktorski nie musiał się zbytnio martwić, co chłopak porabia całymi dniami. Jasiek umiał zrobić zakupy

i uszykować kanapki, nawet zupę ugotował, a jak ojciec nie zapomniał, to dawał mu pieniądze na zakupy, szkolne obiady chłopak miał za darmo. Ubrania też się zawsze znajdowały — a to sąsiad podrzucił coś po swoich synach, a to panie z ośrodka pomocy coś przyniosły. Pralka w domu była, więc młody brudny nie chodził. Owszem, Dariusz co jakiś czas wlepiął Jaškowi kilka pasów, co traktował jako jedyny skuteczny środek wychowawczy, a przede wszystkim profilaktyczny. Jego ojciec też miał ciężką rękę, dzięki czemu Wiktorski wyrósł przecież na porządnego człowieka.

Tego niedzielnego, sierpniowego ranka Jasiek już zdążył zarobić solidnego kuksańca. Zaczęło się od dyskusji o piwie. Ojczym obudził się na ciężkim kacu na tyle wcześnie, że chłopak nie zdążył jeszcze wyjść z domu, żeby zniknąć mu z oczu.

— Młody, idź mi po piwo — zarządził ochrypłym głosem Wiktorski, wtaczając się do małej kuchni. Razem z nim pomieszczenie wypełnił kwaśny odór potu i nocnej libacji. Na stole wylądowało wygrzebane z kieszeni dresowych spodni pomięte dwadzieścia złotych.

— Przecież wiesz, że mi nie sprzedadzą. — Chłopak szybko dokończył smarowanie kromki chleba masłem, zawinął ją w papier i wpakował do kieszeni bluzy. Ojczym po nocnym picciu bywał wyjątkowo drażliwy.

— Nie pyskuj, kurwa. Załatw mi to — odwarknął, popierając swoje słowa ciosem w głowę Jaška. Kant dłoni trafił w miękką chrząstkę ucha. Zapiekło. Janek zagryzł wargi i bez słowa zamknął banknot w pięści. — Tylko masz mi zaraz wrócić, bo popamiętasz ruski miesiąc, gnoju. I fajki też mi kup — dorzucił jeszcze Wiktorski i nie patrząc więcej na pasierba, otworzył lodówkę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Janek wybiegł na podwórko prosto w letni deszcz, który niemal natychmiast poskręcał jego rude włosy w loki. Po kilku minutach wpadł do sklepu starego Sołtysika. Miał szczęście — nie było innych klientów. Szybko znalazł się przy ladzie.

— Dzień dobry, panie Karolu. — Chłopak uklonił się uprzejmie.

— A dobry, dobry. Co tam chcesz? — Niemłody sprzedawca oderwał się od krzyżówki i z zaciekawieniem spojrzął na młodzieńca.

— Panie Karolu, ja wiem, że nie wolno, ale dla mojego ojca. Dwie tatry i papierosy. Kazał mi kupić. Proszę, nie powiem nikomu, słowo — wyrzucił z siebie zdania z szybkością karabinu maszynowego.

— Jasiek, wiesz, że jakby mi tu kontrola wpadła...

— Ale nie ma nikogo, proszę. Ojciec mi kazał. — Janek nerwowo potarł wciąż piekące ucho. Sołtysik przyjrzał mu się uważnie i widocznie uznał, że chłopak raczej nie opowiada bajek.

— Ech, ostatni raz. Ale nie na zeszyt — westchnął.

— Mam pieniądze.

— Tylko schowaj pod kurtkę, żeby cię nikt z tym nie zobaczył. Ludzie do kościoła zaraz będą szli — upomniał go sprzedawca.

— Jasne, panie Karolu. Dziękuję.

Już miał wychodzić, ale Sołtysik jeszcze go zatrzymał. Sięgnął do pudełka pod ladą i położył na blacie dwa wafelki w złotych papierkach.

— Weź, termin im się kończy, i tak bym nie sprzedał.

Janek patrzył przez chwilę to na słodycze, to na sklepikarza. Jednak chęć zjedzenia łakoci wygrała z zażenowaniem i ciastka zniknęły w kieszeni dżinsów.

— Jakby trzeba było z towarem pomóc, to pan powie — rzucił szybko i ruszył w drogę powrotną.

Deszcz właśnie sączył ostatnie krople, oddając ziemię we władanie letniego słońca. Tak jak przewidział właściciel sklepu, w stronę kościoła zmierzały grupki wiernych. Utarło się, że w pierwszej porannej mszy uczestniczyły głównie kobiety, na sumę proboszcz zapraszał rodziny i dzieci, a wieczór był dla młodzieży. Spojrzenie Janka przyciągnęła kolorowa plama. Młoda kobieta w powiewnej sukience omotała wokół szyi wielobarwne apaszki. Na pewno jej wcześniej nie widział. Nie zdążył się jednak zastanowić, kim może być tajemnicza wielbicielka tęczy.

Silne uderzenie w ramię przywróciło go do rzeczywistości.

— Aleś się zapatrzył, Marchewa. Co kupiłeś?

Janek przełknął nerwowo ślinę. Przed nim stał jego odwieczny prześladowca, Krzysiek Długocki, zwany Długim, choć postury był on raczej niskiej i krępej, z dobrze wyhodowanymi mięśniami i niewyparzoną językiem. Szczycił się też przywództwem w paczce lokalnych chuliganów, którzy sami siebie dumnie nazywali kibolami, bo wszyscy pasjonowali się meczami klubu Legia Warszawa. Poza tym każdy z nich miał na koncie przynajmniej jedną powtarzaną klasę, a Długiemu groził nawet nadzór kuratorski. Całe to towarzystwo uwielbiało wyżywać się na słabszych, czego Wiktorski niejednokrotnie doświadczył. Od przyszłego roku szkolnego mieli chodzić razem do jednej klasy. Dziś Krzysiek pojawił się bez swych asystentów za plecami, co bardzo Jaśka ucieszyło.

— Wafelki, chcesz? — Wykazał się reflekssem i podał jedną z czekoladek Długockiemu. — Muszę lecieć — dorzucił szybko i puścił się biegiem, zadowolony, że Długi nie dostrzegł jego prawdziwych zakupów. Ojczyzna nie interesowałyby powody, dla których nie przyniósł piwa, natomiast nie miałyby problemu z ręcznym i bolesnym wytłumaczeniem pasierbowi powodów swej złości.

Kolejny dzień również przywitał Joannę deszczem. Tym razem wstała wcześniej, mimo że poprzedniego wieczoru nie mogła z emocji zasnąć. Denerwowała się dzisiejszą radą pedagogiczną, na której miała poznać grono

nauczycielskie i swoje obowiązki. Zależało jej, żeby wypaść jak najlepiej, dlatego długo się zastanawiała, jak powinna się ubrać. Elegancki strój lepiej zostawić na rozpoczęcie roku szkolnego, a teraz? Zwykła bluzka i dzinsy? Chyba nie bardzo, zresztą rzadko się tak ubierała, i raczej w chłodniejsze dni. Tymczasem mimo porannej mżawki duszne powietrze zapowiadało upał i na pewno nie będzie się czuła komfortowo z lepką warstwą potu na skórze lub, co gorsza, z widocznymi plamami na ubraniu. Po namyśle włożyła długą do kostek, ale przewiewną sukienkę, podobną do tej, w której była w kościele.

Mimowolnie uśmiechnęła się na wspomnienie wczorajszego dnia. Po mszy, z której wyszła bardzo zadowolona, wstąpiła do sklepu i kupiła wszystko, czego potrzebowała do zrobienia szarlotki. Na obiad postanowiła ugotować makaron z oliwą i pomidorami, a te mieli tutaj wyjątkowo dobre. Całe popołudnie spędziła więc w kuchni, pichcąc swój posiłek, piekąc ciasto na jutrzejsze zebranie i radośnie nucąc pod nosem psalmy. Ksiądz Adrian zaproponował, żeby śpiewała na dwóch porannych mszach, a ona bardzo chętnie na to przystała, choć sama była nieco zdumiona swoim entuzjazmem, bo raczej zwykła unikać publicznych występów. Obecne na mszy kobiety przyjęły zgodę Joanny z widoczną ulgą. Jedyne Walczakowa wydawała się niezadowolona. Pod wieczór Joanna miała jeszcze w planach bieganie, ale ponieważ zadzwonił Adam, przełożyła trening na następny dzień i resztę wieczoru przegadała z bratem na Skypie.

Popijając kawę, wyjęła z lodówki starannie zapakowane w papier ciasto i ostrożnie ułożyła je w płóciennej torbie. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze kilka minut do wyjścia, więc wykorzystała ten czas, żeby poprawić fryzurę i makijaż. Skupiała się na każdej czynności, starając się nie myśleć, jak bardzo jest przerażona swoją pierwszą radą pedagogiczną. Taką metodę małych kroczków wpoił jej Adam. Zajęta kolejnymi bardzo absorbującymi czynnościami nie miała czasu na stres. I zazwyczaj to doskonale działało. Ale nie dziś. Przypomniała sobie inne powiedzonko brata, o planach, które są świetne, dopóki nie przyjdzie do ich realizacji. Ta myśl trochę ją rozbawiła i już z mniejszym zdenerwowaniem poprawiła cień na powiekach. Tym razem wyszło idealnie.

Kwadrans przed wyznaczoną godziną dotarła na miejsce. Nieśmiało zapukała do drzwi sekretariatu. Tutaj podpisywała umowę. Nie chciała błąkać się po szkole w poszukiwaniu pokoju nauczycielskiego, gdzie — jak się domyślała — odbędzie się zebranie.

— Dzień dobry, dzień dobry, pani Joasiu! — Sekretarka szkolna z entuzjazmem wykrzykiwała słowa powitania. Jej oczy zabłysły na widok blaszki z ciastem, którą Joanna trzymała przed sobą.

— Pani... Zofio, gdzie będzie rada pedagogiczna? Ja nie znam jeszcze szkoły i chciałam drobne wkupne przygotować. Oczywiście dla pani też mam kawalek. — Joanna uśmiechnęła się promiennie. — A może ja bym to na jakąś

tacę? Kurczę, nie pomyślałam.

— Ależ nic nie szkodzi, ja tu wszystko mam! — Pani Zofia odebrała z jej rąk pakunek z szarlotką. — Zaraz położymy na paterze i talerzyki jakieś pani dam. Pan dyrektor jest już w pokoju nauczycielskim i inni powoli się schodzą. O, panią Malwinę widzę przez okno. Zdąży pani, bez obaw, pomogę zanieść. Własnoręcznie pieczone? — Kobieta perorowała z zapalem, równocześnie układając szarlotkę na dużej tacy. — Pięknie pachnie.

— Tak, piekłam wczoraj wieczorem. Pani Zofio, a pan dyrektor się nie obrazi?

— A o cóż znowu? Bez strachu, pan Jurek uwielbia jabłecznik.

Sekretarka pomogła Joannie zanieść ciasto do sali na piętrze, gdzie czekało już kilkoro innych nauczycieli i oczywiście dyrektor, który, jak zapowiedziała sekretarka, wyraźnie się ucieszył na widok tacy ze słodkościami. Powstało małe zamieszanie, w trakcie którego zebrano się całe grono nauczycielskie. Pokrojono ciasto, zadowolona z siebie pani Zofia oddaliła się z solidną porcją szarlotki, a reszta uczestników rady pedagogicznej zasiadła na swoich miejscach, zajadając ciasto i chwając umiejętności nowej koleżanki. Jerzy Niewiadomski, wysoki pięćdziesięciolatek w dżinsach i koszuli z krótkimi rękawami, oficjalnie przedstawił Joannę, a ona poproszona o zabranie głosu powiedziała kilka słów o sobie. Docierało do niej, że wśród pedagogów pracujących w zespole szkół, czyli podstawówce i gimnazjum, jest najmłodsza zarówno wiekiem, jak i stażem. Oprócz angielskiego, drugim językiem obcym był rosyjski, którego uczyła siostra dyrektora, kobieta w wieku niemal emerytalnym, zresztą jak większość zebranych. Wyjątkiem był wuefista — całkiem przystojny czterdziestolatek z lekko szpakowatymi już włosami.

Potem zebranie toczyło się zwykłym torem, a po ułożeniu planu i ustaleniu godziny rozpoczęcia roku szkolnego towarzystwo przeszło do ciekawszych rozmów, głównie plotek, ale też wielu bezpośrednich pytań do nowej koleżanki. Joanna siedziała z przyklejonym do ust uśmiechem i nieco skrupowana udzielała odpowiedzi, zwłaszcza gdy się okazało, że jej niedzielny występ w chórze jest już szeroko komentowany w miasteczku. Czuła się, no cóż, bardzo dziwnie — zupełnie jak na przesłuchaniu okraszonym licznymi komentarzami do każdej informacji, którą z niej wydobyto. Już po pierwszym kwadransie nie była pewna, czy to pani Malwina, czy pan Antoni też ma dwójkę rodzeństwa i czyj syn pracuje za granicą. Po półgodzinie poddała się i porzuciła wysiłki, by zapamiętać dziesiątki informacji, jakimi była zarzucana. Skupiła się na uśmiechach i pogodnych wyjaśnieniach. W końcu dyrektor rzucił od niechcienia, że spieszy się do urzędu, i zebranie zakończono. Joanna chwilę zamieszania wykorzystywała na zebranie talerzyków i umycie ich w zlewie znajdującym się w tym samym pomieszczeniu za niewysoką szafką.

— Może pomóc? — Marcin Janecki, wuefista, zajrzał do zakamarka, gdzie kończyła właśnie wycierać ostatnią łyżeczkę. — Wróciłem po notes — wyjaśnił.

— Nie trzeba, dziękuję. Już kończę. Pani Zofia była tak dobra i wypożyczyła mi zastawę — uśmiechnęła się Joanna.

— To chociaż odniosę razem z panią — zaoferował się mężczyzna.

— Super, dziękuję.

— Już zadomowiona w nowym miejscu? — spytał chwilę później, gdy wstawili talerze do szafy w sekretariacie i zmierzali do wyjścia ze szkoły.

— Tak, brat pomógł mi się urządzić.

— Gdyby coś trzeba było przenieść albo zamontować, to się polecam. — Wuefista posłał jej uśmiech.

— Dziękuję bardzo, ale mam już wszystko. Chociaż... może pan mi powie, gdzie tu są dobre ścieżki do spacerów i biegania? Żeby nie trafiały się psy bez nadzoru, bo ja się ich trochę boję — wyznała dziewczyna.

— O, pani biega? To może wybierzemy się razem na trening wieczorem, jak zrobi się trochę chłodniej? Pokażę dobrą trasę, niezbyt daleką od zabudowań, bezpieczną. Pętelka ma pięć kilometrów, może być?

— Chętnie! — ucieszyła się Joanna. — Ale nie chciałabym sprawiać kłopotu — dodała zaraz, obawiając się w duchu kolejnych plotek.

— Skąd, żaden problem. I tak obiecałem córce, że dziś z nią pobiegam — uspokoił ją Marcin, chyba wyczuwając jej niepewność. — To co? O dziewiętnastej pod kościołem?

— Super! — Joanna odetchnęła. — Będę na pewno.

Julia Janecka niechętnie oderwała wzrok od książki. Pochłaniała właśnie kolejny tom *Gry o tron* i dopiero kiedy ojciec powtórzył swoje pytanie po raz trzeci, do dziewczyny w ogóle dotarło, że coś do niej mówi.

— Ale że co? — spytała nieprzytomnie.

— Ale że jest osiemnasta trzydzieści — oznajmił Marcin.

— Przecież pozmywałam! — Głos nastolatki w jednej chwili nabrzmiał pretensjami. — Czego znowu chcesz?

— No proszę, moja dziecinka, zawsze taka uprzejma i łagodna. — Janecki wykrzywił się, wznosząc oczy w udawanym oburzeniu. Stalowe oczy „dziecinki” mierzyły go krytycznie znad opasłego tomu. — Pozmywane pierwsza klasa. Ja nie o tym. Biegać mieliśmy.

— Upsik. Tatusiu, sorry! — Julka zerwała się z fotela i dramatycznie zakryła usta dłońmi. — Zaczytałam się.

— Dobrze już, dobrze. Zbierasz się?

— Oj, nie wiem, czy mi się chce. Mam jeszcze zakwasy. — Próbowwała wykręcić się Julia, bo kolejne rozdziały kusiły bardziej niż perspektywa treningu z ojcem.

— Wczoraj ci się chciało. Poza tym przypominam ci, że sama mnie o to prosiłaś.

— No, ale tatooo...

— Cóрко, musisz iść, bo umówiłem się na bieganie z nową nauczycielką angielskiego. Po pierwsze, kobiecie trzeba pomóc, bo nie jest stąd i nie zna tras, po drugie, regeneracyjny truchcik znakomicie wpłynie na twoje zakwasy, a po trzecie — jak będę z nią sam, to te plotkary spod kapliczki mnie obsmarują. Więc jak widzisz, to wszystko z troski i poczucia przyzwoitości — zakończył triumfalnie.

— No masz, za przyzwoitkę mam robić? — jęknęła dziewczyna. — Mamy dwudziesty pierwszy wiek, teraz nikogo nie zgorszy wspólny trening babki i faceta, no co ty, tato! Chyba nie boisz się mamy?

— Oczywiście, że nie boję się własnej żony, kochana córeczko, ja po prostu wiem, że nasze lokalne strażniczki przyzwoitości raczej nie zauważyły, że mamy, jak to określiłaś, dwudziesty pierwszy wiek. Zbieraj się — poleciał. — Te twoje gry o tron poczekają z kolejnymi trupami — wygłosił rozbawiony i mrugnął.

— Uch! Tato! — Julka tupnęła nogą. — Miałaś nic nie mówić!

— Przecież nic nie mówię! — Marcin podniósł dłonie w obronnym geście. — Tylko żwawo, bo mamy być na siódmą pod kościołem — dorzucił, wychodząc.

Nastolatka, marudząc pod nosem, wyciągnęła z szafy szorty i koszulkę. Sznurując buty, doczytała jeszcze ostatnie zdania na otwartej stronie książki i z trudem powstrzymała się przed odwróceniem kartki. Po pięciu minutach już truchtała obok ojca, nawet zadowolona, że nie dał jej się wymigać od treningu. Poza tym była ciekawa tej nowej nauczycielki od momentu, kiedy Kaśka od Walczaków wrzuciła na Facebooka wiadomość, że jej babcia wróciła z kościoła wściekła jak stado os, bo jakaś nowa z miasta śmiała zająć jej miejsce przewodniczki w chórze, które piastowała przecież od zawsze, nieświadoma wynikającej stąd rozpaczki wikarego, proboszcza i wiernych. Julia, doskonale zorientowana, jakimi umiejętnościami wokalnymi może się pochwalić babcia Kasi, śmiała się z tego dobre piętnaście minut.

Rzeczywiście, nieopodal kościoła dostrzegła ciemnowłosą kobietę w sportowym stroju, która pomachała im na przywitanie.

— Piękna pogoda — zawołała do nich. — Dobry wieczór!

— Julka Janecka — przedstawiła się nauczycielce, kiedy podeszli z ojcem bliżej. — Bardzo mi miło panią poznać, tata mówił, że będzie mnie pani uczyć angielskiego.

— Nie da się ukryć. — Joanna ciepło się uśmiechnęła. — A w której jesteś klasie?

— W trzeciej gimnazjalnej.

— O, to rok na wylocie do liceum.

— Nie da się ukryć — roześmiał się tym razem Marcin. — To co, pani Asiu,

biegniemy?

— Jasne, jestem gotowa. Ale... — kobieta zawahała się przez chwilę — ...może przejdźmy na ty, tak będzie chyba wygodniej?

— Oczywiście, bardzo mi to odpowiada — przytaknął Janecki. — Narzucamy jakieś tempo czy po prostu biegniemy swobodnie i zobaczymy, co wyjdzie, a ty poznasz trasę?

— Na początek tak najlepiej. Tylko trochę się obawiam, że wasze tempo może być dla mnie zabójcze — parsknęła śmiechem Joanna. — Ja biegam czysto rekreacyjnie, piątka w dwadzieścia siedem minut to dla mnie wyczyn.

— To nastawmy się na pół godziny albo dłużej. Julka narzekała na zakwasy, zafundujemy jej regenerację.

— No, dzięki, tato! — burknęła Julia pod nosem, wdzięczna ojcu, że nie zdradził, iż do niedawna piątka w trzydzieści minut była poza jej zasięgiem.

Joanna z zachwytem rozglądała się po okolicy, bo trasa ich biegu prowadziła przez pola i las, z dala od asfaltu, po dobrze ubitym trakcie. Julka pomyślała, że po betonowych ścieżkach w Warszawie to mogła być miła odmiana dla kobiety z miasta. I rzeczywiście — nauczycielka sama opowiedziała, że zazwyczaj truchtała po osiedlu, bo nie zawsze miała czas pojechać na Kabaty, gdzie były dobre trasy biegowe. Julka słuchała z zainteresowaniem, zwłaszcza że dawno nie biegło się jej tak dobrze. Czowała, jak z każdym uderzeniem buta o ziemię kolejne partie mięśni z radością przyjmują wysiłek, a coraz głębszy oddech oczyszcza ciało, i nie umiała opanować radosnego uśmiechu. Nowa znajoma również uśmiechała się lekko, najwyraźniej ciesząc się biegiem i powietrzem.

Kolejne trzy kilometry nic nie mówili, ale wcale nie czuła skrępowania, jakby ćwiczili razem od zawsze. Julia jak nigdy koncentrowała uwagę na pracy rąk i technice stawiania stóp. I nie zamierzała okazywać niezadowolenia ani grymasić, nawet gdy zaczęła odczuwać narastające zmęczenie.

— Przyspieszamy ostatnie pół kilometra? — Jej ojciec zdecydował się przerwać milczenie.

— Dla mnie super, a ty jak? — Joanna zerknęła na Julkę.

— Jasne, może dam radę — zadeklarowała dziewczyna.

— No to ogień! — Janecki dał sygnał i trójka biegaczy rozpoczęła ostry sprint.

Po chwili Marcin znacznie wyprzedził obie dziewczyny i pierwszy wyhamował pod kościołem. Zdyszany oparł dłonie na kolanach i obserwował finisz córki i nowej koleżanki. Joanna wysunęła się na prowadzenie, ale Julka nie została daleko w tyle. Wkrótce dziewczyny wpadły na metę i przez chwilę ciężko dyszały.

— O, kurde, tato! Ale dałeś! — Nastolatka opadła na ziemię i schowała głowę między kolana.

— Dobry wieczór. Wyścigi? — usłyszeli za sobą.

Julka od razu poznała charakterystyczny głos rudego Janka, który pewnie jak zwykle włóczył się samotnie po okolicy. Odwróciła się. Siedział na ławce pod plebanią. Obok leżała otwarta książka.

— Tak wyszło na końcówce. Dobrze, że cię widzę. Jaki nosisz rozmiar buta? — odpowiedział Janecki. Dziewczyna po minie ojca domyśliła się, że w jego głowie zakiełkował jakiś plan.

— Chyba czterdzieści jeden. Załatwię sobie halówki na wuef, nie będzie jak w tamtym roku, obiecuję! — Chłopak zagryzł wargę, jakby zawstydzony pytaniem.

— To wpadnij do nas, zresztą możesz nawet teraz. Kupowałem niedawno biegówki, w promocji była druga para gratis, ale wysyłają tylko ten sam model, a skończył im się mój rozmiar i drugie dostałem numer mniejsze. Nie chciałbym oddawać, bo zależy mi akurat na tych. — Klepnął palcami w podeszwę swojego adidasa. — Julka niestety ma małą stópkę, a na ciebie będą akurat.

— Ale... — Janek się zaczerwienił, a Julka posmutniała, bo ojciec niepotrzebnie zawstydził przy niej chłopaka.

— Przymierzysz i zobaczymy. Jeśli będą dobre, nie będziesz mieć wymówek, kiedy będę organizował grupę biegową. Bo Julka gotowa mi się wykruszyć, gdy zacznie się rok szkolny. Już dziś ledwo wyciągnąłem ją na trening. — Mężczyzna machnął ręką i mrugnął porozumiewawczo.

— Tato! — Julka tupnęła nogą.

— Nie awanturuj się, córuś, tylko zbieraj się z tej ziemi, trzeba się porozciągać.

2

Pierwsze dni września minęły jak burza. Coroczne i — jak poinformowano Joannę — tradycyjne zamieszanie z planem lekcji, akademie związane z rocznicą wybuchu drugiej wojny światowej, do tego zebrania z rodzicami, w których Joanna nie musiała uczestniczyć, bo w pierwszym roku nie dostała wychowawstwa w żadnej z klas... Dopiero w drugim tygodniu rozpoczęły się prawdziwe zajęcia i mogła zacząć poznawać swoich uczniów, lecz i wtedy czas nie zamierzał zwolnić. Samo przygotowanie konspektów zajmowało sporą część popołudnia, a przecież miała na głowie jeszcze śpiewanie w kościele i wieczorne treningi z Marcinem, który zaproponował jej wspólne przygotowanie do październikowego półmaratonu we Włocławku. Wcześniej niż po dwudziestej pierwszej ćwiczyć się nie dało, bo nadal panowały iście afrykańskie upały i nie chcieli narażać siebie ani uczniów na udar cieplny. Janecki bardzo sprawnie zorganizował grupę biegaczy spośród gimnazjalistów, a Joanna chętnie zadeklarowała pomoc w przedsięwzięciu.

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniała o imieninach brata. Dopiero w sobotę, kiedy wracała z próby śpiewu, uświadomiła sobie, że były dwa dni temu. Od razu wybrała numer Adama i po chwili usłyszała jego śmiech.

— Siostrzyczki zapominalskie się umówiły? — Gdzieś w tle słychać było muzykę i gwar głosów. Joanna się domyśliła, że Adam jest w pubie.

— Eee... cześć, brat, no wiem, że spóźnione, ale...

— Szczere — przerwał rozbawiony Adam.

— ...ale i tak wszystkiego dobrego i moc uścisków, i całusy. Całe mnóstwo.

— Joanna nie dała się zbić z tropu. — Niech ci się wiedzie, braciszku — dokończyła.

— No, dzięki, siostra. Ewka też zapomniała, nie przejmuj się. Zpracowana jesteś? — Coś w tonie jego głosu zaalarmowało dziewczynę. Nie była pewna, czy to kiepska jakość połączenia, czy też ledwo słyszalne zmiękczenie końcówek charakterystyczne dla brata, gdy czasem, jeszcze w Polsce, zdarzyło mu się wypić zbyt dużo, czego Joanna nie lubiła. Obawiała się, że Adam pójdzie w ślady ojca.

— Oj, po prostu same nowości tutaj, ale jest super. Dzieciaki na razie grzeczne i chętne do nauki, poza tym śpiewam w kościele i trenuję, i... — Przerwała opowieść, bo gwar w słuchawce na chwilę się wzmógł, a brat odpowiedział komuś po angielsku i lekko się zaśmiał. — Przeszkadzam? — spytała zawiedziona.

— Nie, siostra, nie przeszkadzasz, tylko ze znajomymi do pubu poszliśmy i wiesz...

— To może ja zadzwonię później? Jutro?

— No jasne, siostra, dzięki za życzenia.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, czego zazwyczaj nie robił, a co Joannę trochę zmartwiło. Zadzwoiła nawet do siostry, ale Ewa też nie miała czasu na dłuższą rozmowę.

— No tak, zapomniałam i dopiero dziś zadzwoniłam. Był na imprezie, wesoly — potwierdziła, nie bardzo rozumiejąc, o co młodszej siostrze może chodzić.

— Ale przecież on obiecał tam nie pić! — Joanna wreszcie wyartykułowała powód swojego zaniepokojenia.

— Obiecał, ale przecież to impreza raz na jakiś czas! — bagatelizowała Ewka.

— No nie wiem, raz już była sytuacja, że zaczęło się od imprez.

— Aśka, weź przestań, kiedy to było? No i w porę się opamiętał.

— Bo był tutaj, z nami. A w Irlandii jest sam — naciskała Joanna.

— Rany, ale ty marudzisz. Imieninowe wyjście ze znajomymi sobie zrobił, przecież jest weekend. To na pewno nic takiego. Słuchaj, kończę, bo jak małego nie wykąpię i nie nakarmię teraz, to nam w nocy balangę urządzi.

— To trzymaj się, Ewa. Wrzaskuna ucałuj.

— Ty też, mała, i nie panikuj. Buziaki.

Dziewczyna schowała telefon do kieszeni, ale nie czuła się przekonana, że

taka sytuacja to nic wielkiego. Brat zazwyczaj jej nie zbywał i chętnie słuchał, co porabia jego malutka siostrzyczka. Joanna pomyślała, że może był po prostu na randce i dlatego tak szybko ją pożegnał, ale i to jej nie uspokoiło. „Ech, może jestem zazdrosna i wymyślam” — skwitowała w myślach i postanowiła się skupić na pięknie zapowiadającym się wczesnojesiennym wieczorze. Drzewa jeszcze nie utraciły swojej zieleni, ale już gdzieś dawało się dostrzec przebłęski żółci i rudości, a wiatr czasem podrywał leżące na ziemi drobne listki, opadłe podczas sierpniowych upałów. Chłód, zapowiadany co jakiś czas mocniejszymi podmuchami, nie dawał się zbyt w znaki i Joanna nabrała ochoty na bieganie, choć początkowo planowała odpoczynek po wczorajszych intensywnych przebieżkach z Marcinem. Przyspieszyła kroku, żeby jak najprędzej dotrzeć do domu i przebrać się w sportowe ciuchy. Już czuła zapowiedź radości, jaka ogarnie ją podczas biegu, a ponure myśli rozwiały się niczym dym.

— Te, Marchewa! — Krzysiek splunął na chodnik i gestem przywołał Janka Wiktorskiego, który przeglądając jakąś książkę, wynurzył się z bramy szkoły. Długi z kolegami czekali tam na niego od kilku minut, urozmaicając sobie czas pluciem na odległość.

Chłopak rozejrzał się, ale oczywiście banda wybrała moment, kiedy w pobliżu szkoły nie było nikogo. Musieli wysledzić, że w piątki pomaga bibliotekarce w porządkowaniu księgozbioru. Pani Rybacka dostała w tym roku zadanie przepisania wszystkich kart informacyjnych do programu komputerowego, a Janek zgłosił się na ochotnika. Dawało mu to dodatkową możliwość schronienia się przed prześladowcami, a poza tym bibliotekarka zawsze miała dla niego kilka kanapek lub owoców.

— No, chodźże tu do nas! — zniecierpliwiał się Długi. — Bo po ciebie przyjdziemy. — Splunął raz jeszcze i poprawił spodnie.

Ociągając się, Wiktorski podszedł do grupy wyrostków. Nie miał pojęcia, co wymyślili tym razem, ale nie spodziewał się niczego dobrego.

— Czego chcecie? — burknął.

— Fajowskie masz buty — rzucił Krzysiek, uśmiechając się półgębkiem. — Szkoda by było, gdyby się szybko rozwały, nie? Do biegania?

— Też — mruknął Janek.

Mimowolnie spojrział na biegówki, które dał mu Janecki. Prawdziwe adidas. W życiu nie miał takich świetnych butów. Trochę mu było szkoda, że musiał chodzić w nich na co dzień, ale nie miał innych, żeby te oszczędzać tylko na treningi. A Długi właśnie zasugerował, że mu te buty zniszczy. Albo po prostu zabierze. Chłopak powoli ściągnął plecak i schował książkę, na wypadek gdyby jednak musiał uciekać. Żałował, że wychodząc z biblioteki, nie sprawdził, czy teren jest czysty. Przez większość wakacji udawało mu się schodzić z drogi swoim prześladowcom, niestety wraz z rozpoczęciem roku szkolnego wróciły wyzwiska

i szturchańce. Najwyraźniej właśnie rozszerzyli swój repertuar o szantaż.

— Muszę iść — dodał głośniejszym głosem, nie mając zbyt wielkiej nadziei, że go puszczą.

— Kupisz nam fajki u Sołtysika — usłyszał wyrok.

— Przecież mi nie sprzeda. — Janek wzruszył ramionami i próbował cofnąć się o krok, ale koledzy Długiego zdążyli już ich otoczyć. Wiedział, że nie ma szans. Nawet gdyby im uciekł, to w poniedziałek dostałby pewnie łomot w szatni. Albo gdzieś w drodze do szkoły.

— Dla ojca ci sprzeda. Za pół godziny na przystanku pekaesu.

— Nie mogę. Zresztą nie mam kasy — spróbował jeszcze.

— My też nie! — zarechotał Krzysztof, a reszta bandy ochoczo mu zawtórowała. — Weźmiesz na krechę, twój starszy potem spłaci, nie?

— Nie da mi na zeszyt — powtórzył, chociaż wiedział już, że sytuacja jest beznadziejna.

— Wymyślisz coś, Marchewa. Pamiętaj, za pół godziny czekasz z fajkami na pekaesie. Bo jak nie... — Długi nie skończył zdania, tylko z zaskoczenia uderzył Janka pod żebro tak mocno, że chłopak zgiął się wpół i przysiadł na ziemi. — No, poniałeś?

Janek, nie wstając, pokiwał głową. Chciał, żeby jak najszybciej sobie poszli i go zostawili. Skulił się, osłonił głowę rękami. Gdzieś nad nim huczał ich drwiący śmiech, na szczęście głosy się oddalały. On jednak wciąż słyszał tylko to jedno słowo: „poniałeś?!”. „Poniałeś, szczeniaku, matka nie wróci, bo nie żyje!”. To ojczym wtedy tak do niego wrzeszczał, a Jaś nie rozumiał, co się dzieje. Bał się okropnie i przestał dygotać, dopiero kiedy przyszła do nich jego przyszywana babcia, matka Wiktorskiego, zabrała go do siebie i nakarmiła zacierkami na mleku z cukrem. Ale ona też powiedziała, że mama nie wróci.

W końcu po Krzyśku i jego bandzie nie było już śladu. Janek wstał i podniósł plecak. Otarł twarz dłonią. „Spociłem się jak ostatni tchórz” — wmówił sobie. Nawet w duchu nie umiał przyznać się do łez. Wolał być cykorem niż beksą. Niechętnie ruszył w stronę domu, gorączkowo się zastanawiając, co powinien zrobić. Wiedział doskonale, że jeśli im ulegnie, to na jednej akcji się nie skończy. Ale może miałby trochę spokoju... Nadzieja zakiełkowała w sercu chwilowym ciepłem, a chłopak wbrew rozsądkowi poddał się temu uczuciu. Mógłby spokojnie poczytać książkę na przerwie, bez obawy, że nagle pofrunie ona na drugi koniec korytarza. Albo że jego plecak niespodziewanie wyląduje w koszu na śmieci. Wszystko oczywiście działo się zbyt szybko i zbyt cicho, żeby jakiś nauczyciel to zauważył, no i Długi był na tyle sprytny, że nigdy nie zrobił mu znaczącej krzywdy, więc nawet gdyby Janek poskarżył się nauczycielom, to wszystko rozeszłoby się po kościach. Całe szczęście, bo jego ojczym na wezwanie do szkoły zareagowałby w jeden znany mu sposób: najpierw spuściłby Jankowi tęgie lanie, a jeśli w ogóle poszedłby dowiedzieć się, o co chodzi, to zapewne wróciłby zły, że

pasierb skarży się na kolegów, i zastosował znane sobie środki wychowawcze.

Zamyślony chłopak włókł się ze wzrokiem wbitym w ziemię i nie zauważył biegnącej w jego kierunku Julii Janeckiej. Ona także, skupiona na biegu i głosie lektora czytającego kolejny rozdział sagi o Wędrowcach, nie dostrzegła idącego z naprzeciwka kolegi. W momencie gdy przebiegała obok, on skręcił w stronę przejścia dla pieszych. Odskoczył gwałtownie, w ostatniej chwili unikając zderzenia, ale tak niefortunnie, że boleśnie wykręcił stopę i upadł.

— Janek! — Julka momentalnie stanęła w miejscu i wyszarpnęła słuchawki z uszu. — Przepraszam!

— To moja wina — syknął chłopak, usiłując się nie krzywić, gdy próbował wstać. Skręcona kostka boleśnie pulsowała. — Nic się nie stało, biegnij.

— No co ty, pomogę ci. — Odetchnęła głębiej, wyrównując oddech.

Janek zacisnął zęby. Bolało, ale chyba będzie w stanie iść, choć lekko kulejąc. Szkoda tylko, że z najbliższego treningu będzie musiał zrezygnować, bo ze spuchniętą kostką Janecki nie dopuści go do ćwiczeń. Żałował, bo ostatnio bardzo dobrze rozmawiało mu się z Julią. Przyjemnie było biec razem i zerkać co jakiś czas na jej uroczy profil z długimi rzęsami, lekko zadartym nosem i jasną kitką podskakującą w rytm kroków. Teraz za żadne skarby nie chciał po raz drugi podczas tego feralnego popołudnia wyjść na mięczaka. Ignorując ból, zrobił kilka kroków.

— Widzisz, wszystko w porządku.

— Na pewno? Wyglądało, jakbyś nie mógł stanąć na tej nodze — upewniła się dziewczyna, nie do końca przekonana, czy Wiktorski po prostu nie zgrywa przed nią twardziela.

— Oj, to chwilowe, przecież mówię. Leć już i do zobaczenia na treningu.

— Przydziesz? Byłoby fajnie! — zapewniła go szczerze.

Jankowi mocniej zabiło serce, gdy tak się do niego uśmiechnęła, i postanowił, że choćby nie wiem co, to jednak nie zrezygnuje z biegania z wuefistą. I Julką oczywiście. Nawet noga zdawała się mniej boleć. Nadzieja ponownie obudziła się gdzieś blisko serca, a spotkanie z grupą Krzyśka nie było już tak przykrym wspomnieniem.

— To biegnę — zawołała jeszcze Julka i po chwili chłopak patrzył tylko na oddalającą się zgrabną sylwetkę koleżanki.

Westchnął i tym razem uważnie przeszedł przez jezdnię. Stopa ponownie zapulsowała bólem, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. Cicho wślizgnął się do mieszkania i rzucił plecak na podłogę w swoim pokoju. Z drugiego pomieszczenia dochodziło dudnienie telewizora i głośne chrapanie — ojczym już rozpoczął weekend. Janek zrezygnowany wszedł do łazienki i przysiadł na brzegu wanny. Rozmasował obolałą kostkę. Powinien owinać nogę elastycznym bandażem, ale w domu nie znalazł nawet zwykłego. Jedyne, co mógł zrobić, to potrzymać stopę

pod zimną wodą. Trochę pomogło.

Czas na realizację zadania wyznaczony przez Długiego powoli się kończył, a Janek wciąż nie podjął decyzji, co zrobi. Ostrożnie zajrzał do ojca. Na stole leżała napoczęta paczka papierosów, jednak nie zamierzał ryzykować. Wycofał się do swojego pokoju i wyciągnął z szuflady piłeczki. Żonglowanie zawsze go uspokajało.

— Dlaczego nie ma chleba? Nie upiekłaś?

Maria doskonale знаła ten głos. Lekko chrypliwy po śnie, z nutą zawodu grającą na końcu każdego pytania. Nie musiała patrzeć, żeby widzieć swojego męża zagląającego do pustego chlebaka i wytrząsającego z bawełnianej torby ostatnie okruszki na stół, jakby to mogło mu pomóc w znalezieniu pieczywa. Jak on jej się podobał, taki niewyspany, rozgrzany, z oczami zmrużonymi w zbyt jasnym jeszcze świetle. Jak lubiła jego silne dłonie rozcierające policzki pokryte lekkim zarostem. „Teraz spyta o bułki” — pomyślała. Zastygła w bezruchu, czekała. „Zapyta, a wtedy Ania powie, że skoczy do sklepika i...”.

Cisza i półmrok sypialni. Maria gwałtownie usiadła, nagle wyrwana ze snu. Przecież Wojtek nie żyje, Ania nie żyje — przypomniała sobie i po raz nie wiadomo który jej serce ścisnęło się, zaciążyło jak kamień. Odruchowo otarła twarz, ale łzy nie płynęły. Nie płakała już od dawna. Nie mogła. Bała się, że kiedy zacznie, nie będzie w stanie przestać.

Niechętnie wstała. Za oknem słońce pokonywało chmury, pięknie barwiąc niebo, zupełnie jakby domagało się jej uwagi i zachwytu, ale Maria i tym razem nie patrzyła w tę stronę. Od dnia pogrzebu, kiedy wszystko wokół poszarzało, a ona nie miała siły, by to zmienić. To Wojtek zawsze jej powtarzał, że pogoda w duszy decyduje o tym, w jakich kolorach widzimy świat. Dla Marii czas się zatrzymał, a zimny wiatr konkurował z marznącym deszczem i mgłą. Pewnie dlatego znowu czuła przejmujący chłód. Rozejrzała się w poszukiwaniu swetra. Leżał na fotelu, zwinięty w szarobury kłęb.

„Właściwie to mam do ciebie żal” — mówiła w myślach do ukochanego. „Pierwszy raz przychodzisz we śnie i pytasz o chleb. Nie interesuje cię, jak się czuję. Nie ciekawi cię, jak sobie radzę. Tylko czy jest chleb. Tylko czy upiekłam chleb”.

Ostatnie słowa wyszeptala, a potem powtórzyła głośno.

— Jak możesz pytać tylko o chleb?! — wrzasnęła i tupnęła nogą.

Krzyk zabrzmiał w jej uszach jak zgrzyt. Zdecydowanym krokiem podeszła do łóżka i sprawnie ściągnęła poszewki. Zebrała jeszcze trochę ubrań i całą górę wpakowała do pralki. Wróciła do pokoju i równie energicznie ruszyła do ataku na kurz zalegający na szafkach. Potem przyszła kolej na okna. Zdjęła dawno nieruszane zasłony i wypucowała szyby. Sypialnia była tylko preludium do wielkiego sprzątnięcia w całym mieszkaniu. Kuchnia i łazienka przyjęły słuszną

porcję dawno nieużywanych środków czystości, z podłogi odkurzacz wessał naniesiony z dworu piach, zmywarka mruczała groźnie, pralka i suszarka wyrzucały kolejne partie czystych tkanin, a rozzłoszczona Maria wycierała, przecierała i szorowała wszystko, co tylko podeszło jej pod rękę dzierzące szmatki i detergenty.

— Chleb czy upiekłam? A kto naczynia zmyje, kto pranie poskłada? Nie widzisz, jaka podłoga zapaskudzona? Nie chciałbyś zapytać, czy już posprzątałam w kiblu, czy może kończy się domestos? A może firanki byś rozwiesił? — dogadywała przez zaciśnięte zęby.

Nie ominęła gabinetu Wojtka i sypialni Ani. Jak w transie pakowała ich rzeczy do wielkich worków na śmieci, które przyniósł jej brat. Wtedy połknęła łyżę. Nie wyobrażała sobie, jak miałyby pozbyć się tego, co kojarzyło jej się z córką i mężem, oddać komuś wszystkie wspomnienia. Ubrania, które dotykały ich ciał. Tak po prostu wynieść z domu ich zapach, ślad ich obecności.

Dziś była w stanie to zrobić. Jeszcze gderała pod nosem, że tyle tych koszulek, dzinsów, bluz we wszystkich kolorach tęczy. Że takie koszule wyszły z mody pięć lat temu, a w szerokim, granatowym krawacie to go nie widziała od czasu ich trzeciej rocznicy ślubu i po cholere było to trzymać.

Nie czuła zmęczenia ani głodu. Napędzał ją gniew. Na wszystko i wszystkich: pralkę, że wolno pierze; kuchenkę, że nie łąni dostatecznie mocno; kamień, że zostawia osad w łazience; kierowcę, który wpadł w poślizg bez uprzedzenia, choć doskonale wiedziała, że wypadku nie da się przewidzieć; na córkę, że nie przyszła do niej w żadnym ze snów; a najbardziej na męża, że zapytał o ten cholerny chleb. Nie piekła nic od dnia ich śmierci. Nie gotowała. Nie sprzątała. Mieszkanie ogarniał czasem jej brat razem z bratową, ale Maria zazwyczaj nie pozwalała im nic ruszać. Krążyła między cmentarzem a sypialnią, okutana w swój szary sweter, wiecznie przemarznięta, skulona, rozpaczliwie tęskniąc za tym, co nie mogło już wrócić, pogrążona we wspomnieniach, jakby terażniejszość i przeszłość nie zasługiwały na choćby gram jej uwagi.

Wieczorem dzieło uznała za skończone. Z pewnością nawet królowa wszystkich perfekcyjnych pań domu nie wygrałaby dziś z Marią w konkursie na najlepiej wysprzątane mieszkanie. Ukoronowaniem wysiłków było pięknie wyrobione chlebowe ciasto ukryte pod lnianą ściereczką w owalnej foremce. Na szczęście znalazła suche drożdże w koszyku z przyprawami, bo pozostawiony bez opieki zakwas skisł już parę miesięcy temu.

— Teraz będę mogła upiec ten twój chleb. Ten cholerny chleb... — wyszeptala i bez siły usiadła na podłodze. Świeżo wypastowanej i wyfroterowanej.

Dopiero w tej chwili dotarło do niej, jak potwornie jest zmęczona. Bolały ją wszystkie mięśnie, nawet te, o których dotąd nie miała pojęcia. Na policzkach poczuła gorące krople łez. Nie musiała szlochać, żeby wydusić z siebie żal i ból.

Łzy spływały na szyję i dekolt, łaskotały za uszami, zostawiały sól na ustach. I niosły ulgę. Koły ból w sercu. Dawały nadzieję, że jednak będzie w stanie żyć dalej. Pamiętać i żyć.

Nie zapaliła światła, tylko wyczerpana płaczem położyła się na plecach, żeby przez chwilę dać odpocząć mięśniom. Ciemność niepostrzeżenie zabrała ją w sen. Znużenie po dniu ciężkiej pracy wygrało i Maria przespała bez mała całą noc.

O świcie swoje pogaduchy rozpoczęły ptaki i ich trele, wpadające wraz z chłodnym powiewem przez uchylone okno, obudziły Marysię. Znajomy i miły aromat rosnącego ciasta przebijał się przez zapach pasty do podłóg. Mięśnie przypomniały Marii o wczorajszej harówce, gdy tylko podjęła próbę wstania.

— No, to teraz mam mnóstwo zakwasu. W mięśniach! — przygadała samej sobie i wybuchnęła śmiechem. Szczerym, aż do bólu brzucha. Oczyszczającym.

Chichotała jeszcze, robiąc sobie kawę i nastawiając programator w piecyku. A potem krytycznie pociągnęła nosem — ona sama nie pachniała zachęcająco. Skontrolowała swój wygląd w lustrze. Flanelowe spodnie od piżamy i nieodłączny pulower poplamiała wybielaczem, koszulka była powyciągana, a nawet rozpruta na szwie. Maria wzruszyła ramionami, zdjęła wszystkie ciuchy, wpakowała do kosza na śmieci i pomaszerowała do łazienki. Z ulgą i radością odkręciła wodę i stanęła pod gorącym strumieniem. Namydlała całe ciało i włosy kilka razy, aż uznała, że bardziej czysta już nie będzie. Ponownie obejrzała się w lustrze. Schudła. Włosy urosły i sięgały łopatek, a siwe pasma przetykały pszeniczny blond niczym nitki babiego lata. Jej matka i babcia też siwiały wcześniej, pięknym gołęmbim odcieniem. Ładnie to wyglądało. Za to reszta wymagała natychmiastowej interwencji. Maria, tym razem uzbrojona w krem do depilacji, peeling, pilniczki, pumeksy, nożyczki, ruszyła na pomoc swojemu zaniedbanemu ciału.

Za trzecim razem przyglądała się swojemu odbiciu z cieniem satysfakcji. Stała przed lustrem jak nowa i zupełnie naga — bez ani jednego zbędnego włosa, z pięknie opiłowanymi paznokciami i miękkimi piętami. Obnażona do wszelkich granic. Wydepilowała sobie dosłownie wszystko i jej kobiecość po raz pierwszy od lat dzieciennych była pozbawiona nawet delikatnego zarostu. Zachwycona, a jednocześnie onieśmielona delectowała się poczuciem całkowitej nowości. Ostrożnie nakryła ciepły wzgórek dłonią, a drugą ułożyła na piersi, jak Wenus z wizji Botticellego. To, co teraz czuła, narodziło się tylko dla niej i pragnęła, by takie świeże i niezwykle stało się symbolem początku jej innego świata, w którym może pamiętać i wspominać bez rozpacz.

Minutnik obwieścił koniec pieczenia. Maria, nawet nie myśląc o narzuceniu na siebie czegokolwiek, pobiegła do kuchni i po chwili, jedynie w wielkich silikonowych rękawicach na dłoniach, wyjmowała z pieca foremkę z chlebem. Wspaniały zapach uderzył ją ze zdwojoną siłą i przyniósł tylko czystą radość zamiast bolesnych wspomnień. Kobieta spojrzała na wyświetloną na programatorze

datę.

— Wszystkiego najlepszego — powiedziała cicho, układając pieczywo na kratce do ostygnięcia.

Właśnie skończyła czterdzieści lat.

Joanna zaraz po próbie w kościele pobiegła do domu i szybko otworzyła pocztę w komputerze. Minął ponad tydzień, a ona wciąż nie dostała od brata odpowiedzi na maila. Na jego profilu na Facebooku nie pojawiały się żadne aktualizacje, ale to akurat było normalne. Brak korespondencji jednak niepokoił. Ewa uspokajała ją, że jak zwykle przesadza i Adam na pewno wkrótce zadzwoni. Przecież ma swoje życie i naprawdę nie musi co chwila meldować siostrze, co u niego. Zupełnie bagatelizowała fakt, że to milczenie się przeciąga i brat nie odpowiada też na esemesy.

— Jezu, Aśka! Telefon zapomniał włączyć albo wyjechał gdzieś i nie wziął komputera, a prędzej to ma już ciebie dość. Przestań ciągle tak jójczyć. Ja też nie mam czasu na telefony i facebooki — usłyszała, kiedy kolejny raz w tym tygodniu zadzwoniła w tej sprawie do Ewy.

— Zawsze był w kontakcie, po prostu się martwię — tłumaczyła, ale siostry zupełnie to nie przekonało.

— Naprawdę mogłabyś się uspokoić. Do mnie też nie odzywałaś się pół września i rabanu nie narobiłam.

— Ty też się nie odzywałaś — wypomniała, ale zaraz pożałowała swoich słów. Wiedziała, że Ewa nie znosi krytyki i nawet delikatne napomnienia traktuje jak wypowiedzenie wojny. Joanna wołała nie wchodzić w żadne konflikty z siostrą i zazwyczaj zrećnie omijała wszelkie problematyczne tematy. Wygodniej było przemilczeć, niż się kłócić, bo każdą ostrzejszą wymianę zdań i tak bardzo długo przeżywała. Zwłaszcza jeżeli towarzyszył temu krzyk. Teraz też wiedziała, że Ewa po prostu nie rozumie, dlaczego ona się martwi. Coś takiego jak przeczucia czy intuicja zdawało się siostrze całkowicie obce.

— No i co, umarł ktoś z tego powodu? Myślisz, że ja tu nie mam co robić? Dzieciak, praca, obiady, spacer, sprzątanie. Jakoś cię tu nie widziałam w weekend, żeby mi pomóc.

— Ewa, przecież ci proponowałam, że przyjadę w sobotę po południu. Mówiłam, że rano mam próby śpiewu, a w niedzielę po południu tę grupę biegową i...

— Dobra, dobra, już się nie kłóćmy, wiem, że jesteś zajęta. I tak nam dużo pomagałaś. — Ewka niespodziewanie złagodziała ton i przerwała wymówki. — Chodzi mi tylko o to, że niepotrzebnie się niepokoisz. On też ma prawo do odcięcia się na jakiś czas. Mówił, że najpóźniej na święta znowu przyjedzie. Wyluzuj, co?

— Święta dopiero w grudniu. — Joanna pociągnęła -nosem.

— Oj, wytrzymasz, mała. Nie smuć się, okej?

— Okej. Trzymaj się, Ewa, i dzięki.

Mimo wszystko ponury nastrój jej nie opuszczał. Wysłała jeszcze jedną wiadomość mailową do brata, na wszelki wypadek ponowiła również esemesa i postanowiła wyjść na spacer. Zakładając buty, analizowała swoją rozmowę z siostrą. Może Ewa ma jednak rację, że nadmiernie przywiązuje wagę do kontaktów z bratem? A może to przez brak znajomych? Joanna przyznała sama przed sobą, że nawet gdyby chciała pogadać z jakąś przyjaciółką, to tak naprawdę nie ma do kogo zadzwonić. Marta ze zrozumiałych względów odpadała — to ona była przyczyną zakończenia związku z Damianem. Z Goską, z którą dzieliła ławkę w liceum, miała ostatni raz kontakt w połowie studiów, kiedy przypadkowo spotkały się na dworcu. W sumie fajnie byłoby odnowić znajomość, na pewno odnajdzie jej profil na Facebooku. Z kluczami w dłoni przysiadła jeszcze na moment przy otwartym laptopie. Rzeczywiście, Gosię Mulicką znalazła dość szybko i wysłała jej wiadomość. Może jeszcze ktoś? Poszperała w profilu koleżanki, co zaowocowało kilkoma dodatkowymi zaproszeniami dla ich wspólnych znajomych.

Trochę poprawił jej się humor i na spacer ruszyła w zupełnie innym nastroju, którego nie zburzyły nawet nadciągające z zachodu chmury zwiastujące popołudniowy deszcz. Na razie pogoda była jeszcze przyjemna, wręcz zachęcała do niespiesznej wędrowki po okolicy. Joanna skierowała się w stronę cmentarza, zainspirowana rozmową z historykiem o zachowanych w bardzo dobrym stanie starych nagrobkach zasłużonych dla miasteczka księży. Był tam także pomnik upamiętniający piętnastoletniego Antka — harcerza, który w czasie drugiej wojny światowej poległ, broniąc swojej rodziny. Wszystko to bardzo Joannę zaintrygowało. Poza tym lubiła cmentarze za spokój, jaki zazwyczaj tam panował. Tutaj podziwiała wyjątkowo malownicze umiejscowienie — pośród drzew, z wysypanymi żwirem alejkami. Zabytkowe nagrobki wzruszały zatroskanymi postaciami aniołów przycupniętych obok krzyży, zwłaszcza na malutkich mogiłach dziecięcych. Zadowolona, że nie ma innych odwiedzających, krążyła między grobami, odczytując napisy, a gdzieś tam zapalając ponownie zdmuchnięte przez wiatr znicze. Uważała, że jest winna zmarłym choć takie podziękowanie za wyciszenie, jakiego doznała, przebywając tutaj. Kiedy obeszła już cały cmentarz, przysiadła na ławeczce naprzeciwko pomnika nieznanego żołnierza i oparła plecy o pień drzewa. Pomodliła się za duszę matki i przymknęła oczy zatopiona we wspomnieniach.

Z zamyślenia wyrwało ją szuranie czyichś butów na żwirowej nawierzchni. Ktoś idący od strony cmentarnej bramy przeszedł za nią, najwyraźniej nie dostrzegając szczupłej sylwetki dziewczyny schowanej za rozłożystym klonem. Joanna popatrzyła w bok, kiedy nieznajomy zrobił już kilkanaście kroków. Bez trudu poznała rudego Janka. Szedł lekko zgarbiony, powłócząc nogami, jakby

przytłaczały go jakieś problemy. W jednej dłoni ścisnął pojedynczy wkład do znicza, drugą wepchnął w kieszeń dzinsów. Joanna obserwowała, jak chłopiec przystaje nad wyróżniającą się pośród innych mogiłą bez pomnika, ze zwykłym drewnianym krzyżem, i zaczyna starannie usuwać liście, które zdążyły pokryć nagrobek szeleszczącą narzutą. Dziewczyna przypomniała sobie zasłyszane informacje, że matka Janka zmarła podczas porodu drugiego dziecka, i zapewne jej uczeń odwiedzał teraz ich grób. Dziwna determinacja w ruchach chłopaka przykuła uwagę młodej nauczycielki. Złość połączona z bezsilnością — tak by to opisała, i nie zdziwiłaby się, gdyby dostrzegła spływające po policzkach młodzieńca łzy. W pewnym momencie Janek przerwał sprzątanie i skulił się na ziemi, przygryzając zaciśniętą pięść. Joanna zawstydzona swoją natarczywą obserwacją wstała z ławki najciszej jak umiała i wycofała się powoli w stronę wyjścia. Chęć podejścia i pocieszenia chłopaka walczyła w niej z wrodzoną nieśmiałością i skrupułami, czy to byłoby stosowne zachowanie i czy Janek w ogóle chciałby, żeby ktokolwiek go teraz widział. Ona też w dzieciństwie wołała zostawać sama przy nagrobku matki i chować przed wszystkimi gorzkie łzy. Adam to rozumiał i zawsze starał się choć na pięć minut odciągnąć Ewę. Dlatego nie podeszła, tylko nie oglądając się za siebie, opuściła cichy azyl. Wiedziała, że będzie tu wracać.

Już na chodniku przy cmentarnym murze Joanna zatrzymała się na chwilę, spojrzęła w stronę bramy i odetchnęła. Miała nadzieję, że chłopak jej nie zauważył.

— O kurwa, to ta nowa nauczycielka — usłyszała nagle za plecami, a odwracając się, zobaczyła tylko oddalające się trzy przerośnięte sylwetki gimnazjalistów, o których mówiło się, że to wieczna łobuzerka. Wzruszyła ramionami, myśląc, że pewnie chcieli skryć się za bramą „na dymka”. Wiedziała, że dogoniłaby ich bez trudu, ale i tak niewiele zdziałałaby w pojedynkę, bo chłopcy czuli respekt raczej przed męską częścią kadry nauczycielskiej. I po prostu nie miała na to ochoty — jej myśli nadal zaprzętało wspomnienie cichych łez zagubionego rudzielca.

— Może następnym razem — wyszeptała do siebie.

Chleb, jeszcze lekko ciepły, przyjemnie pachniał w bawełnianej torbie, a szpilki Marii rażno wystukiwały rytm na podjeździe prowadzącym do domu jej brata. Zdziwiony, ale ucieszony Andrzej czekał w progu i mierzył wzrokiem odmienioną sylwetkę siostry. Miejsce szarego swetra zajął obcisły czarny żakiet, a dopasowane dzinsy podkreśliły zgrabne nogi kobiety.

— Marysia! Co za niespodzianka! Wybieraliśmy się dziś do ciebie z tortem, a tu proszę: jubilatka sama się pojawiła! — Widzyński wyściskał siostrę i wprowadził ją do holu. — Haniu, to naprawdę ona! — zawołał w stronę żony ukrytej w głębi kuchni.

— Już idę, kochani! — Hanna pojawiła się w drzwiach, ostrożnie dzierżąc tacę, na której pyszniło się małe dzieło sztuki z masy marcepanowej, ciasta

biskoptowego i bitej śmietany. — *Happy birthday to you* — zaczęła śpiewać i wolno podeszła do zastygłej ze wzruszenia Marysi.

— Jaki cudowny, żal będzie jeść — wyjąkała Maria, podziwiając subtelne różyczki, wylewające się z kosza misternie wyrzeźbionego z ciasta. — Haniu, jesteś artystką.

— A ty nareszcie też czterdziestolatką, już nie mogłam się doczekać — roześmiała się bratowa. — Tak się cieszę, że przyszłaś. Wyglądasz cudownie, naprawdę.

— Boże, kochani, dziękuję. — Maria zamrugła, żeby odgonić napływające do oczu łzy. — Jak dobrze być z wami.

— Chodźcie, dziewczyny, usiądziemy. — Andrzej przejął stery, widząc, że jego żonę również ogarnia niebezpieczne wzruszenie, i z obawy, że sam podda się ogólnemu nastrojowi. — Och ty w życiu, Maryśka, chlebek przyniosłaś? Upiekłaś?

— No pewnie, dla was. Żeby podziękować za opiekę, kiedy...

— Oj, przestań! — Widzyński ścisnął siostrę za rękę. — Najważniejsze, że jesteś tutaj.

— Tak. — Kobieta otarła łzy. — Jestem dzięki wam. I bardzo mi tu przy was dobrze.

I rzeczywiście tak było. Maria zrzuciła szpilki i skuliła się na sofie. Jedli tort, który wprost rozpływał się w ustach, i pili pyszną kawę, zaparzoną przez Andrzeja z namaszczeniem godnym królewskiego rytuału. Słuchała opowieści Hanny o fantastycznych przepisach, które znalazła na jakimś amerykańskim blogu, poleconym jej przez dziewczynę ich syna. Żartowała z brata, że będzie każde ziarno miał oddzielnie, głaskała mruczącego kota Teodora, który od razu wpakował się jej na kolana, i nawet podzieliła się z bratem i bratową opowieścią o swoim śnie. I było po prostu dobrze. Ciepło. Spokojnie. Po raz pierwszy od tak dawna. Wspominała szczęśliwe momenty, których tak wiele przeżyła u boku swojego męża, ciesząc się, że dziś nie sprawiają bólu. Celebrowała każdą chwilę i lekko uśmiechała się na myśl, że czekają ją kolejne. Za kilka minut, jutro, za miesiąc. Brat Marii włączył nagranie koncertu Kwartetu Smyczkowego Filharmoników Krakowskich i zasłuchali się w delikatne głosy instrumentów.

— Wiem, że jeszcze nie raz będzie mi ciężko i wypłaczę oczy z tęsknoty za nimi — wyznała Maria, kiedy zakończył się szczególnie melancholijny utwór. — Ale dziś odzyskałam siłę. Dla Wojtka i Ani. Dla was. I dla siebie — dokończyła szeptem, bo silne wzruszenie uwięziło jej głos.

Hania nie wytrzymała i rozsłochała się w głos. Mocno przytuliła Marię, a ta głaskała bratową po głowie i powtarzała jak małemu dziecku, że nie trzeba płakać. Andrzej, wzruszony jak nigdy, dołączył do kobiet, z tkliwością obejmując obie. Zupełnie się nie zawstydził, kiedy kilka łez pociekło i po jego policzkach.

Prawie mu się udało przemknąć ze stołówki do klasy, nie wchodząc w drogę Długiemu i jego koleżkom. Od czasu zdarzenia z papierosami minęło kilka dni, a oni nie dawali Jankowi spokoju, dręcząc go przy każdej możliwej okazji, ale wciąż odraczając właściwą „karę” za nieposłuszeństwo, tak żeby wzbudzić jak najwięcej strachu. I Jasiak się bał. Wyrzucał sobie, że jest mięczakiem i tchórzem, ale nic nie umiał na to poradzić. Bo nie wiedział, co jeszcze mogą wymyślić, kiedy znudzą się poszturchiwaniem czy zabieraniem zeszytów. Obiady, dotowane zresztą przez gminny ośrodek pomocy, zazwyczaj jadł w spokoju — po prostu zapobiegliwie siadał blisko okienka do wydawania potraw, z którego pani Nastka zawsze bacznie obserwowała salę, albo w pobliżu któregoś z nauczycieli. Znacznie gorsze były pozostałe przerwy. Wiele z nich spędzał na uzupełnianiu prac domowych w zeszytach swojego prześladowcy albo na ukrywaniu się w łazience lub bibliotece, żeby któryś z chłopaków nie zabrał mu plecaka, który potem lądował w śmietniku albo na dachu jakiegoś składziku. Droga do szkoły również była problematyczna, ale zorientował się, że gdy wyjdzie wystarczająco wcześnie rano, to nie ma szans spotkać żadnego z kumpli Krzyśka ani jego samego, a po lekcjach proponował Julce Janeckiej, że ją odprowadzi. Z niewiadomych powodów córka wuefisty cieszyła się wyjątkowym poważaniem Długockiego i przy niej odpuszczał Jaśkowi.

Ale tym razem Julii nigdzie nie było, a Długi zastąpił mu drogę tuż przed wejściem do klasy.

— Nie tak szybko, Marchewa — syknął. — Daj projekt na angola.

Janek zacisnął zęby. Siedział nad tą pracą przez kilka dni, korzystając z komputera w czytelnicy. Na ostatnim treningu, na który poszedł mimo bólu kostki, nawet rozmawiał o swoim pomysle z Julką. A raczej zaczął, bo po kilkunastu metrach musiał odpuścić. Pan Janecki nieźle go ochrzanił za próby biegania z opuchniętą kostką i zrobił opatrunek z jakąś maścią. Rzeczywiście, noga już tak nie dokuczała, ale bieganie musiał na razie odłożyć. W każdym razie był zadowolony ze swojego projektu i nie bardzo uśmiechało mu się, żeby teraz oddać go Krzyśkowi.

— Nie dam ci — odburknął.

— Ty, Marchewa, nie podskakuj, bo pożałujesz. — Długi wykręcił mu rękę i tak mocno wyszarpnął z drugiej plecak, że Jasiak poczuł pieczenie wewnętrznej strony dłoni. Mógł zacząć krzyczeć, mógł rzucić się na Krzyśka z pięściami, ale nie zrobił nic. Strach znowu rozpełznął się niczym mróz po jego ciele, usztywnił nogi i ręce zaciśnięte w pięści, uwięził głos w gardle. Długi bez trudu odnalazł teczkę z projektem i rzucił niepotrzebny mu już plecak pod ścianę. Bez słowa, za to z szyderym uśmiechem, minął Jaśka i wszedł do klasy. „Wiedział, że nic nie zrobię, że jestem miękka faja” — wyrzucał sobie Janek, żałując, że jak ostatni głupek podpisał tylko teczkę z pracą. Przysiadł pod ścianą i udawał, że zawiązuje

sznurówki. Gorączkowo się zastanawiał, jak zgłosić nieprzygotowanie. Nie chciał zawieść tej miłej nowej nauczycielki, która dołączyła do grupy biegaczy i chętnie rozmawiała z nimi po treningach. Do tego jej lekcje były takie ciekawe. Dużo mówiła o zwyczajach angielskich i amerykańskich, a Janek zafascynowany tym tematem chłonał każde słowo. I co on jej powie? Że zapomniał? Że nie zdążył zrobić? A jak nie powie nic, to będzie jeszcze gorzej. Nagle wpadł mu do głowy świetny pomysł. Angielski był dzisiaj ostatnią lekcją. Jak zwagaruje, to nie będzie musiał się tłumaczyć z braku pracy domowej, a poza tym nie natknie się na nikogo z bandy Długiego. Zerwał się i ignorując pobołowanie w kostce, pobiegł do wyjścia ze szkoły.

Pech jednak go nie opuszczał, bo zaraz za progiem omal nie zderzył się z nauczycielką angielskiego wracającą właśnie z krótkiego spaceru. Jak zdążył zauważyć, lubiła wyjść na powietrze na przerwie. Czasem po prostu stała przed szkołą, a czasem rozmawiała przez telefon.

— Przepraszam, proszę pani — powiedział szybko i chciał lecieć dalej, w nadziei, że go nie poznała. Niestety, tylko on miał włosy jak miedź.

— Janku, czy ty teraz nie masz ze mną lekcji? Coś się stało? — zainteresowała się nauczycielka.

Chłopak zastygł poruszony szczerą troską w jej głosie. Pokręcił przecząco głową, wbijając spojrzenie w czubki swoich butów.

— To dlaczego wychodzisz? Wiesz, że bez istotnego powodu nie mogę cię zwolnić z lekcji.

Wiedział, że mógł skłamać, opowiedzieć cokolwiek o bólu brzucha albo głowy, o pielęgniarce, która dała mu tabletkę, ale tym razem nie strach, tylko wstyd odebrał mu mowę.

— Janku? Odpowiedz, proszę. Zaraz zacznie się lekcja — powtórzyła łagodnie Joanna.

— Nie mogę — szepnął. — Nie mam pracy domowej.

— I co, chciałeś pobiec do domu, bo zapomniałeś projektu?

Ponownie nie odpowiedział od razu. Myśli kłębiły mu się w głowie jak stado rozkrzyczanych ptaków i nie był w stanie sformułować ani jednego zdania.

— Pro... proszę mnie zwolnić. Ten jeden raz. Bardzo proszę.

Odważył się spojrzeć anglistce w oczy. Kobieta westchnęła, wyraźnie niezdecydowana. Odruchowo sprawdziła godzinę na zegarku.

— Ale będziemy musieli o tym porozmawiać z twoim wychowawcą, dobrze? Leć do domu, skoro to takie pilne.

— Dobrze, proszę pani, dziękuję — przytaknął natychmiast.

Chciał jak najszybciej zabrać się do pracy nad projektem. Czuł się paskudnie. Pragnął pokazać pani Joannie, że warto było przystać na jego prośbę i że zależy mu na jej lekcjach, a mógł to zrobić, tylko przynosząc dobrą pracę.

Zaklinał rzeczywistość, żeby po drodze do biblioteki nie spotkał Krzyśka ani żadnego z jego kolegów, żeby nikt mu nie przeszkodził. Nienawidził tego paraliżującego strachu, jaki go ogarniał w ich obecności. Owszem, byli silniejsi i z łatwością spuściliby mu niezłe manto, ale to nie bólu się obawiał — mało to razy dostał od ojca? Jego przecież się tak bardzo nie bał, mimo wielokrotnych awantur z krzykami i biciem. Po prostu traktował to jako element swojego życia. Tylko takie znał, odkąd mama odeszła. Ale w obecności Długiego truchlał ze strachu. I nagle zrozumienie pojawiło się na granicy świadomości, bardziej jako odczucie niż logiczne wytłumaczenie. W oczach ojca nie dostrzegł nigdy przyjemności z dręczenia; stary bił, jakby uważał, że powinien, bo chłopaka trzeba wychować, natomiast Krzysiek znęcał się nad nim z jakąś perwersyjną lubością i Janek nigdy nie wiedział, jak daleko może się posunąć. Aż przystanął porażony swoim odkryciem. Musiał wymyślić sposób na pokazanie im, że wcale się nie przestraszył. Odpokutował już te nieszczęsne papierosy i wystarczy. Może wtedy się od niego odczepią? Postanowił przemyśleć to później. Teraz najważniejszy był projekt na angielski.

Słońce nie dawało za wygraną i pomimo panującej na kartkach kalendarza jesieni temperatura już o ósmej rano dochodziła do dwudziestu stopni. Na szczęście wiał lekki, ale przyjemnie chłodny wietrzyk; dawał nadzieję, że nie będzie upału. Joanna i Marcin Janecki przyjechali do Włocławka przed niespełną godziną, odebrali numery startowe, a teraz już przebrani czekali na rozpoczęcie biegu, wymieniając uwagi na temat jakości nagłośnienia i pogody. Mimo intensywnego treningu, jaki zorganizował jej Marcin, Joanna obawiała się zbytniego gorąca i wysiłku na trasie. Miała już za sobą kilkanaście startów w różnych zawodach, nawet przełajowych, ale w półmaratonie jeszcze nie startowała. Co innego samodzielne pokonanie takiej trasy, a co innego emocje i obecność ponad setki innych biegaczy.

— Liczyłam na uczciwą polską jesień, a tu co? — Joanna poprawiła okulary przeciwsłoneczne i z wyrzutem popatrzyła w górę. Dwie czy trzy pożądane przez nią chmury dopiero zbierały się na horyzoncie.

— Nie narzekamy! — Janecki żartobliwie pogroził jej palcem. — Biegniemy z uśmiechem. Umawialiśmy się! Będę pilnował.

— I z językiem na brodzie — odgryzła się Joanna i oboje parsknęli śmiechem. — Zresztą i tak nie zobaczysz. Ja co najwyżej pooglądam twoje plecy, i to tylko przez chwilę.

— Przecież mówiłem, że mogę biec z tobą.

— Umawialiśmy się, że biegniesz po życiówkę, nie zagaduj mnie. Poza tym chodź, już rozgrzewka.

— Uhm. Czyli po prostu nie chcesz mojego towarzystwa, wiedziałem! — Wuefista wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu. — A ja się tak staram i wyszło, że na darmo? Bez nagrody?

— Marcin! Bo powiem twojej żonie, że mnie podrywasz. — Joanna natychmiast spoważniała, choć miała pewność, że kolega tylko żartuje. Nigdy w żaden sposób nie dał jej odczuć, że ich relacja to coś więcej niż znajomość na stopie koleżeńskej, ale mimo to wołała nie dopuszczać do takich sytuacji.

— Wiesz, że żartowałem, prawda? — Janecki, wyraźnie poruszony, także przestał się uśmiechać, przerwał wymachy rękami i obrzucił Joannę poważnym spojrzeniem.

— Wiem, Marcin. Po prostu nie lubię...

— Jasne, rozumiem. — Nie dał jej dokończyć. — Nie gadajmy o tym, a przynajmniej nie teraz.

Jakiś czas ćwiczyli w milczeniu. Joanna, zawstydzona swoją niefortunną ripostą, wyrzucała sobie, że zepsuła miły nastrój. Bała się choćby zerknąć na Marcina. „Nie powinnam w ogóle nic sugerować, ależ ja jestem głupia. Brawo,

Jaroszówna, jesteś mistrzynią w szybkim psuciu fajnych relacji!” — pomstowała w myślach.

Rozgrzewka dobiegała już końca i czas startu zbliżał się nieubłaganie. Spiker zapowiedział odliczanie i zgromadzeni wokół nich inni biegacze przycichli w oczekiwaniu na rozpoczęcie biegu.

— Gniewasz się? — usłyszała szept Marcina. Spojrzała w bok. Przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem.

— No co ty, głupio mi tylko... — odszepnęła z ulgą.

— To życz mi szczęścia, spróbuję pobiec na rekord.

— Pewnie! Powodzenia!

— Tobie też. — Janecki się uśmiechnął.

Beztronski nastrój powrócił na moment, ale zaraz rozplynął się w adrenalinie, która dała o sobie znać w momencie, kiedy usłyszeli wystrzał oznaczający początek rywalizacji i ruszyli. Podążali chwilę w jednym tempie, a potem Marcin wysforował się do przodu, zwinnie wyprzedzając wolniejszych zawodników. Joanna jeszcze przez kilka chwil widziała jego czerwoną koszulkę i białą czapkę, zanim zasłonili go inni.

Biegła w swoim rytmie, pilnując równego oddechu. Kibice stali wzdłuż trasy nie tylko na stadionie, z którego wyruszyli biegacze, ale również na skrzyżowaniach. Przy moście, który zawodnicy mieli pokonać dwukrotnie, widzowie urządzili tak gorący doping, że Joanna z zadowoleniem zawracała po kolejnym kilometrze, by przebiec obok nich ponownie. Mimo wszystko podbiegi dały jej w kość i po minięciu kolejnego punktu z wodą zwołała do marszu. Odpoczywała, popijając chłodny płyn z plastikowego kubeczka. To pozwoliło jej się zregenerować i po kilku minutach była gotowa do dalszego wysiłku. Jeszcze tylko szybko przyklęknęła bliżej pobocza, żeby poprawić wiązanie w lewym bucie. Przy podeszwie zauważyła zgubiony przez kogoś czip, podniosła go więc i schowała do kieszonki, zamierzając oddać razem z własnym w biurze, żeby pechowy uczestnik nie miał kłopotów.

Pobiegła dalej, czując wstępującą w nią nową energię. Pierwsze kroki po małej przerwie były trudne, ale mięś-nie szybko rozgrzały się ponownie i powróciła do swojego tempa. Po drodze mijała coraz więcej spacerowiczów. Niektórzy przerywali bieg na chwilę, tak jak zrobiła to ona, inni — wyraźnie wyczerpani — szli po prostu przy chodniku, nie tracąc nadziei, że uda im się domaszerować do mety i zmieścić w czasie. Teraz mniej uwagi poświęcała otoczeniu, choć zauważyła, że obiegali rynek, bo zgromadziło się tam więcej kibiców. Potem pozostała jej już tylko walka z własnym ciałem, żeby nie ulec pokusie, nie zwolnić i nie stracić rytmu. A kiedy dostrzegła stadion i zrozumiała, że wygrała tę prywatną potyczkę, nawet przyspieszyła, niesiona radością i krzykiem dopingu. Z uśmiechem minęła linię mety i przyjęła okolicznościowy medal z rąk

miłego wolontariusza. Dostała też butelkę napoju izotonicznego, którą zaraz odkręciła i przyłożyła do ust. Po takim wysiłku lekko kwaskowaty płyn smakował wybornie.

— Hej, hej, brawo! — Marcin pierwszy ją dostrzegł i zaraz podszedł, również zadowolony i uśmiechnięty. — Świetnie się spisałaś, widziałem czas, równe dwie godziny.

— Miałam kryzys po drodze. — Joanna dopiero teraz spojrzała na swój sportowy zegarek, który zatrzymała na mecie. Rzeczywiście, zrealizowała zamierzony plan.

— Skurcz?

— Nie, po prostu energię mi odcięło, chyba przez temperaturę. Napiałam się wody, pół kilometra marszu i przeszło.

— Super! Jestem z ciebie dumny.

— Dziękuję, panie trenerze! — Roześmiała się radośnie, szczęśliwa z powodu pochwały, ukończonego półmaratonu i tego, że zniknęło między nimi napięcie. — A tobie jak poszło?

— Też miałem kryzys. Zmieściłem się dokładnie w czasie, który chciałem poprawić.

— Czyli bardzo dobrze.

— Ale bez rekordu. Sukcesu nie ma. — Janecki pokręcił głową.

Joanna zaprzeczyła i przekomarzali się tak przez całą drogę do szatni i łazienek. W biurze zawodów stanęli w kolejce, aby oddać wypożyczone czipy, i dziewczyna przypomniała sobie o swoim znalezisku.

— Proszę, znalazłam po drodze. — Podała wolontariuszce jaskrawopomarańczowy plastikowy przedmiot.

— Dziękujemy. Wyślemy pechowcowi esemesa, że nie dostanie faktury — zapewniła młoda blondynka w okularach.

— Super. Dziękuję. Szkoda tylko, że czas ukończenia będzie miał taki jak mój, bo raczej biegł szybciej.

— No, nic na to nie poradzimy. I tak ma szczęście, że pani to znalazła.

— Ewela, a może to chip tego, co przybiegł drugi? — wtrącił się chłopak w czarnej koszulce, który wydawał klucze do depozytów.

— Sprawdź. — Wolontariuszka kliknęła coś w komputerze, dopytując wcześniej o numer startowy Joanny.

— Bingo! To jego chip. Mówił, że pękła mu sznurówka. Honorowy facet, powiedział, że regulamin to regulamin, i odmówił zaliczenia wyniku. A przecież miał numer startowy i organizator był skłonny wydać oświadczenie... A ten nie.

— Godne pochwały — przytaknęła Joanna. — Dziękuję raz jeszcze. Miłego dnia — pożegnała się i ruszyła do szatni, dzieląc swoje myśli między honorowego zawodnika a chłodny prysznic, pod który zamierzała jak najszybciej wejść.

Ale zanim dane jej było zmyć z siebie trudy biegu, ktoś zaczepił ją, gdy tylko Marcin skręcił w stronę męskiej szatni.

— No, no, biegamy — usłyszała zabarwiony kpina głós.

Poznała go od razu. Damian. Nie widzieli się od tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy wykrzyczała mu, że jest draniem, i kazała zniknąć ze swojego życia. Potem udawało jej się ignorować wszelkie jego zaczepki czy próby kontaktu. Na szczęście nie musieli się już widywać na wykładach. Niechętnie podniosła wzrok. Stał przed nią dumny z siebie i świeży, w koszulce z napisem „wolontariusz”. Joanna z nutką zadowolenia stwierdziła, że widok jasnych jak len włosów byłego chłopaka, które przecież tak lubiła odgarniać mu z czoła, kiedy spał, nie wywołuje już bolesnych tęsknot i wspomnień.

— Ja biegałam — podkreśliła nie bez satysfakcji i postąpiła w bok, chcąc go ominąć jak niewygodną przeszkodę.

— Dawno się nie widzieliśmy... — zaczął Damian, pewny, że ją zatrzyma.

— Spieszę się — ucięła. Przeszkadzała jej jego obecność, dziwny uśmiezek, ciemne okulary skrywające wyraz oczu. Pot na skórze i koszulce zaczął niemal parzyć.

— To może potem skoczmy na kawę? — nie ustępował.

— Nie. Powiedziałam, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Daj mi przejść. — Zdecydowanie odsunęła jego rękę, która prawie wylądowała na jej ramieniu. Mimo wszystko ten dotyk mógł przywołać to, o czym tak usilnie starała się zapomnieć przez ostatnie miesiące.

— No, weź, Aśka. Nadal się wściekasz?

— A jakie to ma znaczenie? Nie mam dla ciebie czasu i już!

Coś jeszcze mówił, ale już nie słuchała. Zdenerwowana wpadła do szatni i schroniła się w kabinie prysznicowej. Szybko zrzuciła ubranie i odkręciła wodę. Z ulgą poddała się chłodnym strugom. Tak, była zła. Na siebie, że pokazała emocje przy tym palancie. Nie umiała potraktować go z wyniosłym spokojem albo z zimną obojętnością. Wszystko byłoby o niebo lepsze od piskliwego „nie mam czasu”. Najlepiej, gdyby minęła Damiana bez jednego zdania. Jakby nie istniał. Tak sobie przecież obiecywała. A wystarczyło pierwsze po przerwie spotkanie i postanowienia okazały się nietrwałe niczym bańki mydlane.

Pogrążona w ponurych myślach wyszła spod prysznic. Znane czynności jak zwykle pomogły jej się uspokoić i Joanna w nieco lepszym nastroju wróciła do szatni, żeby zabrać resztę rzeczy. Pomieszczenie było puste, a większość szafek już otwarta, ale kiedy zarzuciła na ramię pasek torby podróźnej i ruszyła do wyjścia, w drzwiach ukazała się znajoma sylwetka. Damian zatrzymał się w progu, opierając ramię o futrynę, żeby tym razem nie mogła go wyminąć. Niedbalym gestem przesunął okulary na czubek głowy. Joanna patrzyła mu w oczy bez słowa i tylko paznokcie wbite w skórę dłoni świadczyły o jej zdenerwowaniu. Chłopak

również nic nie mówił. Nagle poderwał się i w dwóch krokach znalazł się przy niej. Trzasnęły pchnięte energicznie drzwi. Dziewczyna odruchowo dała krok w tył, ale Damian był szybszy. Objął Joannę, zanim zdążyła zareagować. Poczła jego dłoń na pośladkach, jego wargi zmiażdżyły jej usta. Nie miała szans, żeby się wyrwać — był od niej wyższy i silniejszy, a drugą ręką przytrzymał jej głowę. Pocałunek był mocny, zaborczy i nie trwał zbyt długo. Mimo to Asi wydawało się, że wpychany przez Damiana język zabiera jej powietrze. Uderzyła prześladowcę pięściami w tors — raz, drugi — bezskutecznie. Nie robiło to na nim wrażenia i przerwał dopiero po chwili. Ujął Joannę za ramiona i unieruchomił jej ręce jak niesfornemu dziecku. A potem zwolnił uścisk, odwrócił się i wyszedł.

— Jeszcze zatęsknisz — rzucił już zza progu.

Joanna trzęsała się ze złości i upokorzenia. Pojedyncze łzy załaskotały powieki i starła je gniewnym gestem. Wzbierały w niej mdłości, więc starała się głęboko oddychać. Na języku pozostała gorzka papierośka zmieszana z miętą. Wypluła usta, ale to nie pomogło, jakby smak poniżenia miał w nich pozostać już na zawsze.

W uszach gwizdały mu jeszcze wyzwiska, którymi potraktowała go banda Długiego, kiedy wygrzebywał z kosza na śmieci swoje zeszyty. „Śmieciarz!”, „Rudy, znowu szukasz zarcia po śmietniku?!”, „Zgubiłeś coś, Marchewa?” — wołali, stojąc wokół i zanosząc się śmiechem. Wcześniej spisali od niego pracę domową z matematyki i geografii. Janek zaciskał zęby. Udawał, że nie słyszy, że jest sam, że nic a nic nie obchodzi go to, co się dzieje. Byłoby idealnie, gdyby mógł powstrzymać piekącą czerwień, która wykwitła na jego policzkach. Czuł, jak pali go skóra, a im bardziej się wstydził, tym intensywniejsza była barwa rumieńców. Wreszcie prześladowcy uciekli spłoszeni dzwonkiem na lekcje, a on mógł spakować plecak i pobiec za nimi do klasy na angielski. Dziś pani Joanna miała oddać ocenione projekty. Janek przypuszczał, że nie dostanie zbyt dobrej oceny, ale trudno. To nie z tego powodu był pełen obaw. Istniało niebezpieczeństwo, że nauczycielka słyszała jego rozmowę z Julią i wie, o czym planował napisać. Nie miał też złudzeń, że domyśli się, iż praca Długiego nie jest samodzielna. A jeśli Krzysiek zaliczy jedynekę, to on dostanie łomot po szkole. Piętno kapusia.

Lekcja mijała jak zwykle, ale zdenerwowanie go nie opuszczało i nie mógł skupić się na treści ćwiczeń. W końcu przyszedł czas na oceny z pracy domowej. Pani Joanna wyczytywała kolejne nazwiska i każdy projekt krótko omawiała, pokazując, co jej się podobało. W klasie ucichło, nawet największe rozrabiaki z ostatnich ławek z zainteresowaniem słuchały nauczycielki, bo to było dla wszystkich coś nowego: same pochwały i dobre stopnie. Janek uspokoił się trochę, a kiedy wrócił na swoje miejsce z czwórką z minusem, nawet nabrał nadziei, że nie będzie tak źle.

— Muszę przyznać, że najlepszą pracę zostawiłam na koniec — oznajmiła

anglistka.

Uczniowie popatrzyli po sobie. Przecież wszyscy dostali już oceny. Oprócz Długiego, który interesował się nauką tylko wtedy, kiedy groził mu egzamin komisyjny albo jedynka na koniec roku.

— Krzysztof, długo zastanawiałam się nad twoim projektem — kontynuowała tymczasem nauczycielka, a Długi wstał, uśmiechając się głupkowato i wykrzywiając do kolegów. — Bardzo się ucieszyłam, że oddałeś pracę, bo przecież nie było cię na lekcji, gdy o tym mówiliśmy. No i wybrałeś trudny temat.

— Się wie, psze pani — mruknął Długocki.

— Powiem też, że nawet przemknęło mi przez myśl, że nie jest to twoja samodzielna praca... — Joanna zawiesiła głos i spojrzała wyczekująco na Krzyśka.

— To jest dobra czy nie jest? — palnął Długi, który wyraźnie zdenerwował się po ostatnich słowach nauczycielki.

— Jest. Najlepsza w waszej grupie. Ale ty dotąd nie wykazywałeś takiego zainteresowania moim przedmiotem. Powiedz, ktoś ci pomagał?

„Żeby tylko nie spojrzała na mnie, żeby tylko nie spojrzała na mnie” — zaklinał Janek w duchu. Wiedział, że jego prześladowca uzna, iż to on doniósł nauczycielce o kradzieży projektu. Siedział skamieniały ze wzrokiem utkwionym w ławce. Długi tymczasem zaciskał pięści i kalkulował, co mu się bardziej opłaca. W klasie dawno nie było takiej ciszy.

— O czym jest twoja praca?

Krzysiek nie odpowiedział, przecież nawet nie obejrzał tych kartek. Jedyne, co zrobił, to wyjął projekt z podpisanej teczki i namazał własne nazwisko na odwrocie.

Janek poczuł, że pot spływa mu po plecach. Marzył o dzwonku. On także zacisnął dłonie w bezsilnej złości. Na panią Joannę, na Krzyśka, na własną nieudolność. Sytuacja była bez wyjścia, bo teraz jego prześladowca nie będzie już miał wątpliwości, komu przyłożyć.

— Czekam na odpowiedź, Krzysztof. — Nauczycielka pytała łagodnie, ale napięcie było niemal namacalne. Chwytało za gardło i zasychało boleśnie w przełyku.

— Nooo, ktoś mi pomógł — wydusił z siebie Długocki.

— Cieszę się, że potrafisz się przyznać. Dlatego nie dostaniesz oceny niedostatecznej, a jeżeli powiesz, na jaki temat zrobiłeś prezentację, dostaniesz bardzo dobrą.

— Nie pamiętam — wzruszył ramionami Krzysiek.

— W takim razie kto ci pomagał? Chciałabym tę osobę nagrodzić za świetnie wykonaną pracę. Nawet jeśli jest z innej klasy.

— Nooo, Marchewa... znaczy... Jasiek mi pomógł.

— Bardzo dobrze. Janku, dostajesz szóstkę. Gratulacje.

— A ja nic? To chamstwo! — wrzasnął Długocki i kopnął krzesło, a potem wybiegł z klasy, trzaskając drzwiami. Nauczycielka wycofała się za swoje biurko.

Wrzawę, która po tych słowach wybuchła w klasie, zagłuszył dzwonek. Koledzy Długiego wyskoczyli na korytarz, popychając się nawzajem i krzycząc. Janek zaczął wolno pakować swoje zeszyty. Bał się, że będą na niego czekać. Był tak zdenerwowany, że dopiero gdy pani Joanna powtórzyła pytanie, dotarło do niego, iż od jakiegoś czasu stoi ona przy jego ławce. Poza nimi w klasie nie było już nikogo.

— Dlaczego oddałeś swoją pracę Krzysztofowi? — usłyszał.

— Ja mu tylko pomagałem! — zaprzeczył gwałtownie, a rumieniec natychmiast pokrył mu policzki.

— Janku...

— Naprawdę! — niemal krzyknął. — Proszę, czy mogę już iść?

Nie chciał z nią rozmawiać, nie chciał płakać.

— Posłuchaj, jeżeli masz jakieś kłopoty, to zawsze możesz porozmawiać z którymś nauczycielem. — Poczul dłoń anglistki na ramieniu i uświadomił sobie, jak bardzo drży. Znowu poczuł złość pomieszaną ze wstydem.

— Nie mam. — Pokręcił głową i stracił rękę nauczycielki. Fala rudych loków zakryła pełne wstrzymywanych łez oczy. Nie dbając już o dobre zachowanie, chwycił plecak i przepchnął się obok anglistki. Nie zatrzymywała go.

Rozglądając się czujnie, pokonał hol i zbiegł po schodach do szatni. Pusto. W pośpiechu narzucił kurtkę i pognał dalej, do wyjścia.

Czekali. W jednej chwili znalazł się w ciasnym kółku. Kilka celnie wymierzonych ciosów dosięgło jego uszu i podbrzusza.

— Kabel! — syknął Długi i splunął. Ciepła, gęsta ślina rozlała się po szyi Jaśka, aż nim wstrząsnęło. Zaciskając zęby, wytarł rękę o pień jakiegoś drzewa i połykając łzy, powlókł się do domu.

Nie wyglądało to zbyt zachęcająco. Poprzednio był tu sklep, świadczyły o tym pozostałości lady i półek. Ze ścian odłaziły płaty olejnej farby, a deski podłogowe skrzypiały przy każdym kroku. Mimo to Maria rozglądała się z entuzjazmem. Oczami wyobraźni widziała jasne i przytulne wnętrze, z wyłożonym mozaiką piecem, wypełnione prostymi meblami z drewna w ciepłym odcieniu.

— Na kiedy jest pan w stanie zrobić projekt i kosztorys? — zwróciła się do towarzyszącego jej szefa firmy remontowej poleconej przez brata.

— Pomierzę wszystko, zrobię zdjęcia i myślę, że za dwa tygodnie przygotuję coś wstępnego. Ale tu będzie masa roboty, generalny remont. Zdaje sobie pani sprawę? — Mężczyzna przesunął palcami po łysinie i krzywiąc usta, potarł dłonią kark.

— Właśnie dlatego chcę pana zatrudnić, panie Włodku. Wiem, że pan to

zrobi dobrze.

— Pani kochana, ale koszty...

— Dlatego najpierw zamawiam kosztorys i wstępny projekt — ucięła Maria.
— Pan się zabiera do pracy, bo niedługo zmierzch, a prądu jeszcze nie podłączyli.

Październik już miał się ku końcowi, ciepła złota jesień była tylko wspomnieniem. Chłód dawał się we znaki w nieogrzewanym pomieszczeniu. Maria poprawiła apaszkę i otuliła się mocniej kurtką. Dziś dopełniła formalności w zakładzie energetycznym, wodociągach, a wcześniej z pomocą brata zakończyła proces rejestracji własnej firmy. Ale drugie tyle spraw do załatwienia czekało w kolejce. Jak choćby sprawa dotacji. Do tego potrzebny był i kosztorys, i biznesplan. Westchnęła. Od prawie miesiąca siedziała w papierach i nic nie zwiastowało szybkiego końca. Ale mimo to nadal wierzyła, że sobie poradzi. Przecież nic z tego, na co się porwała, nie było dla niej nowością. Jedynie połączenie ról piekarza, księgowego i właściciela firmy stanowiło konkretne wyzwanie. I zamierzała mu sprostać. Dlatego teraz, oparta o parapet okna, zamknęła oczy i wyobrażała sobie, jak pięknie tu będzie po remoncie.

Pan Włodzimierz dokończył pomiary, spakował swój sprzęt i zapewnił, że odezwie się najszybciej, jak to będzie możliwe. Maria pożegnała go nieco nieuważnie, wciąż zatopiona w myślach. W końcu jednak i ona zamknęła drzwi do swojego nowego lokalu. Przystanęła jeszcze przed budynkiem i spontanicznie pstryknęła fotkę aparatem w telefonie komórkowym. Drzwi co prawda były odrapane, okna zakurzone, ale chowające się za horyzont słońce pięknie uwydatniało czerwień liści bluszczu obficie porastającego frontową ścianę. Zdjęcie wyszło całkiem przyzwoicie i -Maria postanowiła, że będzie w ten sposób dokumentować kolejne etapy narodzin swojej pizzerii, żeby później wyeksponować je odpowiednio we wnętrzu. Widziała kiedyś u znajomych takie fotografie pokazujące, jak powstawał ich dom, zawieszane w korytarzu wejściowym, i bardzo jej się ten pomysł spodobał.

Tymczasem słońce zaszło i na dworze panowało przejmujące zimno. Odszukała w torebce kluczyki do samochodu, ale z niejakim zdumieniem odnotowała, że nie ma ochoty jeszcze wracać. Tylko co mogłaby tu robić? Pora niezbyt przyjazna na zwiedzanie okolicy... Zdecydowała, że wróci do Warszawy, wskoczy pod ciepłą kołdrę, a grób męża i córki odwiedzi z samego rana. Miała im przecież sporo do opowiedzenia.

Na cmentarzu jak zwykle się wyciszyła, zapatrzona na kobierce czerwonorudych liści pokrywających nagrobki. Nie ośmieliła się sprzątnąć tej naturalnej, jesiennej ozdoby. Będzie na to czas przed pierwszym listopada, kiedy zapach kwiatów wymiesza się z gwarem ludzkich głosów i aleje rozświetli światło zniczy. Teraz postawiła przy krzyżu dwa niewielkie światełka, jej osobiste płomienie pamięci. Przejmujący wiatr jeszcze tutaj nie dotarł i Maria, zadowolona,

że nie marznie, przysiadła na ławeczce przed grobem. Jej myśli coraz bardziej oddalały się od spraw do załatwienia i dokumentów do skompletowania. Odżyły wspomnienia. „Dam radę, prawda? Powiedz, że dam radę...” — spytała męża, tak jak kiedyś w Tatrach, gdy pojechali na pierwsze wspólne wakacje, jeszcze bez córki. Niby знаła drogę na Mięguszwiecką Przełęcz, była tam przecież wcześniej z klubem wspinaczkowym, ale tego dnia zupełnie spanikowała, już przed pierwszym zwężeniem i klamrami. Zła na siebie, nie mogła zrobić kroku naprzód, tak się trzęsła. Rozpłakała się bezradnie, a mąż patrzył na nią łagodnie, ocierał łzy z jej policzków i powtarzał z przekonaniem, że tak, że przecież świetnie sobie poradzi. Potem, już w schronisku, kiedy tulili się pod kocem, zastanawiała się, dlaczego tak się wystraszyła. Wojtek wymruczał jej wtedy do ucha: „Kochanie, przecież ty jesteś w ciąży”. I rzeczywiście, była. Ale na Przełęcz pod Chłopkiem jakoś nie miała ochoty wracać przez kilka dobrych lat i pojechali tam dopiero na piątą rocznicę ślubu, a mąż wręczył jej na szczycie przepiękny pierścienek. Za Anię i odwagę — tak powiedział.

Maria z westchnieniem porzuciła wspomnienia i po krótkiej modlitwie wróciła do samochodu. Kilka minut poświęciła na rozplanowanie w myślach dzisiejszego dnia. Najpierw niezbędna wizyta w urzędzie, trzeba donieść dokumenty do wniosku o dofinansowanie. Pełna teczka leżała w bagażniku. Przy okazji może zajrzeć do energetyki i wodociągów, upewnić się, czy wszystko będzie podłączone na czas. Szczęśliwie w tym małym miasteczku wszędzie było tak blisko, że praktycznie mogła nie używać samochodu. Potem chciała odwiedzić okoliczne sklepy i zorientować się, jakie pieczywo można w nich kupić.

Ledwie wyjechała z parkingu, wciąż zajęta myślami o swojej pizzerii, gdy do szumu silnika dołączył dzwonek telefonu. Maria zerknęła na wyświetlacz i zdziwiona pacnęła w ikonkę systemu głośnomówiącego.

— Dzień dobry, panie Włodzimierzu. Coś się stało? Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że nie robi pan projektu?

— Nie, pani Kowalska, pani się nie martwi. Potrzebuję tylko informacji, pod jakie urządzenia mam projektować ten pani lokal. Gazowe czy elektryczne? I jaki piec do pizzy będzie?

— Opalany drewnem. A pozostałe to... ja się jeszcze do końca nie zdecydowałam — wyznała niepewnie. — Na kiedy to panu potrzebne?

— Jak najszybciej. Dziś, jutro, pojutrze. A najlepiej na wczoraj. — W głosie fachowca zabrzmiały ciepłe iskierki śmiechu.

— O rany... To mi czas nagle przyspieszył! — Maria się roześmiała. — No nic, wieczorem wyślę zestawienie, dobrze?

— Pasuje! I pani się nie martwi, pani Kowalska. Wszystko będzie tip-top.

— Cieszę się, panie Włodku. To do usłyszenia.

Z żalem stwierdziła, że spacer po miasteczku musi poczekać, bo

rzeczywiście wybór wyposażenia był ważniejszy. Dotąd odkładała decyzję na później, bo sprawy notarialne też miały swój priorytet. Najchętniej od razu zawróciłaby do domu, żeby usiąść przed komputerem i poszukać informacji o najnowszych rozwiązaniach. Tyle że umówionej wizyty w urzędzie przełożyć nie mogła. „Dasz radę” — wspomnienie barytonu Wojtka uśmierzyło niepokój niczym ciepły okład. Maria uśmiechnęła się do siebie i pewnie nacisnęła pedał gazu.

— Pewnie, że dam — szepnęła.

*

Joanna zniechęcona zamknęła laptopa i odłożyła komputer na łóżko. Pierwsza po latach rozmowa z dawną koleżanką nie poszła tak, jak powinna — od słowa do słowa zeszło na ostatnie wydarzenia w szkole i pokłóciły się o ocenę dla Długiego. Gośka kategorycznie orzekła, że Joanna postąpiła zupełnie nieprofesjonalnie i skoro chłopak sprawia kłopoty, to po pierwsze, nie powinna stawiać go w stresowej sytuacji na forum klasy, tylko załatwić sprawę w gabinecie dyrektora lub przynajmniej wychowawcy. Po drugie, skoro miała pewność, kto tak naprawdę wykonał projekt, bezczelnemu złodziejowi trzeba było postawić jedynekę. Joanna próbowała tłumaczyć swój punkt widzenia, ale Gośka nie przyjmowała żadnych argumentów ani nawet nie próbowała zrozumieć powodów, dla których postąpiła tak, a nie inaczej. Skończyło się na chłodnym pożegnaniu.

— No cóż, może kiedy indziej — mruknęła Joanna do siebie i wstała, żeby zrobić herbatę.

Nad parującym kubkiem ogarnęły ją wątpliwości. Może rzeczywiście postąpiła niewłaściwie? Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Krzysiek mógł się odegrać na Janku. Poczula niepokój. Zimny załazek strachu ścisnął jej żołądek. Nie chciała, żeby ten pracowity chłopak miał przez nią dodatkowe kłopoty. Ale puścić Długockiemu płazem oszustwa też nie potrafiła. Westchnęła. Było zbyt późno, żeby zadzwonić do Janeckiego, który przecież znał uczniów o wiele lepiej od niej. „Dlaczego nie przyszło mi to do głowy wcześniej? Mogłam z nim porozmawiać, na pewno by mi pomógł to rozstrzygnąć” — wyrzucała sobie. W dodatku to właśnie wuefista był wychowawcą tej klasy.

Skoro nie mogła zatelefonować, wróciła do komputera i całe zdarzenie opisała w mailu. Jutro pogadają, na pewno Marcin coś podpowie. Pisanie trochę ją wyciszyło. Sprawdziła jeszcze pocztę w nadziei na jakąkolwiek wiadomość od brata. Milczał od dłuższego czasu, a krótkie rozmowy telefoniczne, zamiast uspokoić, tylko dodatkowo ją rozdrażniały. Adam wymawiał się nawąłem zajęć albo zmęczeniem i szybko kończył połączenia. Niestety, w skrzynce odbiorczej poczty znalazła jedynie kilka reklam.

Laptop ponownie został zatrzaśnięty, a Joanna pomaszerowała do kuchni po dolewkę earl greya. Podeszła z pełnym kubkiem do okna i grzejąc dłonie o ciepłe

naczynie, zapatrzyła się w ciemne niebo pokryte dalekimi punkcikami gwiazd. Od feralnego spotkania z Damianem wydawało się, że nic się nie układa tak, jak powinno. Na wspomnienie wymuszonego pocałunku ogarnęła ją złość. Od nowa poczuła smak jego śliny, zaborczy język na siłę wpychany w usta, palący dotyk męskiej dłoni na swoim pośladku. Zdumiała się, jaka przepaść oddziela jej wrażenia z czasów, gdy byli ze sobą blisko, od tych ostatnich. O co mu w ogóle chodziło? O kolejne upokorzenie? Gdyby tak umiała się odegrać... Ale to nie leżało w jej naturze. Ona wołała bez słowa zabrać rzeczy i wyjść, zamiast urządzić awanturę. Przedtem nawet w milczeniu wysłuchiwała niewyszukanych tłumaczeń byłego chłopaka. I nie odzywała się do niego aż do dnia, kiedy spotkali się podczas półmaratonu. Po co w ogóle odpowiedziała na jego zaczepki? Poczula, że jeśli dalej będzie to wszystko rozpamiętywać, to nie zaśnie tej nocy.

Żeby choć trochę odciągnąć swoje myśli od przykrego zdarzenia, przypomniała sobie o znalezionym na trasie biegu czapie i postanowiła sprawdzić, kto jest wpisany w wynikach z czasem brutto takim samym jak jej. Rzeczywiście był tam wynik jakiegoś Bartosza Olszaka, a na stronie organizatora znalazła krótką historię zagubionego czipa oraz notkę, że zawodnikowi wysłano dodatkową nagrodę za zachowanie fair play. Z fotografii zamieszczonej przy artykule uśmiechał się młody mężczyzna o interesującej, surowej urodzie, obejmujący ramieniem czarnego wilczura. Sierść psa i włosy zawodnika były identycznego koloru. Joanna z zadowoleniem przeczytała tekst i obejrzała zdjęcia.

— Tyle dobrego — skomentowała. — A teraz gorący prysznic, trochę dobrej lektury w łóżku i melisa na sen — to twój plan na najbliższą godzinę, Jaroszówna, bo jutro kolejny ciężki dzień — zaordynowała pod nosem i karnie ruszyła do łazienki.

Maria od kilku godzin tkwiła przed monitorem komputera i wyszukiwała coraz to nowe informacje na temat najlepszych pieców do chleba i pizzy, ale nie potrafiła nic wybrać. Owszem, miała wiedzę, ale nie na temat producentów i sprzedawców obecnie działających na rynku. Nie wspominając o markach. Wertowała kolejne strony, zapisywała w zakładkach różne witryny i nie czuła się ani trochę mądrzejsza. Zaczęła nawet przeglądać dyskusje na forach, ale wcześniej czy później w każdym natrafiała na wojenki konkurencji, z których nic konstruktywnego nie wynikało. Wcześniej, tak jak obiecała, wysłała zestawienie potrzebnego jej wyposażenia, musiała jedynie wybrać odpowiedni model pieca, który dla niej był najważniejszy — jak serce całego lokalu.

Już miała się poddać i napisać do pana Włodka, że ma do dyspozycji tyle gotówki, tyle miejsca i niech sobie radzi sam, kiedy w oczy rzucił jej się banner z płonącym kominkiem, opatrzony zachęcającym opisem: „O pieczeniu. Przyjaźnie i z pasją”. Kliknęła. I to był strzał w dziesiątkę. Znalazła forum z mnóstwem porad — od najlepszego przepisu na chleb po szczegółowe i praktyczne instrukcje, jak

naprawić różne usterki sprzętu piekarniczego. Nikt nie dyskredytował innych, a niektóre posty były wręcz kopalnią wiedzy. Po dobrych dwóch godzinach lektury była już niemal na sto procent zdecydowana co do marki swojego wymarzonego pieca. Już go nawet widziała w tym małym lokaliku, który ona uczyni ciepłym i przytulnym. Rankami będzie kusić zapachem drożdżówek i pizzerinek, idealnych na śniadanie do szkoły czy pracy, w ciągu dnia zaoferuje chleby albo bułki bez grama białej mąki, za to z lokalnymi dodatkami, a popołudniami i wieczorem zaprosi na ciepłą pizzę. Zdążyła się zorientować, że w miasteczku działała już typowa cukiernia i kilka sklepów spożywczych, a do tego dwa lokale, gdzie można było kupić alkohol — jeden typowy bar z piwem i drugi, aspirujący do miana restauracji, więc nie miała obaw, że wejdzie komuś ze swoim pomysłem w paradę. Był tylko jeden problem: cena. I długie kolejki do fachowców, którzy takie cuda umieli wykonać. Ale wiedziała, że warto, bo mieli naprawdę rewelacyjne opinie.

Początkowo nie planowała, że stanie się uczestniczką dyskusji na jakimkolwiek forum, ale tutaj panowała tak przyjazna atmosfera, że szybko wpisała dane rejestracyjne. Kiedy załadowała stronę już jako „mała_rysia”, wyświetliły się tematy najnowszych wpisów z działów niedostępnych przed zalogowaniem. A wśród nich widniała oferta sprzedaży po wyjątkowo okazyjnej cenie nowego pieca. Jej pieca. Dokładnie takiego, jaki sobie wymarzyła.

Otworzyła link w nowej karcie i z niedowierzaniem przeczytała wpis kogoś, kto zdefiniował siebie jako... „rysiek”. Parsknęła śmiechem. Dotąd nie zwracała zbyt wiele uwagi na nicki osób piszących na tym forum. A tu taka zbieżność! Zaintrygowana przeszła do tekstu.

„Słuchajcie, dawno mnie nie było. Działo się w tym czasie dużo, ale nie czas teraz i miejsce i, szczerze mówiąc, nie mam jeszcze ochoty na rozgrzebywanie przeszłości. Dlatego musicie mi wybaczyć tę zwięzłość” — pisał ten ktoś, najwyraźniej stały bywalec witryny. Maria pomyślała, że na profesjonalną ofertę sprzedaży ta opowieść nie wygląda. Jeszcze bardziej ciekawa czytała dalej. „Rysiek” opowiadał, że z planów na nowy lokal nici, a poprzedni też będzie musiał zamknąć. Ale na razie najpilniejsza jest sprzedaż pieca, który w tym nowym miejscu nawet nie zdążył być zainstalowany, bo potrzebne mu szybko pieniądze. „Jeśli nie Wy, to może znacie kogoś, kto akurat szuka takiego? Wiem, że wymiary i wymagania miałem specyficzne, ale jeśli Wy nie pomożecie, to już nie wiem kto” — kończyło się nietypowe ogłoszenie.

„A jeśli to oszust?” — pomyślała z nagłą obawą. Szybko przejrzała inne wpisy tego użytkownika. Wydawał się miły i pomocny, a do tego lubiany przez pozostałych uczestników forum. I rzeczywiście od ostatniego postu do tego o sprzedaży minęło kilka tygodni. W dodatku zapewniał, że wystawi fakturę oraz pomoże z transportem. „Mała_rysia” postanowiła, że nie może dłużej zwlekać, bo ktoś sprzątnie jej sprzed nosa ten supersprzęt.

— Kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi — wymruczała pod nosem jedno z ulubionych powiedzonek Wojtka i kliknęła w przycisk „odpowiedz” pod postem swojego wirtualnego imiennika.

„Dobry wieczór. Jak pewnie widać, to mój pierwszy post tutaj. Dziś znalazłam Wasze forum i przez połowę nocy zdołałam przeczytać chyba wszystko, co napisaliście na temat pieca, który chcesz, Ryśku, sprzedać. Tak się składa, że ja dokładnie taki chcę kupić” — zaczęła. Podpisała się swoim imieniem i z bijącym sercem nacisnęła „wyślij”. Przez moment zastygła w oczekiwaniu. Oczywiście nic się nie stało. Tylko Elżbieta Adamiak śpiewała w radiu, że jesienią warto odwiedzić Kraków. Maria zasłuchana podeszła do okna i zapatrzyła się w poprzetykaną światłami latarni noc. Wysłała bezgłośnie podziękowanie w niebo — czuła, że sprawa zakończy się pozytywnie, że jej najbliżsi czuwają. To przecież Wojtek upierałby się, żeby przed kupnem poczytać opinie w internecie, Ania na pewno podpowiedziałyby forum i oboje stali by jej nad głową, doradzając na wyścigi. Uśmiechnęła się ciepło do tej wizji i wróciła do komputera. Odświeżyła stronę. Jest odpowiedź! „Chyba mam dziś szczęście. Witaj, Mario. Napisz mi, proszę, w prywatnej wiadomości numer telefonu i porozmawiamy jutro” — odpisał lakonicznie „rysiek”, a Marysia miała ochotę skakać z radości. Odpisała szybko i wprost nie mogła doczekać się następnego ranka. Kładła się spać w zadziwiająco beztróskim nastroju.

Telefon rozbrzmiał około dziewiątej. Odebrała natychmiast, bo słuchawkę od aparatu bezprzewodowego nosiła wszędzie ze sobą, żeby nie przegapić momentu, w którym zadzwoni internetowy sprzedawca.

— Maria Kowalska, dzień dobry.

— Dzień dobry, z tej strony Ryszard Baliński, ja w sprawie sprzedaży pieca do pizzy. — Rozmówca miał lekko chropawy głos, jakby właśnie przechodził przeziębienie albo był bardzo zmęczony. — Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt wcześnie? I że się pani nie rozmyśliła?

— Nie, skądże! Jestem bardzo zainteresowana, z nieba mi pan spadł z tą ofertą. — Maria zacisnęła dłoń na słuchawce.

— Cieszę się. Tylko uprzedzam, że nie mogę sobie pozwolić na zejście z ceny. Ale załatwię transport. Muszę pilnie wyjechać i potrzebna mi gotówka... — urwał, jakby zorientował się, że nie musi się tłumaczyć przed obcą kobietą. — Mam wszystkie dokumenty, gwarancję. Sprzedawca nie chciał przyjąć zwrotu, bo piec sprawny, a do tego był robiony na zamówienie i taki mają regulamin. Wie pani, renoma marki — rozgadał się znowu rozmówca. — No i chciałbym w przyszłym miesiącu to uregulować, zależy mi na czasie.

— Rozumiem, cena mi odpowiada — zapewniła go Maria. — Dopiero urządzam lokal, ale myślę, że to ogarniemy.

— Świetnie, w takim razie spiszemy umowę sprzedaży i dogadamy termin.

Zaliczka dziesięć procent, reszta gotówką przy odbiorze. Prześlę informację na maila, w porządku?

— Oczywiście.

— To jakby coś, pani dzwoni. Do usłyszenia.

Maria odetchnęła z ulgą, dopiero kiedy pożegnała rozmówcę.

— Jest, jest! — wykrzyknęła podekscytowana i zaraz wybrała numer pana Włodka, żeby podzielić się dobrą wiadomością.

— Oby tylko działał ten pani piec z internetów — ostudził jej entuzjazm majster. — Ale się pani nie boi, sprawdzi się przed zapłatą.

— Cudownie, że pan się na tym zna — zapewniła. — Ale ja wiem, że wszystko będzie super — dodała z mocą.

— No i świetnie. Podjedzie pani do lokalu na osiemną? Pogadamy o projekcie.

Joanna wbiła dłonie głęboko w kieszenie kurtki i naciągnęła kaptur na głowę. Zmierzch, wspomagany przez ponure chmury, wypełnił miasteczko ciemnością i wilgotnym wiatrem, do tego mżyło, ale ona nie miała ochoty jeszcze wracać do mieszkania. Spacerzy zwykle pomagały jej uporządkować myśli. A po rozmowie z Marcinem miała ich w głowie całe galopujące stada. Sama przed sobą przyznała, że nieco się zawiodła. Liczyła na wsparcie i w sumie je otrzymała. Kolega nawet zaproponował, że zwróci uwagę na poczynania klasowego prowodyra i jego kolegów. Mimo wszystko miała nadzieję, że jej postępowanie podczas lekcji spotka się ze zrozumieniem. Tymczasem Janecki nie pochwalił, a wręcz skrytykował to, co zrobiła, podkreślając, że nie dziwi się takim błędom, bo przecież Asia nie ma zupełnie doświadczenia, a to już według niej było całkowicie zbędne.

„Mogłaś Jaśkowi postawić tę szóstkę bez rozgłosu, jeśli byłaś pewna, że to jego praca. A z Długockim pogadać na osobności. A w ogóle to dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie?” — przypomniała sobie konkluzję z obszernego wywodu wuefisty. Prychnęła niezadowolona z siebie. Rzeczywiście, nie pomyślała o tym. Gdyby wpadła na taki pomysł, pewnie byłoby lepiej. Ale proste rozwiązanie nie przyszło jej wcześniej do głowy. Jedyna osoba, której zwykła się radzić, nie odzywała się od tygodni, a do konsultowania problemów z kimkolwiek innym nie przywykła. A teraz mleko się wylało i pozostało jej tylko mieć nadzieję, że nie zaszkodziła sympatycznemu rudzielcowi. Całe szczęście Marcin opowiedział jej w skrócie historię rodzinną chłopaka, zanim wprowadziła w życie swój kolejny plan, czyli rozmowę z ojczymem Wiktorskiego o problemach syna. „Daj spokój, ten człowiek uznałby, że to Janek sprawia kłopoty, i pewnie by mu wlał. Od śmierci jego babki gmina sprawuje nad tą rodziną cichą opiekę, lepiej się nie wtrącaj” — przestrzegł. No dobrze, nie będzie interweniować, ale nie może zostawić chłopaka zupełnie samego, klarowała sobie teraz w duchu.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos hamującego gwałtownie samochodu. Joanna wystraszona stanęła w miejscu, nie bardzo wiedząc, co powinna robić. Zajęta roztrząsaniem swoich niepowodzeń wyszła na ulicę, nie patrząc, czy coś nadjeżdża. Opony zaszurały po mokrym asfalcie i auto szczęśliwie zatrzymało się metr od niej. Odetchnęła z ulgą i ze wstydem odszukała wzrokiem spojrzenie kierowcy. Widziała kierującą wyraźnie, bo wtargnęła na jezdnię w dość jasno oświetlonym miejscu. Żółty krąg światła latarni obejmował obie kobiety i samochód niczym klosz.

Silnik zakrztusił się i zgasł. Drzwi opla odskoczyły z cichym trzaskiem i po chwili z pojazdu wysiadła jasnowłosa czterdziestolatka. Na poblądłej twarzy miała wypisaną nie mniejszą ulgę niż Joanna.

— Przepraszam, to moja wina! — rzekła słabo Joanna. — Nic mi nie jest — dodała zaraz.

— Całe szczęście! — Głos nieznajomej wysyczał nutki życzliwości. — Tak nagle zesza pani z chodnika, myślałam, że nie wyhamuję. A przecież miałam tędy nie wracać, tylko od razu skręcić na Warszawę, ale pomyślałam, że rzucę jeszcze okiem na swój lokal... Ale po co ja to opowiadam... — urwała i roześmiała się. — To chyba z wrażenia.

— Ja wiem, przepraszam. Zamyśliłam się i chciałam skręcić do domu, nie spojrzałam. Przepraszam, naprawdę — tłumaczyła się Joanna, zawstydzona swoim gapiostwem.

— Najważniejsze, że nic nam nie jest. Proszę uważać na siebie, całe życie przed panią. To ja pojedę. Niewykluczone, że się jeszcze kiedyś spotkamy, ale mam nadzieję, że już w mniej dramatycznych okolicznościach. — Kobieta uśmiechnęła się miło. Rozjaśniona twarz i błyszczące oczy ujmowały jej lat.

— Oczywiście. Okropnie mi głupio. — Joanna nie przestawała przeproszać.

— No, już w porządku. Dobrze, że kurtkę ma pani z odblaskami, w porę zareagowałam. — Kobieta odruchowo poprawiła rękawy swojego swetra. Rudość wełny, podkreślona przez uliczną żarówkę, pasowała do pszenicznych fal okalających miłą twarz nieznajomej. — Do widzenia!

Już miała wsiadać, kiedy wieczorną ciszę wypełniło popiskiwanie. Zaskoczone kobiety skierowały się w stronę, z której dochodził dźwięk. Niedaleko, pod krawężnikiem, leżał szczeniak. Podkulał tylną łapkę.

— O Boże, myślisz, że to ja go potraçałam? — Kobieta zakryła usta dłonią.

— O Jezu! — zawtórowała jej Joanna, równie przerażona. — Nie, niemożliwe, przecież twój samochód jest z drugiej strony! — Odruchowo również przeszła na ty.

Podbiegły do psiaka i równocześnie pochyliły się nad piszczącym nieszczęściem. Był cały czarny, jedynie na oku jaśniała biała plamka. Ciemne ślepka uroczo błyszczały w świetle latarni.

— Jaka bida mała — rozczuliła się Maria. — Nie możemy go tak tu zostawić. Moja bratowa jest weterynarzem, zawiozę go do niej.

— Owinę go. — Joanna spontanicznie odmotowała z szyi kaszmirowy szal, prezent urodzinowy od brata, nie troszcząc się o to, że może go zniszczyć. — Chodź, maluszku, nie bój się — zamruczała, troskliwie otulając szczeniaka.

Po chwili leżał bezpiecznie na tylnym siedzeniu samochodu Marii odjeżdżającym w stronę stolicy. Joanna odprowadziła ich wzrokiem i tym razem uważniej przeszła przez ulicę. Kiedy leżała już w łóżku, zorientowała się, że nawet nie spytała nieznajomej o imię ani nie zapamiętała rejestracji samochodu, więc ma małe szanse na odzyskanie swojego ulubionego szalika. Pomyślała jednak, że psiak był tego wart. Poza tym przestała zadrećzać się swoją porażką pedagogiczną.

Padalo niemal bez przerwy. Mokra liście przyklejały się do chodników w brzydkich rdzawych kawałeczkach. Cementarze, choć oświetlone luną zniczy, wydawały się opustoszałe w porównaniu z poprzednimi latami. Julka Janecka poczuła ulgę, kiedy minęły dwa dni zadumy, której towarzyszyła wyjątkowo depresyjna pogoda, i mogła wrócić do szkoły. Liczyła, że niedługo przestanie mżyć, bo treningi w takich warunkach zupełnie nie sprawiały jej przyjemności, a na ostatnim oprócz jej ojca i nauczycielki angielskiego był tylko Janek. Skończyli zresztą wcześniej, bo porywisty, zimny wiatr momentalnie wywołał u biegaczy nagły atak kataru. Nic dziwnego, że wszyscy mieli zwarzone humory.

— Siema, Julka, jak leci? — Długi zrównał się z dziewczyną, a ona mimowolnie wykrzywiła usta. Miała nadzieję, że zdąży pogadać z Jankiem przed lekcjami, a towarzystwo Krzysztofa raczej nie mogło w tym pomóc.

— Normalnie — wzruszyła ramionami.

— Ciągłe biegacie? Boisz się ojcu postawić, co? — zarechotał.

— Biegam, bo lubię — burknęła Julia. — A tobie się pewnie nie chce?

— My mamy siłkę u Marcinka w piwnicy — oznajmił Krzysiek z dumą. — Może kiedyś wpadniesz?

— Nie, dzięki. Jakoś mnie to nie pociąga.

— Kaśka była. Jak chcesz. — Chłopak wzruszył ramionami.

— Sorry, Długi, ale muszę iść. — Julka wykorzystała moment, że przystanęli przed szatniami, i dała nura w głąb korytarza. Gdzieś tam mignęła jej ruda czupryna Janka.

Dogoniła chłopaka niedaleko sali gimnastycznej. Szukał czegoś w postawionym na parapecie plecaku i nie zauważył, jak podeszła.

— Cześć... — Choć powiedziała to cicho, Janek aż podskoczył i z wyraźnym niepokojem obejrzał się przez ramię.

— A, to ty, Jula. Cześć — odparł z ulgą.

Dziewczyna nagle zamilkła. Nie wiedziała, co powiedzieć, widząc sinofioletową obwódkę wokół prawego oka przyjaciela. Zauważył jej wzrok i skwapliwie wrócił do przeszukiwania tornistra.

— Co się stało? — wykrztusiła zszokowana.

Jasiek milczał. Przekładał książki bez żadnego celu. Zaległa krępująca cisza, która prawie odcięła ich od zwykłego gwaru panującego na korytarzu.

— Ojciec? — odważyła się zapytać Julka i lekko dotknęła ramienia chłopaka. Podśluchała kiedyś rodziców, którzy wspominali o ciężkiej ręce Wiktorskiego, ale jak dotąd nie widziała u Janka jakichkolwiek siniaków i, prawdę mówiąc, traktowała te słowa jak poetycką przenośnię.

— Uderzyłem się o komodę. — Janek odsunął się i odruchowo potarł

miejsce, gdzie przed chwilą spoczywała dłoń dziewczyny.

— Może potrzebujesz pomocy?

— Odczep się! — Odwrócił się i krzyknął tak gwałtownie, że zaskoczona Julia cofnęła się o kilka kroków. Nadal na nią nie patrząc, zabrał plecak i bez słowa pobiegł w kierunku schodów. Dziewczyna jeszcze długą chwilę patrzyła za nim, nie do końca rozumiejąc, co się stało. Dopiero przechodząca obok wicedyrektorka wyrwała ją z tego letargu, besztając za brak obuwia na zmianę.

— Julianno, nie poznaję cię! Ty w kurtce i bez kapci? Natychmiast biegnij do szatni! — krzyczała i Julce nie pozostało nic innego jak posłuchać. Nie dała jednak za wygraną i na kolejnej przerwie odszukała Wiktorskiego na korytarzu. Próbował zrejterować, ale po prostu zawołała go i chłopak, nie chcąc ściągać na siebie uwagi innych, poczekał na Julię przy schodach. Zauważyła, że obite oko stara się ukryć pod pasmem włosów opuszczonym na twarz, i serce jej się ścisnęło na widok bardziej niż zwykle pochylonych ramion.

— Tata mówił, że jak jutro będzie padać, to nie robimy treningu — zagaiła, starając się przybrać jak najbardziej niezobowiązujący ton głosu.

— No, pamiętam. — Jasiek wzruszył ramionami. — Mnie tam deszcz nie przeszkadza.

— A wiatr? Pani Joanna znowu by kichała.

Roześmiali się oboje na wspomnienie zabawnej sytuacji z udziałem ich nauczycielki i napięcie między nimi nieco zelżało.

— Jakby nie było biegania, to wpadniesz do nas? Skończyłam już czytać drugi tom *Gry o tron* i mogę ci pożyczyć, a zapomniałam spakować rano.

— Fajnie, dzięki. — Nikły uśmiech przemknął po ustach Janka.

Joanna rozpakowała kolejną paczkę chusteczek i schowana w kącie pokoju nauczycielskiego oczyściła nos. Dzień spędzony na cmentarzu w strugach nieustannie padającego deszczu dał się jej we znaki. Nikt nie pamiętał takiego początku listopada. We wcześniejszych latach bywał mróz i śnieg, zdarzyła się też zupełnie wiosenna temperatura, ale żeby po prostu lało bez przerwy? Mimo to nie odpuściły z siostrą corocznego sprzątanego i przystrojenia pomnika matki wiązkami kwiatów. Potem dzielnie wytrwały całe nabożeństwo, a chociaż miały parasolki i kaptury, to przemokły niemal całkowicie, co było głównym tematem przy rodzinnym obiedzie. Drugim była nieobecność Adama, który po raz pierwszy od dawna nie przyjechał do Polski z okazji Wszystkich Świętych. Wymówił się nawałem pracy i obietnicą, że zobaczą się na Boże Narodzenie. Ale to wcale nie uspokoiło Joanny, która usiłowała przekonać siostrę, że z ich bratem dzieje się coś niedobrego.

— Aśka, ty jak zawsze przesadzasz. Musisz na siłę problemów szukać? — Ewka znowu bagatelizowała sprawę, choć bez wyraźnego przekonania, jakby nie chciała dokładać sobie zmartwień.

— Gdybym nie spytała, toby nawet słowa nie powiedział. Po prostu by go nie było! Byśmy czekały i czekały! — irytowała się Joanna, która nadal odczuwała tę złość. Rozumiała, że siostra ma własne zmartwienia i nie chce brać na siebie kolejnych, żal jej było tylko, że Ewa nie widzi w niej kogoś, komu mogłaby się zwierzyć. Nie po raz pierwszy w jej towarzystwie czuła się samotna. Inaczej było z bratem. On do tej pory po prostu był i to wystarczało, jakby nic nie mogło zniszczyć ich silnego przywiązania. A jednak od spóźnionego telefonu w dzień jego imienin Joanna odniosła wrażenie, że ta więź, jeżeli nawet się nie zerwała, to jednak znacznie poluzowała, i nie bardzo umiała sobie z tym poradzić.

— Hej, Asia! — przerwała jej rozmyślenia nauczycielka polskiego, pulchna i energiczna brunetka z bu-rzą pokręconych trwałą kędziarów. — Masz okienko? No głupio pytam, sama plan układałam — roześmiała się zaraz. — Właściwie mam sprawę. Siostrzenica potrzebuje powtórki z gramatyki, mają kolokwium czy inne zaliczenie na studiach, a ona nigdy nie była orłem z angielskiego. Przyjeżdża do domu na weekend. Dałabyś jej kilka lekcji, co?

— Oczywiście, pani Wando, proszę jej dać mój numer. A gdzie ona studiuje?

— A w Łodzi, na politechnice. Z chemii, widzisz, mocna, a z języków już niekoniecznie! — Uśmiech ponownie rozjaśnił twarz polonistki. — Dziękuję, kochana! To Andżelika do ciebie zadzwoni. Lecę, bo dzieciaki gazetkę w pracowni kleją, a ja na chwilę ich tylko... Dzięki raz jeszcze! — Zafurkotała obszerną spódnicą i po chwili Joanna została sama.

Miała zamiar poczytać czasopismo, ale żaden z artykułów nie przykuł jej uwagi. Poklikała trochę w telefonie, skomentowała dwa śmieszne zdjęcia na Facebooku, odpisała Goście na wiadomość, że wcale się nie pogniewała i naprawdę chętnie umówi się na kawę z plotkami w przyszły weekend. Ale tak naprawdę jej myśli uporczywie krążyły wokół brata i paskudnych przeczuć, a wszystko inne chwilowo wydawało się mniej istotne. „Żyj swoim życiem” — udzieliła sobie reprimendy i cicho westchnęła.

Z zamyślenia wyrwało Joannę pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawoła dość głośno, bo już się nauczyła, że na korytarzu niewiele słycać z wnętrza pokoju nauczycieli.

Spodziewała się któregoś z uczniów, tymczasem w progu zobaczyła kobietę, której kilka dni temu o mało nie weszła pod koła samochodu. Tym razem nieznajoma miała na sobie elegancki wrzosowy płaszcz, spod którego wyglądał kołnierzyk białej, koszulowej bluzki, i brązową spódnicę do kolan.

— Ojej, to pani...

— Dzień dobry. To ja. I cieszę się, że panią znalazłam. Pytałam najpierw w sklepie spożywczym — wysłano mnie do szkoły i tutaj miła pani sekretarka powiedziała, jak dojść do pokoju nauczycielskiego. Urok małych miejscowości.

Przywiozłam pani szal. Dopiero w domu zorientowałam się, co mi pani dała — wyjaśniła i się przedstawiła. — Maria Kowalska.

— Joanna Jarosz. — Asia uścisnęła wyciągniętą dłoń i przyjęła z rąk kobiety niewielki pakunek. Z radości policzki zabarwił jej rumieniec i nie powstrzymywała uśmiechu pełnego wdzięczności. — Bardzo mi miło i dziękuję, że chciało się pani tutaj wracać. Ten szal dostałam od brata w prezencie. A udało się pani uratować tego pieska?

— Pewnie, bratowa go poskładała. Wygląda na to, że został potrącony dużo wcześniej, bo był mocno wyziębiony. A zasadniczo to jest sunia. Coś między owczarkiem a... innym owczarkiem. W dwudziestym pokoleniu. Ale jest kochana — zaśmiała się Maria.

— Bardzo się cieszę, że wszystko dobrze się skończyło. I jeszcze raz przepraszam za to wtargnięcie na jezdnię.

— Pewnie tak miało być. Ja się cieszę, że nikogo nie rozjechałam. — Maria machnęła ręką. — Za to mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Niedługo otwieram tutaj mały lokal. Zaraz przy tym skrzyżowaniu naprzeciwko szkoły, z pizzą i nie tylko. Już teraz zapraszam. I chyba już powiem do widzenia, bo słyszę, że przerwa się zaczyna — skomentowała ostry terkot dzwonka i narastający wraz z nim szum i gwar wypadających na korytarz uczniów.

— W takim razie życzę powodzenia i jeszcze raz dziękuję. — Joanna spontanicznie uściskała nową znajomą. — Bardzo miło było panią poznać.

— Wzajemnie. To uciekam. Do widzenia — pożegnała się Maria i śmiało ruszyła przez dziecięco-młodzieżową ciżbę, wzbudzając zainteresowanie schodzących z lekcji nauczycieli, przez co większość przerwy upłynęła Joannie na wyjaśnianiu, kim była ta kobieta, i opowiadaniu o swojej wieczornej przygodzie.

Dziewczyna przeczuwała, że na jednej przerwie się nie skończy. Kolejną falę zainteresowania wywołała informacja o pierwszej pizzerii w miasteczku...

Maria nie miała najmniejszego pojęcia, jaką reklamę sobie zrobiła, pojawiając się w szkole. Wyszła przed budynek prosto w wilgotną mżawkę i przystanęła, zupełnie nie przejmując się zacinającym deszczem. Myślami wciąż była przy tej miłej dziewczynie, która tak bardzo przypominała jej Anię. Już przy pierwszym spotkaniu odniosła takie wrażenie. Podobny wiek, sylwetka i spontaniczna opiekuńczość. Wtedy nie zdołała powstrzymać wzruszenia. Odjechała zaledwie kilka kilometrów, zatrzymała samochód na poboczu i pozwoliła płynąć łzom do wszystkich dobrych wspomnień, które pielęgnowała niczym najcenniejsze skarby. Dopiero popiskiwanie rannego szczeniaka pomogło jej się uspokoić. Teraz też nieposłuszne łzy zmoczyły policzki gorącymi strumyczkami. Kobieta wytarła je nieco zawstydzona i schroniła się w zaparkowanym przy ogrodzeniu aucie. Odetchnęła. Mogła już wracać do Warszawy, bo wszystkie sprawy urzędowe były załatwione, pan majster dostał

klucze i jego ekipa od jutra zaczynała remont, a w przyszłym tygodniu Maria miała dograć zakup pieca. Będzie mogła skupić się na opracowaniu ostatecznego menu i pomysłach na promocję. Dziś przyjechała specjalnie, żeby oddać Joannie szal, ciekawa, jaka jest młoda kobieta tak podobna do jej córki. Nawet ten szal... Psiak oczywiście zniszczył delikatną kaszmirową tkaninę, co Maria zauważyła, dopiero kiedy ochłonęła po całej przygodzie, a piesek był już opatrzony i bezpieczny w rękach jej bratowej. Jednak to nie stan materiału wywołał istną burzę uczuć, tylko wzór i kolor. Identyczny szal, jeszcze z paragonem, leżał u niej w szafie. Kupili go razem z Wojtkiem podczas wczesnowiosennych krótkich wakacji w Londynie i planowali dać Ani na urodziny. A teraz, kiedy los obdarzył ją okazją, żeby ten zakup wykorzystać, mimo wszystko nieco się wahała. Po świątecznej wizycie na cmentarzu i źle przespanej nocy podjęła decyzję, oderwała metkę z ceną i zapakowała szal do torebki. Kolejnego wieczoru zasnęła już spokojnie.

Zajęta wspomnieniami, jechała powoli, wciąż zastanawiając się, czy nie wrócić i nie poczekać, aż Joanna skończy lekcje, ale zdecydowała, że nie będzie się narzucać. Pomimo niedawnego płaczu była pokrzepiona tym, że odnalazła właścicielkę szalika, i miłym spotkaniem. Deszczowe chmury gdzieś się rozwiały i słońce złociło mokry asfalt, jakby dopasowując drogę do kolorów zrudziałych liści.

Wraz z nową falą deszczu zaparkowała pod domem brata. Świat poszarzał pod naporem jesiennego nieba, ale Maria nadal miała w pamięci niedawne słońce, które niczym uśmiech od losu rozświetlało jej drogę. Zgasła silnik i chwilę siedziała z przymkniętymi oczami, delektując się ciszą. Andrzej zadzwonił rano i poprosił, żeby ich odwiedziła. Zupełnie niespodziewanie, bo przecież widzieli się na obiedzie po mszy pierwszego listopada i wówczas nic nie wspomniał. A teraz nagle się okazało, że mają z Hanią jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę, o której nie chciał rozmawiać przez telefon. Próbowwała zgadnąć, co mogłoby to być, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zniechęcona porzuciła jałowe rozważania i zebrała się do wyjścia.

Bratowa przywitała ją w progu, wyjątkowo skupiona. Nawet, jak wydawało się Marii, strój dostosowała do poważnej sytuacji, bo zazwyczaj w domu nosiła luźne dzianinowe sukienki, a dziś włożyła eleganckie spodnie i puchaty jasny sweterek, imienninowy prezent od szwagierki. Jedynie rozdeptane pantofle z pomponikami psuły cały efekt, ale Maria taktownie postanowiła nie zwracać uwagi na stopy gospodyni.

— Pięknie wyglądasz w tym kolorze — pochwaliła Hannę zaraz po wymianie powitalnych buziaków. — Piesa jak? A twój małżonek gdzie się schował?

— Mała dochodzi do siebie zadziwiająco szybko — -przywilej młodości. A małżonek robi herbatę. Mam nadzieję, że masz ochotę?

— W samowarze, nie daj Boże? — szepnęła Maria, lekko parszkając śmiechem.

— Całe szczęście nie tym razem. Ale skomponował kolejną mieszankę z takimi niebieskimi kwiatkami, naprawdę smaczną. Chodź, usiądziemy w kuchni, mam ciasto. — Hania także się uśmiechała. Obie pamiętały niedawne zmagania Andrzeja z rosyjskim wynalazkiem zakupionym na jakiejś aukcji internetowej i wyjątkowo mocny „czaj”. Dyskusje, czy była to esencja, czy właściwy napój, nadal trwały, doprowadzając właściciela urzędu do pasji, a jego żonę i siostrę do spazmów śmiechu. No, ale dziś nic nie zapowiadało, że będzie to wesołe spotkanie.

Pomieszczenie wypełniał miły zapach ciasta ze śliwkami, które Hanna podała na delikatnych talerzykach z pięknym ażurowym wzorem. Maria upewniła się, że to nowa zdobycz z targu staroci, i skomplementowała zastawę. Kiedy wszyscy już mieli przed sobą filiżanki z parującym bursztynowym naparem i skosztowali wypieku, Maria nie zdołała dłużej utrzymać ciekawości na wodzy.

— Nie wierzę, że jestem tu tylko po to, żeby delektować się tymi wspaniałościami. — Wskazała łyżeczką na placek i dzbanek z herbatą. — A wy jesteście wyjątkowo poważni. Czy coś się stało?

Po jej pytaniu cisza przez moment zawisła złowrogo nad skupioną wokół stołu trójką. Maria zaczęła się niepokoić, a jej dobry nastrój gdzieś zniknął. Niespodziewany ból prawie odebrał jej oddech, a głowę wypełniła wata, jak na chwilę przed omdleniem.

— Maryniu! Maryniu! — Głos brata przybliżał się powoli. Szum w uszach minął, poczuła chłodne dłonie Hanny na skroniach. — No czemuś ty się tak zdenerwowała, Maryniu? My tylko chcemy porozmawiać o twoim mieszkaniu. Spokojnie.

— O mieszkaniu? — Maria przełknęła łyk wody ze szklanki podsunętej przez bratową. — Ja mam przecież mieszkanie. Coś wiecie? Wojtek miał długi?

— Nie, no co ty, przecież Henryk ci wszystko przekazał po wykupieniu swojej części firmy, a ja sprawdzałem rachunki. Haniu, powiedz jej! — Widzyński aż otarł pot z czoła.

— Chodzi o to, gdzie będziesz mieszkać, jak już zaczniesz prowadzić tę swoją pizzerię — wyjaśniła niepewnie kobieta.

Kowalska odetchnęła z wyraźną ulgą.

— Mam małe mieszkanie nad lokalem, przecież wam mówiłam. Wyremontuję je równocześnie.

— No więc my byśmy chcieli od ciebie wynająć twoje warszawskie mieszkanie. Dla Krystiana. Bo widzisz, nasz syn nie dość, że chce zmienić studia na zaoczne, bo znalazł pracę w stolicy, to jeszcze umyślił się żenić, bo spodziewają się z tą jego Martą dziecka — wyrzucił z siebie Andrzej i ciężko opadł na krzesło.

— Czyli będziecie dziadkami? Gratulacje, kochani! — Maria rzuciła się ścisnąć brata i bratową, nie mogąc równocześnie powstrzymać ani śmiechu, ani — ku swojemu rozdrażnieniu — łez.

W opuszczonym od dawna narożnym domu usytuowanym niedaleko budynku szkolnego, przy głównym skrzyżowaniu miasteczka, coś się działo. Od trzech tygodni ciekawość mieszkańców wzbudzała ekipa remontowa intensywnie pracująca nad nowym wystrojem wnętrza i elewacji. Plotki o nowej pizzerii rozeszły się bardzo szybko i postępy były na bieżąco komentowane. Na szczęście nowa właścicielka postanowiła zostawić w nienaruszonym stanie piękny bluszcz porastający część muru, czym nieświadomie zyskała przychyłność miejscowych.

Marysia starała się odwiedzać ekipę pana Włodka wtedy, kiedy była niezbędna, co czasem wypadło co drugi dzień, a czasem raz w tygodniu. Zajmowały ją zakupy wyposażenia wnętrza, kompletowanie receptur i projektowanie menu i różnych ulotek. Niepokojąca była tylko sprawa zakupu pieca. „Rysiek” wprawdzie przysłał umowę, w której prawnik Marii nie znalazł nic niepokojącego, ale później przez kilka dni nie odpowiadał na telefony ani wiadomości. Kowalska zaczęła już szukać możliwości zakupienia nowego pieca na kredyt, ale w połowie miesiąca na wyświetlaczu komórki zobaczyła numer Balińskiego.

— Pani Mario, pani wybaczy ten brak kontaktu. Sprawy rodzinne — rzucił dość sucho, jakby zaskoczony, że w ogóle odebrała telefon. — Zrozumiem, jeśli mi pani oznajmi, że nasza umowa już nieaktualna — dodał już łagodniej.

— Och, dobrze, że pan dzwoni. Ma pan szczęście, bo już chciałam kupić piec gdzie indziej. — Marię uderzył zgaszony ton głosu mężczyzny. — Cieszę się, bo nie ukrywam, że musiałabym szukać sprzętu o wiele niższej klasy.

— Nie wiem, jak pani dziękować. Mogę przywieźć piec choćby jutro rano. I proszę nie wpłacać zaliczki, nie chcę nadużywać pani zaufania.

Maria podała adres swojego lokalu i w dalszej rozmowie ostatecznie umówili się na pojutrze, żeby — jak sama zaproponowała — Ryszard nie musiał jechać z Wybrzeża po nocy.

Z terenowej półciężarówki wysiadł postawny blondyn w średnim wieku. Właściwie najpierw Maria zarejestrowała falę jasnych loków, które szybko właściciel odgarnął z twarzy, a dopiero później całą resztę, czyli ciepłe zielone oczy i miły, choć zmęczony uśmiech. Mężczyzna podszedł do niej pewnym krokiem i poczekał, aż Maria poda mu rękę. Dłonie miał duże, a chwyt pewny, ale nie miażdżący. Marię nawiedziło mimowolne wspomnienie o zbytnim entuzjazmie i czasem niedelikatnych powitaniach Wojtka, wywołujących zazwyczaj niekontrolowany grymas bólu na twarzach przedstawianych mu przy różnych okazjach kobiet. Zawsze wtedy przeproszał zawstydzony, ale z jakiegoś powodu, a może z obawy, że wyjdzie na mięczaka, nie potrafił właściwie zmierzyć siły

uścisku i za jakiś czas sytuacja się powtarzała... Marysia porzuciła roztrząsanie przeszłości i szybko skupiła swoją uwagę na stojącym przed nią Ryszardzie Balińskim.

— Miło mi pana poznać. Zapraszam do środka, dopełnimy formalności. Wprawdzie remont w toku, ale przynajmniej nie pada i jest ciepło.

Baliński zabrał ze schowka teczkę z dokumentami, zamknął samochód i podążył za Marią do wejścia. Z wprawą człowieka przyzwyczajonego do kontaktów biznesowych zagaił rozmowę z majstrem i jego ekipą. Kowalska przysłuchiwała się niezobowiązującym żartom, które niepostrzeżenie przerodziły się w konkretne ustalenia, i po kilkunastu minutach piec, który przywiózł jej internetowy znajomy, znalazł się w lokalu, gdzie nastąpiły fachowe oględziny. Wyjaśniając różne szczegóły techniczne, Ryszard patrzył wprost na nią, dając do zrozumienia, że doskonale się orientuje, kto tu jest prawdziwym szefem i od kogo zależy powodzenie transakcji.

Pan Włodzimierz orzekł, że wszystko wygląda wzorowo i sprzęt jest nieużywany. Omówił nawet z Balińskim szczegóły montażu urządzenia. Marysia dostrzegła, że w chwili gdy Ryszard udzielał wyjaśnień, z jego twarzy zniknęło znużenie czy rezygnacja, które gościły tam, gdy wydawało mu się, że nikt na niego nie patrzy. Było w tym mężczyźnie coś, co ją intrygowało. Oczywiście chciała się dowiedzieć, co skłoniło tego faceta do wyprzedawania niemal nowego wyposażenia. Oprócz pieca przywiózł świetną stolnicę i blat do wyrobu ciasta z informacją, że dorzuca je gratis. Ale nie tylko chęć zaspokojenia ciekawości sprawiała, że czuła przyciąganie. Zganiła się w duchu za mrzonki o pokrewnych duszach i zbiegach okoliczności, ale mimo to uporczywe myśli nie miały zamiaru zniknąć.

— No to jak, pani Kowalska? Jaka decyzja? — Przedsiębiorca wyprostował się i przeciągnął dłońmi po włosach, burząc nieco swoją naprędce uporządkowaną fryzurę. — Dopełniamy formalności czy jechałem na darmo?

— No skąd, gdybym nie była zdecydowana, tobym pana tutaj nie ciągnęła! — zachnęła się Maria.

Podpisali przygotowaną wcześniej umowę, a Baliński wypisał fakturę.

— Proponuję, żebyśmy też od razu załatwili sprawę w banku. Będzie miał pan pewność, że przelałam pieniądze na pana konto. Albo wypłacę gotówkę — dodała, porządkując dokumenty.

— Super. Na wjeździe mijalem oddział PKO. Ma tam pani konto?

— Tak. Dobrze, że jest filia w okolicy. Inaczej z każdą sprawą musiałabym jeździć do Warszawy — stwierdziła. Przez chwilę zatrzymała wzrok na intensywnie zielonych tęczówkach mężczyzny. W lewym oku miał małą brązową plamkę.

— No jasne. Niby telefony i internety, ale nic nie zastąpi żywego człowieka

— wtrącił pan Włodek, a Marysia i Ryszard gwałtownie podskoczyli.

— Tak się składa, że ja też mam tam konto. — Ryszard lekko odchrząknął, jakby zawstydzony. — Będzie pani mogła upewnić się co do prawdziwości mojego dowodu osobistego. Oczywiście jeśli taka forma pani nie odpowiada, to możemy udać się do notariusza.

— Myślę, że nie ma potrzeby mnożyć trudności — uspokoiła go Maria. — Idziemy piechotą czy podjedziemy moim samochodem?

— To chyba blisko? I deszcz nie pada. — Baliński zerknął za okno. — Chętnie się przejdę po tyłu godzinach jazdy.

— Ja się już przyzwyczaiałam, że tutaj wszędzie jest niedaleko — wyznała z lekkim uśmiechem. Nie dalej jak wczoraj w rozmowie z bratową, utyskującą, że w stolicy trzeba poświęcić mnóstwo czasu na dojazdy, Maria pochwaliła się, że u niej wręcz przeciwnie, z czego do dziś się podśmiewała.

Wyszli. Jesień dziś, oprócz braku mżawki, litościwie oszczędziła im nieprzyjemnych podmuchów wiatru. -Maria trochę nerwowo schowała dłonie w kieszeniach płaszcza. Niespodziewanie uświadomiła sobie, że dawno już nie spacerowała u boku mężczyzny, a Wojtek zawsze trzymał ją za rękę, i w tej chwili te wspomnienia powróciły z taką siłą, że aż na chwilę zabrakło jej tchu.

— Wszystko w porządku? Nicco pani zbladła — zainteresował się Ryszard.

— Tak, to tylko zmiana ciśnienia — podała pierwsze wyjaśnienie, jakie przyszło jej na myśl. — Już minęło.

Ponownie zanurzyli się w ciszy. Z jednej strony tkwiła między nimi jak szyba tłumiąca uczucia, przez którą niewiele widać, z drugiej — było coś krzepiącego w chwilowym porozumieniu, że każde wraca do swojego świata, a mimo to czujnie czekają na jakikolwiek znak od drugiej osoby. Tylko nikłe odgłosy życia miasteczka, jakieś krzyki rozbawionych dzieciaków, niezbyt częsty szum opon na asfalcie, dyskretny dzwon z kościoła z łatwością przebijały się do ich świadomości, nie pozwalając zapomnieć, gdzie są i po co zmierzają. Maria poczuła dziwny żal na myśl, że zapewne chwilę po dopełnieniu formalności ten mężczyzna zniknie z jej życia.

— Proszę wybaczyć ciekawość, ale wspomniała pani, że przyzwyczajają się do tego miejsca. Czytając posty na forum, byłem przekonany, że to pomysł na lokalny biznes, że pani tu mieszka. Skąd pomysł, żeby próbować tutaj, a nie w stolicy? — Baliński przerwał milczenie.

— Nie lubię zgiełku dużego miasta. I lubię małe społeczności — uśmiechnęła się Maria. — Mam kilka pomysłów na współpracę z lokalnym biznesem, a może szkołą... — Wzruszyła ramionami. — No i aspekt finansowy też odegrał sporą rolę. O nieruchomości tego rodzaju w stolicy mogłabym tylko pomarzyć.

— Ja miałem lokal w Sopocie. Niedaleko plaży. Zgiełk i gwar non stop.

Latem oczywiście ludzi zatrząsienie... Ale wie pani? Lubilem to. Może kiedy wrócę do kraju, znowu mi się uda coś otworzyć? Gdyby nie ta sytuacja... — urwał nagle. — Już jesteśmy, proszę bardzo. — Otworzył ciężkie drzwi wejściowe. Twarz przesłoniły mu niesforne loki, które zaraz niecierpliwie przecesał dłonią. — Zawsze spada to cholerstwo — mruknął pozornie bez związku.

Marysia nie wiedziała, skąd ma taką pewność, ale była przekonana, że w spojrzeniu mężczyzny znalazłaby w tej chwili jedynie żal i smutek pomieszany z uczuciem porażki. Nic nie mówiąc, wskazała kierunek do sali, gdzie obsługiwano klientów biznesowych.

Kiedy czekali na swoją kolej, ukradkiem zerkała na Ryszarda. W oczy rzucały jej się małe szczegóły, które z czasem budują prawdziwy obraz drugiego człowieka. Baliński wydawał się szczerzy, nie zastanawiał się zbyt długo nad odpowiedzią, gdy o coś pytała, a kiedy mówił, nie uciekał spojrzeniem. Do tego ujmowała ją jego niewymuszona uprzejmość, drobne gesty, takie jak odnalezienie dla Marii wolnego miejsca, i odwieszenie jej płaszcza na wieszak. Od dawna nie czuła się tak otoczona opieką.

Formalności nie trwały długo i po niecałych trzech kwadransach mogli wyjść z banku.

— Dziękuję panu. — Maria wyciągnęła rękę. — Proszę przyjąć zaproszenie na obiad — dodała, kiedy otoczył jej dłoń ciepłymi palcami. Poczowała rumieńce wykwitające na policzkach i zastanawiała się, czy on to zauważył.

— I ja dziękuję. Niech pani nie przesadza, nie zasłużyłem, chociaż... — Mężczyzna się roześmiał.

— Przecież wyszłam na gburę, nawet herbaty nie zaproponowałam. Chciałabym się zrehabilitować.

— Tam nie było warunków, absolutnie nie oczekiwałem herbaty. W takim razie chodźmy na obiad, ale krakowskim targiem ja stawiam, a pani wybiera lokal.

— No ładnie, mam trudniej.

— Zapewniam, że nie mam szczególnych wymagań. Za pierogi dam się pokroić. — Uśmiech nie schodził mu z twarzy, wygładzając zmęczenie i stres.

— No to wychodzi na to, że znowu czeka nas spacer — stwierdziła.

— Już drugi. — Ryszard mrugnął i tym razem podał Marii ramię.

— Rudy, co tam masz? — Trampek Długiego trafił bezbłędnie w grzbiet czytanej przez Janka książki.

Chłopak siedział na podłodze niedaleko klasy matematycznej i pochłaniał kolejny tom powieści pożyczony od Julki. Zaczytany nie dostrzegł w porę swojego prześladowcy i *Gra o tron* pofrunęła kilka metrów dalej, bo po pierwszym kopniaku Krzysiek nie pożałował następnego. Kilkoro uczniów obserwujących sytuację zachichotało z uciechy.

— Zostaw to, idioto! To nie moje! No, zostaw! — Wiktorski zerwał się

i zdołał złapać książkę, zanim Długi wykonał kolejny zamach. — To Julki! — dokończył i schował książkę pod bluzę.

— Dobra, niech ci będzie. Masz szczęście, że mam dziś dobry humor. — Krzysztof wbił pięści w kieszenie dresowych spodni.

Janek odwrócił się, żeby wrócić na swoje miejsce, i po chwili już wiedział. Brakowało plecaka. Widać poplecznicy Krzyśka zabrali go po cichu, kiedy był zajęty gonieniem za książką. Ze złością popatrzył na Długockiego, który szczerzył się w szyderczym uśmiechu.

— Zobaczysz, pożałujesz — wycedził przez zęby, ale wyszło to cicho i słabo, bo równocześnie strach dobrze znaną macką ścisnął mu gardło.

— Sprawdź kible... A może śmietniki? — zaśmiał się Krzysztof. — No dalej, Marchewa! Nie trać czasu!

Mówił coś jeszcze, ale jego słowa zagłuszył dzwonek oznajmiający pierwszą lekcję, a Janek i tak nie miał ochoty już go słuchać. Było mu wszystko jedno. Włókł się noga za nogą w poszukiwaniu plecaka, ze świadomością, że spóźni się na zajęcia. I determinacją, że powie dlaczego.

Tornister odnalazł piętro niżej, przy schodach do szatni. Sprawdził pobieżnie, czy niczego nie brakuje. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Obejrzał jeszcze książkę, którą dotąd trzymał pod bluzą. Grzbiet był nieco rozklejony, a okładka paskudnie zagięta, najprawdopodobniej od upadku. Janek zacisnął szczęki, starając się opanować zalewającą go falę złości zmieszanej z upokorzeniem. Będzie musiał zrobić wszystko, żeby zdobyć pieniądze i odkupić Julce ten egzemplarz. Nie odda zniszczonego. Czuł się winny, że nie dopilnował książki. Julia przecież sama zaproponowała, że mu pożyczy, i zaprosiła go do domu. Wspomniawszy tamtą wizytę. U koleżanki onieśmiało go wszystko. Od czystego i wysprzątanego mieszkania po miłą panią Janecką, która przyniosła im herbatę i ciastka. Kiedy spotykali się w szkole albo na treningach, przepaść, jaka istniała między ich światami, nie uwidaczniała się aż tak wyraźnie. Był do tego stopnia skrępowany, że odzywał się jeszcze mniej niż zazwyczaj, a gdy już zdecydował się o coś zapytać, stracił ze stołu tacę ze słodkościami. Jasny dywan zapaskudziła brzydka plama z kremu czekoladowego, a on zamiast zabrać się do sprzątanego, odruchowo osłonił głowę przed spodziewanym ciosem. Był na siebie zły za ten gest — przecież jego ojczyma tutaj nie było, a mama Julki zapewniła zaraz, że bez problemu to potem doczyści, ale co z tego, skoro Janek w swojej ocenie stracił wszelkie szanse na zrobienie dobrego wrażenia. Tym bardziej nie mógł oddać poszarpanej książki. Julka pewnie by nic nie powiedziała i obdarzyła go swoim pięknym uśmiechem, tak jak po incydencie z ciastkami, ale wiadomo, co by o nim pomyślała. Nie zamierzał do tego dopuścić.

Do klasy wszedł dobre kilka minut po rozpoczęciu lekcji.

— Przepraszam za spóźnienie — bąknął.

— Co się stało, Jasiek? — Pan Pieczyński, matematyk, poprawił okulary o wyjątkowo grubych szklach i skrupulatnie zanotował w odpowiedniej rubryce w dzienniku spóźnienie ucznia.

— Ktoś mi schował plecak.

— Masz pracę domową? To pokaż. Co powiedziałeś?

Wiktorski, który dopatrzył się braku zeszytu do matematyki, przerwał przeszukiwanie torby i spojrzał na nauczyciela mierzącego go roztargnionym wzrokiem.

— Że ktoś mi zabrał — powtórzył nieco głośniej. Miał nadzieję, że Długi nie widzi, jak drżą mu ręce.

— Kto?

— Nie wiem, proszę pana. Krzysiek wyrwał mi książkę, którą czytałem, i wtedy...

— Nic mu nie zabrałem — krzyknął Długocki z ostatniej ławki. — On ściemnia, proszę pana!

— Spokój! Obaj! — zniecierpliwził się Pieczyński. — Jasiek, pokaż zadanie domowe.

— Chyba nie mam zeszytu. Ktoś mi ukradł, na pewno miałem pracę, na pewno! — Jasiek nie wytrzymał i krzyknął na nauczyciela załamującym się głosem. Kilka osób parsknęło śmiechem, ale zaraz ucichło pod karcącym spojrzeniem pedagoga. Na jego lekcjach zawsze panowała surowa dyscyplina i jako jeden z nielicznych nie miał problemu z ujarzaniem nawet najbardziej rozbrykanych gimnazjalistów.

— Znowu ktoś. Siadaj, wpisuję nieprzygotowanie. Pamiętaj, że następnym razem będzie niedostateczny. — Matematyk nie zamierzał poświęcać Jankowi więcej czasu.

Chłopak zacisnął zęby i starając się nie okazywać rozgoryczenia, usiadł w ławce. „Znowu nowy zeszyt, ja pitole” — myślał, usiłując skupić się na lekcji. Wiedział, że po tym, jak próbował na nich naskarzyć, nie może liczyć, że zeszyt znajdzie się przypadkiem na korytarzu albo u pani woźnej.

Jak dobrze jej się dzisiaj śpiewało! To była jedna z lepszych prób ostatnimi czasy. Ćwiczyli piękną pieśń adwentową o tęsknocie za Zbawicielem. Joanna zauważyła, że od momentu zaangażowania się w chór parafialny częściej odnajduje w kościele spokój wewnętrzny i o wiele głębiej przeżywa każde nabożeństwo.

Wyciszona i zamyślona zamknęła za sobą drzwi kaplicy i przystanąła na moment w progu, napawając się zapachem ziemi po lekkim deszczu. W chłodnym powietrzu wyraźnie czuć już było nadchodzącą zimę. Listopad jak co roku mijał zbyt szybko.

Za jej plecami skrzypnęła klamka i w drzwiach pojawiła się Walczakowa, jak zwykle okutana grubą kraciastą chustą.

— Cóż tam, panno Joanko? Sama tak mieszkasz, bidulo, to i do domu pewnie nie spieszo, co? — zagadnęła, przekrzywiając głowę.

— A tak się zadumałam, pani Agato. A jak tam zdrowie? — Staruszka uwielbiała opowiadać o swoich licznych wizytach w przychodni rejonowej każdemu — nawet dziewczynie, która bądź co bądź zajęła należne jej miejsce w -chórze.

— A nie najlepiej, a wizytę to ja mam zapisaną dopiero za tydzień. No ale wie pani, przed świętami to tłok wszędzie, to i u lekarzy. Co się dziwić! — Kobieta machnęła ręką. — A może do mnie pani pójdzie, na sernik? Napieczony dziś rano, z bezą i kruchym spodem, jak należy.

— Ojej, pani Agato, dziękuję za zaproszenie, ale ja kłopotu nie chcę sprawiać! — Joanna nieświadomie przejęła styl swojej rozmówczyni i tak jak ona zatoczyła dłoń w powietrzu, obrazując nieokreślone kłopoty.

— Ależ gdzie tam! Co też! — Walczakowa najwyraźniej nie zamierzała dać za wygraną. — Bo ja to bym chciała z panną Joanką porozmawiać, w poufnym temacie — wyznała szeptem, łapiąc Joannę za łokieć.

Panna Joanka skapitulowała i po niecałych dwóch kwadransach siedziała z panią Agatą za stołem przykrytym obrusem w biało-niebieską kratkę i pod czujnym okiem staruszki i jej biało-burego kocura zjadała sernik, który rzeczywiście okazał się przepyszny.

— Cudowny, pani Agato, naprawdę. Czy przepis to tajemnica?

— A gdzież! — Walczakowa zaśmiała się zadowolona z pochwały. — Spiszemy zaraz. Kiedyś to ludzie ciasta u mnie na wesela zamawiali, a teraz taka moda, że każdy by chciał z lokalu, ze stolicy najlepiej. Na chrzciny to jeszcze, ale czy tu się dzieci tak rodzą? Coraz mniej, pani Joanko. Na komunię, nie powiem, zdarza się, że popiekę serniczka takiego z bezą albo łyżki Wałęsy, czy na zimno. Ksiądz proboszcz czasem też bierze na święta, on lubi taki z rodzynkami. No ale od duchownej osoby to ja pieniędzy nie wezmę, bo jak to, grzech! — Kobieta aż przeżegnała się na samą myśl. W trakcie opowiadania wyciągnęła z kredensu pod oknem kartkę, ołówek i podała Joannie. — O, widzisz, spiszemy.

Receptura była bardzo dokładna. Pani Agata utrzymywała, że nawet kierunek mieszania jest ważny i nie można nic pominąć. Joanna zapisała maczkiem dwie strony.

— Serdecznie dziękuję. To niesamowite ciasto. I chyba takie pani trochę hobby, prawda? — zagadnęła, chowając kartkę do torebki. Nadal nie miała pojęcia, jaki był rzeczywisty cel jej wizyty u pani Agaty.

— A jeszcze od mojej babci przepis, rodzinny, wie pani. Tylko szkoda, bo synowa z wnuczką, póki co, nie chcą się wyuczyć. A syna do pieczenia jak mam zagonić? A na święta to się oczywiście przymila. „Mama robi serniczek” — woła, jakby miał cztery latka, a nie ponad czterdzieści. — Tym razem kobieta zaniósła

się szczerym śmiechem.

— Słyszałam, że mężczyźni bywają dobrymi kucharzami, może jeszcze i syna pani nauczy piec.

— A tam! Gdzie mężczyźni do ciast. Ale! — Staruszcze uśmiech znikł z twarzy, aż Joanna wystraszyła się, że coś się stało. — Porozmawiać miałyśmy.

— Oczywiście, pani Agato. — Joanna mimowolnie spięła mięśnie, bo nagle atmosfera zrobiła się ciężka, nasycona tajemnicą jak gąbka wodą.

Walczakowa przysunęła się na kanapie bliżej swojego gościa. Konspiracyjny szept ponownie zagościł w jej ustach.

— Ja pannie Asi to jak najlepiej życzę, ale ludzie będą gadać. — Pokiwała głową i zacisnęła wargi, jakby wszystko już zostało powiedziane.

— Ale o czym, pani Agato? — Joanna nic nie rozumiała.

— No jak to?! Panna nie widzi, że wikariusz do niej oczy maślane robi? Plotki z tego będą.

— Ale pani Agato, przecież ja nic, jakie oczy, co też pani mówi! Ksiądz?

— A mówię, mówię. Ja już siedemdziesiąt lat żyję, niejedno zem widziała. A duchownego wodzić na pokuszenie, toż to grzech!

— Pani Walczakowa, no przecież ja nikogo nigdzie nie wodzę. — Zdenerwowała się Joanna, wciąż nie mogąc pojąć, skąd wzięło się takie podejrzenie.

— A o bieganiu nie gadali? Że pani sama z panem Marcinem? Gadali na początku. Dobrze, żeście te dziecka namówili do latania z wami. O wikariuszu też będą. Wspomni pani moje słowa... — Jej broda zatrzęsała się od energicznego potakiwania.

— Pani Agato, przecież ja nic nie robię. — Joanna była nagle bliska łez. Obawiała się, że staruszka wie lepiej, o czym ludzie plotkują. — I co teraz?

— Ja ci poradzę, moje dziecko. Ty nie możesz teraz na próby chodzić, żeby z wikarym nie przebywać. Niech on ma czas się opamiętać. A w Boże Narodzenie to już wszyscy zapomną. I ksiądz też! — Walczakowa z satysfakcją trzepnęła dłonią o udo.

— No ale jak? Wszyscy na mnie liczą, próby mamy, no co ja powiem?

— Ból gardła?

— Ksiądz proboszcz mnie widuje w szkole, przecież będzie widział, że nie jestem chora — zasmuciła się Joanna.

— No to ból brzucha. A potem panna do stolicy do siostry będzie musiała wyjechać. A jeszcze potem to ja pomogę coś wymyślić. Panna się nie zamartwia. — Pomarszczona dłoń krzepiąco ścisnęła rękę dziewczyny.

— To ja pomyślę, pani Agato. Ja muszę pomyśleć. Dziękuję. I za sernik, i za przepis.

Joanna pożegnała się szybko i niemal wybiegła z domu Walczakowej. Nadal

nic nie rozumiała. Najchętniej poszłaby na trening albo chociaż na spacer, żeby uspokoić rozszalałe myśli, ale na dworze było już zbyt ciemno i nie odważyła się na samotną wyprawę. W mieszkaniu też długo nie mogła sobie znaleźć miejsca, bo rewelacje staruszki po prostu nie mieściły jej się w głowie. I na dobrą sprawę nie miała tutaj nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać.

„Jutro niedziela” — zorientowała się w popłochu. „Co ja mam zrobić, jeżeli ona mówi prawdę?”.

— No i potem poszliśmy jeszcze na pierogi i już — zakończyła swoją relację Maria.

— Ej, jakie już? Teraz jest najciekawsze! I co na tych pierogach? — Hanna podała Marii talerz małych kanapeczek z twarożkiem i szynką. Śpiący na stopach Kowalskiej szczeniak podniósł pyszczek i zaczął intensywnie węszyć.

— Co na pierogach? Zjedliśmy, potem ktoś do niego zadzwonił, więc pogadał chwilę przez telefon i pojechał. No i tyle. — Maria wzruszyła ramionami.

— No ale mówiłaś, że miły — naciskała bratowa.

— Miły, miły. Poza tym przyszłam opowiedzieć ci o piecu i postęпах w remoncie, a nie o jakimś Ryszardzie — prychnęła. — Do tego młodszym, widziałam jego PESEL, a on widział mój.

— Ooo, Rysio. A że młodszy, to teraz modne. Nie martw się, wszystkie Ryśki to fajne chłopaki! — Hania dusiła się ze śmiechu.

— Haneczko, czy ty się ze mnie nabijasz?

— Coś ty. Chciałabym, żebyś spotkała kogoś fajnego. A ten facet ci się przecież spodobał. — Widzyńska spoważniała. — Nie gniewaj się.

Maria westchnęła. Nie miała pojęcia, jakim cudem bratowa się domyśliła, że poznany przypadkiem Baliński ją zainteresował. Aż tak było po niej widać? Obiad był całkiem udany do momentu, kiedy Ryszard odebrał telefon. Wcześniej żartowali i gawędzili o różnych sprawach, ledwo muskając sprawy osobiste, jakby wiedzieli, że mają jeszcze czas, by poruszyć ciężkie tematy. Padło wprawdzie z jego strony kilka zdań na temat nieudanego przedsięwzięcia, ale nie wgłębiali się w szczegóły, bo on szybko skierował rozmowę na inne tory. Ryszard mówił interesująco, ale też potrafił słuchać i Maria nie miała wrażenia, że to ich pierwsze spotkanie — przeciwnie, swoboda między nimi sugerowała, że znają się od zawsze. Kiedyś nazywała takie osoby pokrewnymi duszami, potem doszła do wniosku, że idealizowanie ludzi to przywilej młodości. A tamtego dnia przyszło jej zweryfikować swój pogląd. Do tego naturalna uprzejmość i troska Ryszarda były zniewalające. W chwili, kiedy wyszedł porozmawiać, odczuła pustkę. I zmartwienie, kiedy wrócił wyraźnie przygaszony. Myślami był daleko. Przez moment przypatrywał się Marii, jakby chciał coś powiedzieć, wyrzucić z siebie, ale może miała tylko takie wrażenie? Przecież zaraz mruknął coś, że nie będzie jej zajmował czasu.

— Blask w oczach. — Hanna przerwała ciszę.

— Co? — Maria zupełnie nie rozumiała, o czym bratowa mówi.

— Pewnie się zastanawiasz, skąd te moje insynuacje. — Widzyńska uśmiechnęła się w odpowiedzi. — Opowiadałaś o nim z błyskiem w oczach. Po prostu. Aż miło było posłuchać.

— Och — stropiła się Maria. — No niech ci będzie. Fajny facet, ale chyba ze skomplikowaną sytuacją rodzinną i biznesową. A ten telefon to pewnie od żony, bo wrócił strasznie przejęty i zaaferowany. I nagle zaczęło mu się spieszyć. Więc wiesz, pewnie już nigdy go nie zobaczę. Sprzedał mi piec i tyle — podsumowała ze smutkiem.

— Nigdy nie mów nigdy, Marysiu — zripostowała -Hanka.

Mikołajki rozpoczęły się obiecująco, bo telefonem od Adama. Pierwszym po długim milczeniu. Prawdziwy prezent. Joanna aż była zła na siebie, bo rano nie zdążyła wyjść spod prysznic i odebrać, zanim przestał dzwonić. Do tego bateria jej nagle padła i musiała podpiąć aparat do ładowarki. Ledwo się włączył, szybko nacisnęła zieloną słuchawkę. Nie miała przecież od brata żadnych wieści od tak dawna! Ileż to razy kłóciły się o to z siostrą. Ona snuła czarne wizje, a Ewa jak zwykle bagatelizowała problem. Ale Adam już nie odebrał. Joanna pomyślała, że pewnie musiał jechać do pracy. Dla pewności ponowiła próbę tuż przed wyjściem z domu, ale i tym razem bez odzewu. Postanowiła zadzwonić na którejś z przerw i w bardzo dobrym humorze ruszyła do pracy. Miała nadzieję, że to będą naprawdę dobre wieści.

W szkole panował świąteczny nastrój, jak to szóstego grudnia. Prawie wszyscy paradowali w czerwonych czapkach z białymi pomponami i nawet dyrektor Niewiadomski poddał się temu szaleństwu, zakładając kompletny strój Świętego Mikołaja. Na godzinę po przerwie obiadowej zapowiedziano rozdawanie upominków fundowanych przez gminę.

Joanna świetnie się bawiła. Gdy miała chwilę wolnego, sprawdziła telefon, który zostawiła podłączony do prądu w pokoju nauczycielskim. Nie mogła się doczekać, kiedy usłyszy głos brata, przecież tyle czasu milczał i unikał kontaktu. Gdy na ekranie zobaczyła symbol nieodebranego połączenia, od razu zadzwoniła na numer Adama, ale się nie odezwał. Znowu się minęli. Na poczcie głosowej również nie było żadnej wiadomości. Powzdychała trochę, ponarzekła, że mógł chociaż wysłać esemesa, ale z uśmiechem wróciła do zajęć. Wierzyła, że przecież musi się w końcu udać.

Kolejną próbę podjęła już po głównej atrakcji tego dnia. Szkoła powoli pustoszała, nauczyciele też w większości wyszli do domów. Niestety brat znowu nie odpowiadał. Zniecierpliwiona wrzuciła telefon do torebki i sięgnęła po kurtkę. Wkładała właśnie czapkę, kiedy rozbrzmiał sygnał dzwonka przypisany do Adama.

— Adam, no wreszcie! — zawołała wesoło do mikrofonu. — Gdzie się włóczysz, paskudo, że na maile nie odpowiadasz?

Tyle że głos, który usłyszała po drugiej stronie, nie należał do jej brata. Irlandczyk o twardym północnym akcencie był chyba tak samo zakłopotany jak jego rozmówcy. Do tego trochę się jąkał i za pierwszym razem Joanna prawie nic nie zrozumiała i poprosiła o powtórzenie. Potem taką prośbę wyartykułowała raz jeszcze, bo to, co przekazał człowiek, który przedstawił się jako szef Adama, nie mogło jej się pomieścić w głowie. Ciągle jednak słyszała ten sam komunikat.

Gdyby ten telefon odebrała w środku nocy, być może spodziewałaby się złych wieści, ale zadzwonił po południu, w samym środku dnia pełnego

mikołajkowych atrakcji. Dlatego nie mogła, a może bardziej nie chciała uwierzyć w to, co usłyszała.

Pamiętała jeszcze szum w uszach i dość trzeźwą myśl, że zaraz zemdleje. A potem już poczuła na skroniach chłodny okład. Leżała na dywanie w pokoju nauczycielskim. Pod głową miała coś miękkiego, a nogi ułożone wyżej na krześle. „Jaki tu jest popękany sufit” — zauważyła jeszcze mało przytomnie. W głowie nadal czuła nieprzyjemne zawroty i nie bardzo wiedziała, dlaczego jest na podłodze.

— Co się stało? — szepnęła. Usta miała dziwnie wysuszone. Zobaczyła nad sobą zatroskane oczy Janeckiego.

— Spokojnie, nie wstawaj jeszcze przez chwilę. — Wuefista pochylił się nad nią i poprawił ułożenie kompresu. Poza nimi w pomieszczeniu nie było nikogo. „Widocznie już zaczęły się lekcje” — pomyślała.

— Ale ja mam zajęcia — zaprotestowała.

— Zaraz przyjdzie lekarz. A lekcje przecież już się skończyły — uspokoił ją Marcin.

— Jak to? — zapytała, ale okropne wieści na powrót docierały do jej świadomości. Nie mogła zatrzymać łez. Popłynęły słonymi i gorącymi strumyczkami po policzkach, a w gardle dławiała ją gorzka prawda, że ten Irlandczyk nie kłamał. Nerwowym haustem złapała powietrze, bo nagle zabrakło go w płucach. Chciała wstać, zaszyć się w swoim mieszkaniu, przeczekać najgorszy czas, ale Janecki ponownie ją powstrzymał. Nie rozumiał, że ona potrzebowała chwili samotności, zanim będzie musiała znowu zmierzyć się z rzeczywistością i zadzwonić do siostry.

— Aśka, co się dzieje? Czy coś cię boli? — pytał zdezorientowany. — No, gdzie ten lekarz?

— To tylko nerwy, nie trzeba doktora — upierała się Joanna, ocierając łzy, ale było za późno, bo dyrektor szkoły właśnie wprowadził pana Jurka z ośrodka zdrowia, którego dziewczyna poznała przy okazji badań pracowniczych.

Lekarz zmierzył jej ciśnienie, zaaplikował zastrzyk, wypisał receptę na łagodne środki uspokajające i zwolnienie na tydzień, po tym jak z trudem wyznała, co było przyczyną jej zdenerwowania.

— Wyrazy współczucia. Niech pani dziś odpocznie — poradził, zanim się pożegnał.

Joanna wyszła z nim na korytarz. Lekarstwo chyba zaczynało działać, bo po płaczu pozostał jedynie ćmiący ból głowy i ściśnięte gardło. Szarpiący ból, który dźgał jej serce, oddzielił delikatny mur obojętności, jakby otoczyła ją miękka wata. Dyrektor wraz z wuefistą czekali nieopodal.

— Przepraszam, nie chciałam narobić zamieszania — odpowiedziała na ich pytające spojrzenia.

— Pani Joanno, co się stało? — Dyrektor wydawał się poważnie zaniepokojony.

— Mój brat... — zaczęła, ale wtedy nieznośna szorstkość znowu zadławiła jej gardło, a łzy same pojawiły się w oczach. Na chwilę. Zamrugła i zniknęły, a ona się opanowała na tyle, żeby odpowiedzieć jak najbardziej rzeczowo i zwięźle. — Mój brat miał wypadek... Spadł z rusztowania. — Mówiła to drugi raz i dalej nie chciała wierzyć.

— Tak mi przykro!

— O cholera, Joasiu, współczuję...

Głosy mężczyzn zlały się w jeden. Przez chwilę nic nie słyszała, ale wzięła się w garść i opanowała emocje. Musiała teraz być silna, przecież czekała ją jeszcze rozmowa z siostrą. I pewnie jeszcze mnóstwo urzędowych formalności. „Adam, dlaczego?!” — wysłała bezgłośną skargę, na którą nikt nie mógł jej odpowiedzieć.

— Mam dobre wieści! — Maria przykucnęła zaraz za progiem, żeby pogłaskać machającą ogonem na jej widok suczkę. Psina podskakiwała ucieszona i różowym języczkiem zlizywała drobne płatki śniegu z rękawów jej płaszcza.

— Ten pies cię uwielbia. — Hanna się roześmiała. — Domyślam się, że o twojej pizzerii?

— Tak, majster mówi, że w sylwestra będę już tam mogła się urządzić.

— Świetnie. Kwitniesz, siostrzyczko, bardzo się cieszę. A z tym sylwestrem to doskonały pomysł, będziemy twoimi pierwszymi klientami! — Andrzej mocno przytulił Marię i szepnął jej, że jest zachwycony taką pełną energii siostrą, która przetrwała najgorszy rok swojego życia i wspaniale sobie radzi. — Tak jak obiecałaś — dodał.

Kowalska rozgościła się w kuchni i na wyświetlaczu telefonu pokazywała Widzyńskim zdjęcia z ostatniej fazy remontu. Lokal był całkowicie odmieniony. Z surowego pomieszczenia zmienił się w przytulne, pięknie oświetlone miejsce. Za kontuarem zwracała uwagę głęboka, intensywnie niebieska mozaika ozdabiająca piec. Podobny kolor miały obudowy lamp zwisających spod wysokiego sufitu na dość długich sznurach tak, żeby oświetlać blaty stołów z jasnego drewna. Maria przy każdym zdjęciu dopowiadała, jakie drobiazgi zaplanowała, żeby upiększyć każdy szczegół swojego wymarzonego wnętrza.

— Tu, na ścianie za ladą, dam tablicę, żeby wypisać menu. A tu brakuje takiej witryny na desery, ale odbieram ją pojutrze. Do dokończenia mamy jeszcze zaplecze, no i to moje mieszkanie. Cudownie by było, gdybym najpóźniej w styczniu miała te wszystkie kontrole sanepidowskie. Po święcie Trzech Króli chcę zrobić oficjalne otwarcie — tłumaczyła zaaferowana z wypiekami na policzkach.

— Ślicznie, Maryniu. Jestem pod wrażeniem. — Hanna kręciła głową

w podziwieniu. — Niesamowita jesteś.

— No gdzie ja, przecież to pan majster remontuje — droczyła się Maria, jednak widać było, że również jest dumna z efektu, jaki osiągnęła.

Chciała jeszcze coś dopowiedzieć, ale przerwał jej dźwięk nadchodzącej wiadomości. Szybko zerknęła na telefon i jeszcze szybciej schowała aparat do kieszeni swetra. Nie zdołała jednak ukryć uśmiechu, który zagościł na jej twarzy po przeczytaniu treści esemesa, co natychmiast zauważyła bratowa.

— Adorator?

— Haniu, przestań! — Maria trochę zawstydzona pogroziła palcem.

— Nie? To czemu się czerwienisz? — śmiała się Widzyńska. — Przecież widziałam, że to ten twój Rysio.

— Żaden mój. Wysłałam mu zdjęcia pieca i napisał, że ładnie. Tylko tyle.

— Ech, no dobrze, nie będę cię męczyć. — Hanna dała za wygraną, a Maria odetchnęła. Nie chciała jeszcze przyznawać się bratowej, że wiadomości z Ryszardem wymieniała kilka razy dziennie i to nie ona zazwyczaj pisała pierwsza. Sama jeszcze nie wiedziała, do czego prowadzi ta dziwna znajomość, ale skrawek po skrawku kolejne fragmenty z ich teraźniejszości szybowwały w kilkudzaniowych wiadomościach, zbliżając mimo dzielących ich kilometrów.

Odpisała dopiero, gdy wyszła od Widzyńskich. Nie chciała kolejnych komentarzy, choć przecież doskonale wiedziała, że nie robi nic niestosownego. Mimo wszystko wolała na razie nie zdradzać zbyt wiele na temat jej relacji z Balińskim. A właściwie Ryśkiem, bo w naturalny sposób przeszli na ty już w dniu, kiedy się pierwszy raz spotkali.

Tym razem on zwlekał z odpowiedzią i sygnał nadchodzącej wiadomości odezwał się dopiero, kiedy po powrocie do domu przygotowała sobie kubek herbaty różanej i usiadła w ulubionym fotelu, zapalając jedynie małą lampkę.

Ryszard pisał, że jest zmęczony, że chciałby już spłacić długi i wrócić do Polski, ale z obliczeń wynika, że jeszcze co najmniej pół roku będzie musiał pracować w Holandii. Pierwszy raz napisał coś tak osobistego, bo do tej pory nie wspominał o powodach, dla których wyjechał za granicę, a wcześniej sprzedawał prawie nowe wyposażenie pizzerii. Napisała po namyśle, że to godne pochwały, gdy mężczyzna chce jak najszybciej spłacić swoje zobowiązania. Esemes zwrotny nadszedł niemal od razu. „To raczej Ciebie trzeba podziwiać, że sama radzisz sobie z firmą” — przeczytała.

Sama... Gdyby posiadała moc zdolną odwrócić los, to nie byłaby sama. Zamrugwała. Palce same wystukwały odpowiedź. „Nie jestem sama z wyboru. Mój mąż i córka ponad półtora roku temu zginęli w wypadku”.

Nie zastanawiała się, czy zdradziła zbyt dużo. Była nawet gotowa powiedzieć więcej, gdyby tylko dał sygnał. Samotność czasem ją uwierała. Zawsze mogła zadzwonić do Hani czy Andrzeja albo umówić się z którąś z dalszych

znajomych na kawę, ale brakowało jej kogoś, z kim mogłaby podzielić się takim chwilowym smutkiem, który zaraz minie. Kogoś, kto usiadłby obok i pogłaskał jej włosy albo pomasował bolące kostki u stóp. I tak naprawdę nie chodziło o te wszystkie czynności, tylko o świadomość obecności. Poczucie, że nie jest już samotna. Łagodne światło wypełniało pokój i razem z otulającym ją zapachem róż wzmacniało nostalgiczny nastrój. Maria zamknęła oczy i oparła głowę na poduszce. Kiedy telefon zadzwonił, wiedziała, kto odezwie się po drugiej stronie.

— Hej... — mruknęła, nie otwierając oczu. Było jej dobrze w ciepłym półmroku i z tym, że ktoś będzie teraz z nią, nawet jeżeli przypadkowo i tylko przez chwilę.

— Marysiu, ja... przepraszam. Nie chciałem przywoływać twoich bolesnych wspomnień — głos Ryszarda cicho wibrował charakterystyczną troską. — Dobrze się czujesz?

— Dobrze. Bo dzwonisz. — Uśmiechnęła się. — Wiesz, jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam. To oczyszczające.

— Cieszysz się, że dzwonię? — Teraz był zdziwiony. — Robiłbym to częściej — zapewnił.

— Masz przecież dużo pracy. Ale jeśli czujesz się samotny, to dzwoń. Wieczorami zazwyczaj mam czas.

— To miłe z twojej strony, Marysiu. I niesamowite, że jeszcze o mnie myślisz.

— Co w tym niesamowitego? Nie przesadzaj — zaśmiała się.

— No widzisz sama. Dlaczego powiedziałaś, że to oczyszczające? Bo wcześniej nie umiałaś o nich mówić? — Zmienił temat na taki, który sama chciała poruszyć.

— Tak. Nie wiedziałam, komu mogę powiedzieć. I kiedy. Bałam się współczucia, bo często jest udawane. I okazało się, że nie trzeba się obawiać, że to też część mojego życia.

— Byli ci drodzy, na pewno tęsknisz — bardziej stwierdził, niż zapytał, miękko artykułując głoski, jakby głaskał ją po policzku.

Maria westchnęła. I opowiedziała Ryszardowi o Wojtku i Ani. O wypadku. O swojej bańce bólu, w której tkwiła ponad rok i z której wyszła chyba tylko dzięki uporowi swojego brata. Słuchał, czasem wtrącając jakieś słówko dodające swojemu odwagi, gdy się wahała. Mówiła, a z każdym zdaniem uwalniała część ciężaru, który już tak długo nosiła w sobie, że zaczęła go uważać za coś naturalnego, co będzie z nią zawsze. A tego wieczoru ten balast zniknął, zastępowany przez miłość i pamięć. Tak jak wtedy, gdy w łazience zostawiła za sobą rozpacz, tak teraz oczyściła się z poczucia winy, które choć wyimaginowane, nie pozwalało jej się przyznać przed sobą, że jest wdową, której żałoba dobiega końca. A mężczyzna, z którym rozmawiała, w tej chwili jedynie głos w słuchawce, jednak był blisko

i podobało jej się, kiedy tak obnażała się przed nim w słowach.

— Dziękuję — zdołał tylko wyszeptać Ryszard. Uczucia ścisnęły mu gardło.

— I chyba jestem ci winien historię. Jesteś zmęczona?

— Nie. Teraz moja kolej na słuchanie. Ale jeśli nie chcesz...

— Chcę — przerwał jej. — Też się boję, dlatego nie będę nic odkładał.

— Boisz się? — Maria była naprawdę zdziwiona. Strach jakoś nie pasował jej do Balińskiego.

— Owszem. Bo zaraz usłyszysz historię o niezłym frajerze. — Znów uderzył ją smutek i zniechęcenie w jego głosie, podobnie jak w dniu, kiedy się poznali.

— Ryśku, ty znowu przesadzasz. Nie wyglądasz na frajera.

— Obyś nie zmieniła zdania. Może zacznę od tego, skąd się wzięły moje długi.

Słuchała uważnie, żeby nie uronić żadnego fragmentu jego historii.

— Nie jestem gawędziarzem, więc powiem jak najkrócej. Miałem kumpla. Naiwnie myślałem, że takiego na śmierć i życie...

I Maria poznała historię przyjaciół, którzy wspólnie rozkręcili interes. Ryszard nie szczędził ciepłych słów i czasu przeszłego, gdy mówił o swoim koledze. W podobnym tonie opowiadał o kobiecie, która była jego narzeczoną.

— To ona dzwoniła, gdy byliśmy na pierogach? — nie wytrzymała Maria.

— Skąd wiesz? Ona. Przesłała mi wyniki testu DNA.

— Po co? Ryszard, ja chyba nic nie rozumiem. Jesteś taki smutny, gdy o nich mówisz, a jak dotąd opowiedziałeś mi same dobre rzeczy.

— Po co? Żeby mi dopiec? Pognębić? To było potwierdzenie, że dziecko, które urodziła, nie jest moje, że nie jestem ojcem. Opowiedziałem ci te dobre rzeczy, bo tak to dla mnie wyglądało. Miałem dom, firmę, narzeczoną, świetnego wspólnika i miało urodzić mi się dziecko. Aż pewnego dnia korespondencja z sądu przypadkowo trafiła do mnie, a nie do Roberta. On się zajmował księgowością, a ja nie wnikałem zbyt w rozliczenia, dopóki na koncie były pieniądze i mogłem rozwijać firmę. Okazało się, że Robert inwestował nasze wspólne pieniądze na giełdzie. Jeżeli transakcja mu się udała, zysk zabierał dla siebie, a jak forsy brakowało, to zadłużał firmę w kolejnych bankach.

— Ale jak to możliwe, że ty nie wiedziałeś? Rozumiem, że nie prowadziłeś księgowości, ale przecież jakieś sprawo-zdania musiałeś czytać? I żeby zaciągać kredyty, musiał mieć twoją zgodę.

— Nie musiał, bo jak ostatni idiota dałem mu pełnomocnictwo. Jak to wszystko pękło, długi były tak duże, że jedyne, co mogliśmy zrobić, żeby jakoś to połatać, to sprzedać firmę — to tak w skrócie. Ja zastawiłem dom, a Robert i moja była narzeczoną przeprowadzili się do nowego mieszkania. Kupionego za pieniądze z giełdy, ale tego się tylko domyślałam, bo jeszcze nic nie zdołałem im udowodnić. Założyłem sprawę w sądzie, ale to się przecież będzie ciągnąć. Dlatego

chcę spłacić długi, które mi zostały. Nie chcę żyć z takim ciężarem. Może odzyskam chociaż swój dom. Mam tu bardzo dobrze płatną robotę, przy koniach. Mówiłem ci zresztą... — zamilkł, jakby sygnalizując, że chciałby szybko zakończyć ten temat.

— Mieli romans? Bardzo mi przykro — domyśliła się Maria.

— Mieli. Na mój koszt, można powiedzieć. Wiesz, do dziś nie wiem, czym jej tak zawiniłem. Czy spędzaliśmy razem za mało czasu, czy po prostu do siebie nie pasowaliśmy. A może zwyczajnie on był lepszy ode mnie. Ale to też już przeszłość. Sama widzisz, jaki...

— O nie, nigdy więcej tak nie mów. Nie jesteś żaden frajer! — Maria wzburzona chodziła po pokoju. — Jesteś dobrym człowiekiem, a oni... Brak mi słów! — Tupnęła nogą.

— Marysiu, spokojnie. Szkoda, że nie mogę cię teraz zobaczyć. Jestem ciekawy, jak wyglądasz, gdy się złości.

— Czy ty się śmiejesz?

— Tak — przyznał. — Bo mnie podniosłaś na duchu tą złością.

— A ty się nie wściekasz? Nie wierzę!

— Już przestałem. Wściekałem się bardzo. Tak bardzo, że groziła mi sprawa karna o pobicie, ale ostatecznie Robert nie złożył doniesienia. Niekoniecznie jestem z tego dumny.

— O rany. Nie wiem, co powiedzieć.

Gniew wyparował równie szybko, jak się pojawił. Zostało współczucie. Maria żałowała, że nie może w tej chwili dotknąć dłoni Ryśka i mocno uściskać.

— To chyba nie była najlepsza rozmowa telefoniczna przed snem — oznajmił Baliński, a Maria zaczęła się śmiać.

— To musimy coś wymyślić. Ja zamierzam wejść do gorącej kąpieli, a ty pogłówkuj.

— Zaraz! Idziesz do wanny?

— Uhm — potaknęła, zniżając głos do szeptu. — A ty nie?

Joanna odłożyła telefon i ukryła twarz w dłoniach. Szef Adama, Thomas O'Brian, był bardzo miły, ale to nie mogło zmienić faktów.

— Co powiedział? — zniecierpliwiła się Ewa.

Asia obdarzyła siostrę ponurym spojrzeniem. Miała za sobą nieprzespaną noc, a poprzedni dzień spędziła na załatwianiu formalności z firmą pogrzebową, która miała przewieźć ciało ich brata do Polski i kontaktować się w ich imieniu z konsulatem.

— Adam był ubezpieczony, ale... — przerwała, bo prawda nie chciała jej przejść przez gardło.

— Ale co? Nie mów, że nie będzie kasy. Z czego zapłacisz tym... tym grabarzom?! — Zdenerwowana Ewka zerwała się z fotela i zaczęła przemierzać

pokój długimi krokami. — No powiedz! — ponagliła Joasię.

— Sekcja wykazała obecność alkoholu w jego krwi. To standardowe badanie. Taki wypadek nie jest objęty ubezpieczeniem pracowniczym. — Dziewczyna powtórzyła niemal słowo w słowo to, co przekazał jej O'Brian.

— Cholera. Cholera, cholera, cholera. — Ewa najwyraźniej nie chciała pogodzić się z tym, co usłyszała. — A to nie jest jakaś pomyłka?

Joanna pokręciła głową. Też wolałaby, żeby to nie była prawda.

— Nie jest. Mówiłam ci, że on pije.

— Oj tam — machnęła ręką Ewka. — Te twoje wieczne rozterki.

— A jednak dobrze przeczuwałam! — Teraz Asia wstała i podpierając biodra rękami, podeszła do siostry. — I miałam rację!

— I co ci po tej racji? Co ci po tym przeczuwaniu? Jak byłaś taka pewna, to trzeba było coś zrobić. — Ewa wykrzywiła usta.

— Niby co miałam zrobić? Pojechać tam? Nie wiem, ile razy do niego dzwoniłam, ile pisałam? Nie wiesz tego? Jeszcze mi powiesz, że to moja wina?

— Pewnie, oskarż jeszcze mnie, że nic nie zrobiłam!

— Nic nie rozumiesz, Ewka. Jak zawsze odwracasz kota ogonem! — Zdenerwowana Joanna aż tupnęła nogą, jak wtedy, kiedy była mała, a siostra któryś raz odmawiała jej przyznania racji, choć wszystko wskazywało, że to ona się myli.

Mąż Ewy, zaniepokojony podniesionymi głosami sióstr, wparował do pokoju i stanął pomiędzy nimi. Swoją postawną sylwetką zasłonił Joannę przed żoną, której położył dłonie na ramionach.

— Małego obudzić. Ciszej — poprosił spokojnie. — Teraz się nie ma już o co kłócić. Sprawy trzeba załatwiać.

— Są komplikacje — sarknęła Ewa. — Nie ma forszy z ubezpieczenia.

— Jak to? — Szymon zerknął na Joannę, która wróciła na fotel i podkuliwszy nogi, w milczeniu bawiła się kaszmirowym szalem. W kilku słowach zreferowała szwagrowi wszystko, czego się dowiedziała, dzwoniąc do Irlandii.

— No to mamy problem — stwierdził. — Trzeba będzie pożyczyć. Aśka, weźmiesz pożyczkę?

— Ja? — Popatrzyła na szwagra z niedowierzaniem.

— Nam nie dadzą. Mamy kredyt na samochód — wyjaśnił na widok jej zdziwienia.

— To nie mam wyjścia, tak? — syknęła i ponownie schowała twarz, tym razem opierając czoło na kolanach.

Czuła ogromne zmęczenie. Załatwianie spraw urzędowych, których tak nie lubiła, oraz to, że tylko ona była w stanie porozmawiać po angielsku i dowiedzieć się czegokolwiek na temat okoliczności śmierci brata, kosztowało ją wiele nerwów. Była wyczerpana, miała wrażenie, że jest u kresu sił i nic więcej nie będzie w stanie zrobić. Na co dzień energiczna Ewa teraz potrafiła jedynie wydawać jej

polecenia i zasłaniając się opieką nad dzieckiem, zostawiła wszystko na głowie Joanny. A tu wyskoczył jeszcze brak pieniędzy na organizację pogrzebu.

— A te pieniądze z polisy mamy? — przypomniała sobie.

— Eee. Są na lokacie. — Wyraźne zawahanie siostry nie uszło uwagi Joanny.

— Ale chyba można ją rozwiązać? W tej sytuacji...

— Ewa, i tak musisz jej powiedzieć. — wtrącił się znowu Szymon, ucinając w zarodku wiszącą w powietrzu kłótnię. A raczej na chwilę ją powstrzymując.

— Wzięłam pieniądze z polisy, żeby dostać kredyt na remont mieszkania. Adam ci za to pomógł odnowić to wynajęte. Tak ustaliliśmy — wyjaśniła siostra, bardzo starannie artykułując poszczególne głoski. Robiła tak tylko w rzadkich chwilach zażenowania.

— Beze mnie? Tak sobie ustaliliście? Ty i Adam? Nie wierzę ci!

Joanna wpatrywała się w siostrę, która wyraźnie unikała jej spojrzenia. Nie mogła uwierzyć, że podejmowali decyzje za jej plecami. Że ją zdradzili. Że wymyśliła to siostra, to jeszcze mogła zrozumieć, bo Ewa zazwyczaj nie liczyła się z jej opinią, ale Adam? Ukochany brat, który zawsze brał jej stronę? Który potrafił bronić swojej najmłodszej siostry do upadłego, gdy tylko zobaczył, że ktoś ją krzywdzi? Nie mieściło jej się to w głowie.

— Aśka, nie kłóćmy się — poprosiła Ewa, nagle zmieniając ton.

— Pewnie. W ogóle nie rozmawiajmy. Tak będzie najlepiej. Traktujcie mnie dalej jak dziecko.

— Ale Asiu, zrozum, trzeba było szybko podjąć decyzję i tak akurat wyszło, że ciebie nie było. — Szymon próbował jeszcze ratować sytuację.

— Akurat? A co się stało potem, że nie mogliście mi powiedzieć? To były tak samo moje pieniądze, jak i wasze!

— No jasne, teraz będziesz wypominać coś, czego i tak nie da się odkręcić — prychnęła siostra, a Joanna aż się zatrzęsła ze złości, bo już raz słyszała te słowa.

— No jasne! Tak jak wtedy, kiedy „pożyczyłaś” — podkreśliła ostatnie słowo, wykonując charakterystyczny znak dwoma palcami — moje uzbierane na rower pieniądze i kupiłaś sobie skórzaną kurtkę. I też się nie dało odkręcić, i też była okazja! — warknęła.

— No bo była okazja! Przecena! Dlatego nie mogłam oddać — krzyknęła Ewka. — Ile jeszcze będziesz mi to do cholery wypominać?

— Aż do cholery zapamiętasz! A teraz idę, do widzenia!

Urażona Joanna wymaszerowała do przedpokoju i nie zważając na protesty Ewy ani na prośby szwagra, ani na późną porę, ubrała się i wyszła z mieszkania. Po kilkunastu minutach siedziała w tramwaju jadącym w kierunku dworca i sprawdzała w komórce dostępne połączenia do domu, konsekwentnie odrzucając

wszelkie telefony, jakimi bombardowali ją Ewa z mężem. Miała szczęście. Ostatni bus odjeżdżał za pół godziny, powinna zdążyć. W głowie nadal rozpamiętywała zdradę Adama. Ufała mu bezgranicznie i doceniała, że zawsze brał pod uwagę jej zdanie. „Na pewno Ewka nie mówi mi całej prawdy” — wytłumaczyła sobie. Brat nie żył, a ona za wszelką cenę nie chciała stracić dobrych o nim wspomnień. Dlatego wołała przyjąc, że to siostra postąpiła nie fair. Myśl, że wścieka się właściwie o bzdurę i nie warto kłócić się z jedyną rodziną, jaka jej została, też odsunęła. Żal o wiele łatwiej było zastąpić złością. Zacisnęła zęby i wbiła wzrok w poprzetykaną światłami miasta ciemność za szybą. Kolorowe plamy neonów szklily się i rozmywały we łzach wypełniających jej oczy.

Maria rozstawiła w łazience kilka świec, do kąpeli dodała aromatycznego olejku i naląa sobie kieliszek wina. Spojrzała na siebie w lustrze. Wyglądała o wiele lepiej niż kilka tygodni temu, kiedy otrząsnęła się z letargu i żaloby. Oczy jej błyszczaly, a na ustach błakał się tajemniczy uśmiezek. Nawet pojedyncze siwe włosy, które wtedy zauważyła, gdzieś zniknęły, choć przecież ich nie farbowała... Jej ciało nabrało krągłości. Podobała się sobie. Z lubością zanurzyła się w wannie wypełnionej gorącą wodą. W nowym mieszkaniu zaplanowała jedynie prysznic i teraz korzystała z każdej okazji, żeby wylegiwać się w wannie.

Telefon zadzwonił punktualnie o umówionej porze.

— Jakie wino? — spytał Ryszard.

— Czerwone. A ty?

— Czekaj, muszę pójść zamienić — roześmiał się, a Maria usłyszała plusk wody.

— Wino zamienić? — upewniła się.

— Tak. Bo wziąłem białe.

— Jesteś niemożliwy — zachichotała, bo wyobraziła sobie nagiego Ryszarda drepczącego po drugą butelkę. — Przecież możesz pić inne.

— Ale chcę takie jak ty. I dlaczego się śmiejesz? — zapytał niby poważnie, ale z wyraźnym rozbawieniem w głosie.

— Nie powiem. — Trudno jej było zachować powagę.

— Ha! W takim razie wiem dlaczego! — ogłosił z triumfem.

— Obawiam się, że ci się tylko wydaje.

— Jestem niemal pewien, że jednak się prawidłowo domyślam.

Przekomarzali się, a Maria się śmiała. Było jej lekko i radośnie. Nie czuła się ani trochę skrepowana, że rozmawia z mężczyzną, siedząc naga w wannie, ze świadomością, że on również jest w kąpeli.

— To wnieś toast, jak już masz to wino — zaproponowała. — Czerwone.

— Za naszą pierwszą randkę. I od razu rozbieraną.

— Bo się zakrztuszę i utopię.

— Byłoby szkoda. Najbardziej tego, że mam za daleko i nie mógłbym cię

ratować.

— Uhm, wiedziałam, to podstęp.

Wino w kieliszku szybko się skończyło, więc dołała sobie kolejną porcję. Przyjemnie rozgrzewało krew. Ciepła woda i piana otulała ją niczym atlasowa kołdra. Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki łagodnie mruczał jej do ucha, jednocześnie bliski i daleki, a Maria cieszyła się z tego stanu zawieszenia, niedopowiedzeń i faktu, że mogła dawać mu dokładnie to, czego chciała, i z wdzięcznością przyjmować to, co oferował. Bezpieczne porozumienie rozlewało się w nich niczym najlepszy trunek i trudno im było zakończyć rozmowę. W końcu jednak woda w wannie zaczęła stygnąć, a Maria zrobiła się senna.

— Otul się szlafrokiem, żebyś nie zmarzła, jak wyjdiesz z wanny. Połóż się do łóżka i powiem ci dobranoc — szepnął Ryszard.

Kobieta zdmuchnęła świece w łazience i nie zapalając światła, przeszła do sypialni. Zapadała w sen całkowicie zrelaksowana, wypełniona ciepłem głosu Ryszarda i poczuciem spełnienia.

Joanna wysiadła z autobusu senna i zbołała. Zdrzemnęła się kilka minut podczas jazdy i teraz czuła w ustach słodkawą, ale nieprzyjemny smak. Wraz z nią pojazd opuściło kilkoro osób. Jedną kobietę знаła z widzenia, bo robiły zakupy w podobnym czasie, kojarzyła też dwóch młodych mężczyzn, chyba braci — ci z kolei czasem służyli do mszy. Odkłoniła się odruchowo, kiedy ją mijali, i wkrótce została sama na przystanku. Przeszukała torbę w nadziei, że ma tam butelkę z resztką wody mineralnej, ale się zawiodła. Przez chwilę podziwiała drobniutkie płatki śniegu wirujące w świetle latarni, a potem wolno ruszyła w stronę swojego bloku. Nie miała na nic ochoty. Nie chciała, żeby kończył się ten dzień i zaczynał kolejny, pełen nowych kłopotów. Nie chciała, żeby wypadek brata się wydarzył. Nie wiedziała nawet, czy chce dalej być nauczycielką angielskiego i mieszkać w tym małym miasteczku, pełnym ciekawskich spojrzeń, czujnych uszu i języków skorych do plotek. I nie miała pojęcia, czego właściwie chce. Wlokła się noga za nogą, przepełniona żalem i wyczerpaną emocjonalną szarpaniną, jaką zafundowała jej siostra.

— Cześć, Asia. — Wracający z treningu Marcin dogonił ją i zrównał swój krok z wolnym tempem dziewczyny. — Jak się czujesz?

— Chujowo. — Joanna pociągnęła nosem. Nie miała już siły na nic, a łzy same pchały jej się do oczu.

— No, cholerka. — Wufista aż przystanął na moment, tak go zatkało. Joasia dotąd nie przeklinała i była wcieleniem spokoju. — Słyszę, że nie jest dobrze.

— Pokłóciłam się z siostrą, nie mamy kasy na zapłacenie firmie pogrzebowej, jutro muszę załatwić jakąś pożyczkę, przez co nie będę mogła pójść na lekcje, a urlop okolicznościowy miałam tylko na dziś i dyrektor mnie wywali.

A najgorsze, że Adam nie żyje, bo wlaź pijany na rusztowanie, i to jest tak głupie, tak bezsensowne, że ja naprawdę już nie mogę. — Otarła rękawem płaszcz policzki i nos. O to, że może pobrudzić ubranie, już w tej chwili nie dbała.

— Kurczę, dziewczyno. Ale ci się porobiło. Chodź tutaj. — Joanna poczuła, że Marcin przyciąga ją do siebie, obejmuje ramionami i przytula. Przyłgnęła policzkiem do zimnego materiału jego sportowej kurtki i starała się uspokoić. — A o szkołę się nie martw. Dyrekcja na pewno da ci urlop bezpłatny, tylko musisz jutro rano wejść i zostawić podanie. Spokojnie — mówił dalej nad jej głową.

Stali tak jakiś czas w świetle latarni, w padającym wilgotnym śniegu. Asia pozwoliła sobie na moment zapomnienia, skupienia tylko na własnym żalu. Łzy dopiero wtedy przestały płynąć. Przeciągała tę chwilę jak najdłużej. Dopiero kiedy ulicą za ich plecami przejechał ktoś na hałaśliwym, starym motocyklu, dotarło do niej, że Marcinowi, który przerwał trening, jest z pewnością zimno i nie powinna tak stać w objęciach kolegi z pracy niedaleko głównej drogi, czyli w miejscu, gdzie byli doskonale widoczni.

I rzeczywiście, jej obawy szybko się spełniły, bo nagle zza budynków wypadli na chodnik ich uczniowie. Jak na komendę stanęli w rzędzie i wydali z siebie przeciągłe buczenie. Joanna rozpoznała Długockiego i jego kolegów, rozwydrzoną bandę, która nie raz dała jej się we znaki podczas lekcji. „Niech to wszystko trafi szlag” — pomyślała zrezygnowana.

— Dzięki, Marcin. — Wyswobodziła się z objęć Janeckiego. — Będą plotki.

Wuefista groźnie popatrzył na rozbawionych chłopaków.

— Zmykajcie stąd, bo zamelduję twojemu kuratorowi, że włóczysz się po nocach — syknął do Krzyśka. — Nie przejmuj się. Pogadają i skończą — zwrócił się do Joanny, kiedy po Długim i jego kompanach nie było już śladu. — Nie takie bajki już tu opowiadali. Odprowadzę cię.

Nie odpowiedziała nic, nie protestowała. Bardzo potrzebowała tych kilku minut, zanim zostanie sama. Przyspieszyła tylko kroku, żeby lekko ubrany Marcin nie marzył aż tak bardzo. Szli w milczeniu, zostawiając za sobą pióropusze pary. Robiło się coraz chłodniej i ciągle padał śnieg, otulając powoli świat bielą jak całunem ciszy.

Ani Joanna, ani Marcin nie zauważyli, że przegonieni przed momentem chuligani wrócili i szli za nimi aż pod blok, kryjąc się za budynkami. Srodze się rozczarowali, gdy nie podpatrzyli już nic ciekawego, a na dodatek kiedy Janecki zawrócił spod klatki, bez trudu ich zauważył. Krzyknęli jeszcze w jego stronę coś o zakochanych parach i uciekli na dobre.

Ukryli się za dawną remizą, osłonięci rozrośniętym przez lata żywopłotem, i zawzięcie plotkowali. O wypadku brata nowej nauczycielki słyszeli już chyba wszyscy w miasteczku, ale jak dotąd nikt nie znał żadnych szczegółów, dlatego dość szybko wyczerpali temat. Długo głośno rozważał możliwości wykorzystania

tego, co widzieli przed kilkoma minutami, i roztaczał przed kolegami wizję załapania dobrych ocen z angielskiego.

— A słyszałeś? Będzie u nas lekcja z policjantami i psem — Kuba, najlepszy kumpel Długiego, nagle zmienił temat rozmowy.

— Niby skąd, geniuszu? I co w tym takiego super? — Krzysiek wzruszył ramionami. Wygrzebał z kieszeni kurtki papierosa, któremu urwał filtr i starannie go oglądał. Zamierzał sprawdzić, ile prawdy było w opowieściach dziadka, który ostatnio lekceważąco określił współczesne papierosy jako „popierdółki z filtrem”. Dziadek wprawdzie nie palił od kilkunastu lat, a dokładnie od momentu, kiedy lekarze mieli poważne problemy z wybudzeniem go po operacji, ale to nie przeszkadzało mu się przechwalać, jakie wszystko było kiedyś lepsze, mocniejsze, trwalsze. A papierosy sam zwijał i o żadnym filtrze nie było mowy. Długocki wymyślił, że spróbuje, jak smakują takie szlugi.

— No jak to? Takie psy umieją znajdować narkotyki, ojciec mi mówił.

— Naszej policji to chyba taki pies niepotrzebny. Dobrze wiedzą, że maryskę ma zawsze syn starego Kruczki, i jakoś nic mu nie robią.

— Bo młody Kruczka tu nie handluje — zaperzył się Kuba, który był bardzo wyczulony na wszelką krytykę działań swojego ojca — komendanta lokalnego posterunku.

— No to na co im ten pies, frajerze?

— Nie im. Lekcja będzie u nas w budzie. Taka pokazowa. I będzie ten pies, tresowany taki. Ojciec mówił, że to bardzo fajne, że potrafi na węch znaleźć, jak ktoś ma zioło. Albo amfę. A Leszek od Antczaków opowiadał, że u jego kuzyna w szkole to nawet u ucznia w plecaku wywąchał. I w gazecie o tym napisali. Kapujesz teraz?

— Ty, kiedy to ma być? Olać lizanie się głupich nauczycieli. Zrobimy numer rudemu! — Długi odrzucił niezapalonego papierosa. — Ale będzie beka!

Janek odczekał, aż pani Komasa skończy robić zakupy, i wślizgnął się do sklepu pana Sołtysika.

— Dzień dobry — przywitał się od progu.

Mężczyzna obdarzył go niechętnym spojrzeniem. Widział, że chłopak kręci się pod drzwiami od dobrego kwadransa, i obawiał się, że znowu przyszedł po zakupy dla swojego ojczyma. Sołtysik nie cierpiał tego i tylko pewność, że gdy nagada Wiktorskiemu, to złość tego alkoholika skrupi się na Jaśku, powstrzymywała go od interwencji.

— No cześć, Jasiek. Nie sprzedam ci nic dla ojca — zastrzegł. — Kontrolę miałem niedawno.

— Ja nic nikomu, słowo! — Janek aż odruchowo uderzył pięścią w pierś. — Pan wie, panie Karolu.

— Czego chcesz, Jasiek, nie mam czasu. Towar muszę wykładać, syna

dziś nie ma, a jeszcze muszę te choinki przybrać i lampki w oknie zawiesić — wskazał na przygotowane na parapecie świąteczne akcesoria.

— Właśnie, ja bym mógł pomóc, panie Karolu. Ponoszę, co trzeba, tak jak ostatnio. I z bombkami i dekoracją też! — zaoferował się natychmiast, szczęśliwy, że tak dobrze trafił.

— A co ty się tak, Jasiek, do pomocy garniesz? Co żeś znalazł?

— Ja nic, serio! — zapewnił chłopak gorliwie.

— Akurat, mów, Jasiek, znam cię nie od dziś. Forsy chcesz? — Sołtysik był wyraźnie zniecierpliwiony.

— Tak, potrzebuję odkupić książkę, bo się zniszczyła. — Chłopak nie miał zamiaru wtajemniczać nikogo w okoliczności, w jakich to się stało, ale nie chciał też za bardzo -kłamać.

— Się zniszczyła, się zniszczyła — przedrzeźnił go sprzedawca. — Ta bibliotekarka ma do was świętą cierpliwość. Niech będzie, pomożesz mi, to zarobisz na tę swoją książkę.

— Dziękuję, panie Karolu! — Uszczęśliwiony chłopak wbiegł na zaplecze, zanim mężczyzna wymyślił, co mógłby mu jeszcze powiedzieć.

Janek pracował bez zbędnych słów i starał się jak najszybciej wykonywać polecenia pana Karola. W niecałą godzinę prawie połowa nowego towaru była ometkowana i ułożona na półkach. Naburmuszony dotąd sklepikarz nieco odtajał i odzyskał humor, przygotował dwa kubki herbaty z cukrem, wyjął zrobione przez żonę kanapki z szynką i zaprosił Janka na przerwę.

— Choć, młody, zjemy sobie.

— Ale nie trzeba — mitygował się chłopak, choć zapach świeżego chleba i wędliny przyjemnie łechtał w nosie.

— Siadaj. — Pan Karol nie przyjął sprzeciwu i po chwili patrzył, jak jego pomocnik dosłownie pochłania kromkę. Dlatego podsunął mu drugą. Była sobota. Nie było pewności, czy na Jaśka czeka w domu jakiś obiad.

Jedli w milczeniu. Janek, nieco zawstydzony swoim łakomstwem, wpatrywał się w kubek z herbatą i starał się jak najciszej mieszać łyżeczką. Napój też wypił szybko, jakby nie chciał nadużywać uprzejmości Sołtysika. Opłukał naczynie w zlewie na zapleczu i powrócił do wykładania produktów na półki. Mężczyzna przyglądał mu się w milczeniu, zamyślony.

Dzwonek przy drzwiach oznajmiający przybycie klienta przykuł uwagę sklepikarza. Do środka weszła kobieta, którą kojarzył z widzenia — to ona kupiła i remontowała lokal na rogu ulicy, niedaleko szkoły. Jej robotnicy często robili u niego zakupy, ale nie byli zbyt rozmowni, więc niewiele wiedział na temat tych prac.

— Dzień dobry — przywitał klientkę.

— Dzień dobry. Poproszę kawę. Neskę. — Nowo przybyła uśmiechnęła się

do niego miło i skinęła głową Jankowi, który uklonił się grzecznie, zanim wrócił do swojego zajęcia.

Pan Karol podał słoik z kawą i przyjął pieniądze. Z zainteresowaniem przyjrzał się eleganckiej klientce.

— Śnieżnie się robi, od rana prószy — zagaił. — Może będą białe święta?

— O, ładnie by było! — Kobieta szybko podjęła temat. — W tamtym roku szaro, nijako. Jak jest śnieg, to zaraz inaczej, nastrojowo.

— Oj, prawdę pani mówi. Czy podać coś jeszcze? — skorzystał z okazji, że klientka nie zbierała się jeszcze do wyjścia. — Czekoladę świąteczną mam w promocji.

— A wie pan, chętnie kupię. Proszę podać pięć tabliczek. Syn panu pomaga? — Zainteresowała się, z sympatią spoglądając na krzątającego się Janka.

— Nie, syna dziś nie ma — odruchowo zaprzeczył Sołtysik. — A to taki mój pomocnik sezonowy. Nieoficjalny — dodał, kiedy się zorientował, kogo dotyczyło pytanie, i mrugnął porozumiewawczo.

— W takim razie to mu się bardzo chwali — roześmiała się nieznajoma. — A czy mogę o coś zapytać?

— Oczywiście, pani pyta. Ja tu sklep prowadzę od dwudziestu lat, znam wszystkich — pochwalił się.

— Szukam sprawdzonego młyna gdzieś w okolicy, chciałabym kupować mąkę chlebową. I nie tylko.

Sklepikarz wytrzeszczył oczy. Spodziewał się raczej pytań o potencjalnych klientów, na jakich ta kobieta mogła liczyć w swoim lokalu. A ona o młynie.

— Nooo, jest tu niedaleko młyn. Dobra rodzina go prowadzi. Zapiszę pani adres.

— Poproszę i bardzo dziękuję. A za polecenie oferuję stały rabat w mojej pizzerii. — Z uśmiechem podała mu ulotkę. — Otwieram siódmego stycznia.

— To bardzo miło, dziękuję.

— Byłabym zapomniała! — Kobieta pacnęła ręką w czoło. — Jeszcze trzy zgrzewki wody mineralnej poproszę.

Sołtysik policzył należność i przyjął pieniądze. Już miał zaproponować, że załaduje ciężkie zakupy do samochodu, kiedy jak spod ziemi obok kontuaru wyrósł Janek.

— To może ja pani pomogę zanieść tę wodę? — zaoferował.

— O, bardzo miło z twojej strony — ucieszyła się nieznajoma.

Sklepikarz z uśmiechem obserwował z okna, jak rudzielec taszczy zakupy do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Po schowaniu toreb do bagażnika kobieta próbowała wręczyć mu jedną z kupionych przed chwilą tabliczek czekolady, ale chłopak, jak to on, wzbraniał się i wykręcał. Mimo wszystko przyjął podarunek i zadowolony wrócił do sklepu.

— Już jestem — oznajmił. — A ta facetka jest super, powiedziała, że zleci mi rozniesienie ulotek.

Joannę przerażała wizja pogrzebu Adama. Z jednej strony wołałaby, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł. Z drugiej chciała, żeby jak najszybciej dobiegł końca. Pożyczkę i pozostałe formalności zdołała sfinalizować w ciągu tygodnia, tym sprawniej, że siostra jednak włączyła się aktywnie w załatwianie. Do niedawnej kłótni nie wracały. Obie wołały udawać, że nic się nie wydarzyło, ale mimo to wisiało między nimi napięcie maskowane przesadną uprzejmością. Dopiero w kościele, kiedy proboszcz ich rodzinnej parafii wypowiedział słowa „przekażcie sobie znak pokoju”, Ewa odwróciła się do Joanny i po prostu objęła ją mocno. Rozplakały się obie, a obcość zniknęła. Joasia poczuła się, jakby po długiej i trudnej podróży wróciła do domu. Pomyślała, że pieniądze nie mają znaczenia, o wiele ważniejsze jest to, że ma rodzinę.

Na cmentarz szła już z siostrą za rękę i było o wiele łatwiej przetrwać ten moment, którego bała się najbardziej — chowania trumny do ziemi. Żal dławił ją w gardle i choć nogi odmawiały posłuszeństwa, zdołała podejść i rzucić na jasne drewno grudę ziemi i różę. Zaczerpnęła spazmatycznie powietrza, jakby zapomniała o oddychaniu, i niemal upadła, ścięta ogromną rozpaczą, ale Ewa była tuż obok. Objęła Joannę i dziewczyna nie musiała sama mierzyć się ze współczującymi spojrzeniami i przyjmować kondolencji, czego tak się obawiała. Ledwie zarejestrowała obecność swoich nowych znajomych ze szkoły — Janeckiego w towarzystwie polonistki i wikariusza wraz z delegacją uczniów. Konsolację również przetrwała tylko dzięki wsparciu Ewy. A kiedy wróciła z Bielickimi do ich mieszkania, siostra bez słowa zaprowadziła ją do sypialni, jak małemu dziecku pomogła się rozebrać i siedziała na brzegu łóżka, na zmianę poprawiając kołdrę i ocierając łzy ze swoich i jej policzków, dopóki Joanna nie zasnęła.

Kolejny dzień okazał się łatwiejszy. Na szczęście to była niedziela i Asia miała czas na przygotowanie się do powrotu do pracy. Szymon podrzucił ją do mieszkania, ale nie chciał nawet zostać na herbatę, wymawiając się, że jutro musi w nocy wstać do pracy, a chciałby jeszcze parę rzeczy w domu zrobić. Joannie przypomniało to pożegnanie z Adamem, kiedy przywiózł tutaj jej rzeczy. Wtedy też brat spieszył się do Warszawy... Szybko odeгнаła smutne myśli, jakby w zabobonnej obawie, że ściągnie na szwagra jakieś nieszczęście. I chociaż próbowała udawać przed sobą, że nie wierzy w przesady, to odetchnęła dopiero, kiedy dostała obiecane smsy z wiadomością, że dojechał bezpiecznie.

Przygotowała sobie kubek herbaty z pomarańczą i zawinięta w ciepły pled umościła się z laptopem na sofie z zamiarem przejrzenia poczty, nieotwieranej od ponad tygodnia. Napisała krótkiego maila do Goški, z którą miała się umówić na kawę, z wyjaśnieniem, dlaczego tak długo się nie odzywała. Może powinna do niej

zadzwoić? Joanna pożałowała, że nie zrobiła tego przed pogrzebem. Była wtedy zupełnie sama, z górą przerastających ją spraw, i dobrze by jej zrobiło, gdyby mogła wtedy porozmawiać o tym z rówieśniczką. Bez wsparcia Marcina, po kłótni z siostrą, z pewnością nie dałaby rady ze wszystkim. Pisała właśnie maila z podziękowaniem do Janeckiego, kiedy usłyszała niepewne pukanie do drzwi.

Była zaintrygowana, ale i nieco zaniepokojona, bo kto mógłby chcieć ją odwiedzić? Powłokła się do przedpokoju. Już otwierała zamek, kiedy w jej głowie błysnęła myśl, że to jakiś akwizytor, więc kontrolnie przyłożyła oko do wizjera.

— Pani Agata? Dzień dobry. — Ogromnie zdziwiona zaprosiła staruszkę do środka. — Co panią do mnie sprowadza?

— A obiad panience przyniosłam, bo żem słyszała, że panienka w żałobie. Moje kondolencje najszczersze. — Walczakowa postawiła na podłodze dwie siatki i ścisnęła dłonie dziewczyny.

— Nie trzeba było się fatygować, dziękuję. — Joanna szybko otarła łzę, która spłynęła po jej policzku. — Naprawdę nie trzeba.

— Panna Joanka tu sama jak palec. Przyniosłam zupę gulaszową i ciasto. Wszystko świeże, można do lodówki i będzie na trzy dni. I niech się nie krępuje. U nas w rodzinie taki zwyczaj, że żałobnika głodnego zostawić nie wolno. I jeszcze ksiądz proboszcz mówił... — Staruszka przerwała nagle i zmieniła temat. — Proszę podgrzać sobie zupę. Pora obiadu, a jeść trzeba, nawet jak smutek człowieka trawi.

Zakłopotana Joanna postawiła garnek z gulaszem na kuchence. Nie umiała odmówić Walczakowej. Pokroiła też przyniesiony przez nią placek ze śliwkami i zaprosiła kobietę na herbatę.

— Zupy też pani zje, prawda, pani Agato?

— Ależ nie, herbatę to ja chętnie, ale obiad już jadłam. Panno Joanko...

— Tak?

— Ja mam jeszcze sprawę. Bo u pani w rodzinie takie nieszczęście, a ja dołożyłam zmartwień. Ksiądz proboszcz na spowiedzi świętej mnie za pychę połajał. I miał rację, bo ja nie powinnam... — Staruszka mówiła z wyraźnym zakłopotaniem, nerwowo mieszając herbatę.

— Pani Agato, co się stało? Przecież pani żadnych zmartwień mi nie dokładała, wręcz przeciwnie. — Joanna łagodnie dotknęła pomarszczonej dłoni Walczakowej.

— A gdzie tam. Przeze mnie panienka już na chór nie przychodzi. I wszyscy tęsknią, bo pani Joanna najlepiej śpiewa. Nikt tak nie śpiewał w naszym kościele jak panienka. Nawet ja, jak młoda byłam.

Joanna uśmiechnęła się lekko i zapewniła, że jest jej bardzo miło, iż wszyscy o niej pamiętają.

— No to panna Joanka się ubiera, bo za pół godziny msza się zaczyna —

oświadczyła staruszka.

— Ale przecież... plotki i w ogóle... — stropiła się Joanna.

— Niech ktoś spróbuje z plotkami, to będzie miał ze mną do czynienia — zaperzyła się Walczakowa i z groźnym spojrzeniem zaplotła ręce na piersi. — Chodźmy, śpiewanie daje wytchnienie — dodała łagodniej, jakby z matczyną troską. — A w żałobie potrzeba szukać chwil ukojenia. Ja po śmierci mojego, świeć panie nad jego duszą, czasem całe dni w kościele spędzałam. Tylko tam nie śmiałam przeklinać Boga za to, że mi go zabrał. I na koniec się z Nim pogodziłam. Bóg wie, co dla nas dobre.

Dziewczyna zamrugła wzruszona, odganiając cisnące się do oczu łzy. Dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, zupełnie nie wiedząc, jak ma się zachować, a potem bez słowa zebrała się do wyjścia.

Poszły przez śnieg, a w kościele powitał je szeroki uśmiech księdza proboszcza. Stały razem w miejscu, gdzie zbierał się chór. Półmrok w świątyni pogłębiał nastrój oczekiwania. W modlitwach czuć było nadzieję na radość, jaką przyniesie narodzenie Zbawiciela. Joanna śpiewała, wkładając w pieśń swoje serce. Jej smutek i żal ustąpiły na czas nabożeństwa. Poczowała, że ma miejsce, do którego chciałyby wracać, gdzie znajdzie spokój. Z wdzięcznością ścisnęła rękę Walczakowej, a staruszka w niemym porozumieniu pogłaskała wierzch dłoni dziewczyny.

Wyszły też razem, bo Joanna postanowiła odprowadzić panią Agatę. Szły w milczeniu, każda zatopiona we własnych myślach.

— Panno Joanko... — Walczakowa odezwała się dopiero pod swoim domem. — Panienska się na mnie nie gniewa. Ja wtedy nagadałam głupot. I jeszcze nieprawdę powiedziałam, bo tak marzyłam o tej pieśni.

— Nie rozumiem, pani Agato — przyznała zaskoczona dziewczyna. — Kiedy pani nagadała i komu? O jakiej pieśni?

— Tej adwentowej. Ja chciałam zaśpiewać sama zwrotki, a nie refren ze wszystkimi. A jak panna Joanka była, to ksiądz wikariusz przecież panience kazał śpiewać solo. Więc ja wymyśliłam, że są plotki. To ja to nieszczęście sprowadziłam. — Staruszka nagle głośno się rozszlochała. Duże łzy spłynęły z jej szarych oczu, znacząc wilgocią każdą zmarszczkę i bruzdę na niemłodej twarzy.

Do Joanny powoli docierał sens tego, co usłyszała od pani Agaty. Absurd całej sytuacji zaczął ją bawić. Powstrzymała jednak śmiech, objęła staruszkę i zapewniła, że wypadek Adama to przecież nie jej wina.

— Niech już się pani nie zamartwia. Nie mam do pani żalu — powtarzała, a Walczakowa w końcu się uspokoiła i już jaśniejszym spojrzeniem wejrzała prosto w oczy Joanny.

— Przepraszam. Ale wróci panna Joanka do chóru? To nie było tylko dziś?

— Pewnie. Z przyjemnością. Ma pani rację, że to wytchnienie. Właściwie to

śpiewanie w naszym kościele to jedna ze wspanialszych rzeczy, jakie mnie spotkały w życiu — wyznała dziewczyna.

Dzięki niedzielnemu wyciszeniu poniedziałek był dla niej znośniejszy. Joanna w pewnym sensie była wdzięczna Walczakowej za całą aferę ze śpiewaniem i plotkami. Być może nie przyszłoby jej do głowy, żeby odwiedzić kościół, gdy w uszach brzmiały jeszcze dźwięki mszy pogrzebowej. Również w szkole spotkało ją ciepłe przyjęcie, choć na szczęście nikt przesadnie nie współczuł ani nie wypytywał o szczegóły. Nawet uczniowie wydawali się nieco cichsi niż zazwyczaj.

Sytuację ułatwiała także zapowiadana na samo południe atrakcja, o której wszyscy mówili, w postaci spotkania z policjantem i szkolonym do tropienia psem. Goście mieli wygłosić pogadankę o narkotykach i opowiedzieć o pracy zwierząt w policji.

Za kwadrans dwunasta uczniowie czekali już w auli, a Joanna musiała jeszcze skorzystać z toalety, dlatego chyłkiem wymknęła się z sali, prosząc Janeckiego, by przez chwilę zerknął także na „jej” klasę. Wracała już, kiedy w korytarzu, niedaleko łazienek, zauważyła rudą czuprynę Janka Wiktorskiego. Z niedowierzaniem obserwowała przez chwilę, jak chłopak wyciąga z kosza na śmieci swój plecak. Na jego twarzy uczucia rysowały się aż nazbyt wyraźnie, zaciętość, o której świadczyły mocno zaciśnięte szczęki, walczyła z poczuciem krzywdy. Kierowana współczuciem w kilku krokach znalazła się przy Janku akurat w momencie, kiedy z wytrzępywanej energicznie kieszeni tornistra wypadła przezroczysta torebeczka z charakterystycznymi brudnozielonymi grudkami. Prosto pod jej nogi. Chłopak zamarł w pół gestu, a jego szeroko otwarte oczy zdradzały zdziwienie.

— Jasiek, co to jest, u licha? — Joanna przykucnęła i nakryła dłonią niespodziewane znalezisko. Nie mogła uwierzyć, że ten chłopak nosił w plecaku narkotyki. Pochyliła się i zajrzała w zielone tęczówki błyszczące od strachu i powstrzymywanych łez.

— Proszę pani, ja nie wiem. Ja naprawdę... — Widać było, że jest na granicy płaczu.

— Będziemy musieli poważnie porozmawiać. Weź swoje rzeczy i idź do auli — poleciła mu sucho, a Wiktorski odetchnął z ulgą.

— Dziękuję, że mi pani wierzy — szepnął i skwapliwie wykonał jej polecenie.

Joanna szybko analizowała sytuację. Nie miała wątpliwości, że musi znaleźć dyrektora szkoły, a na pewno nie może pojawić się z marihuaną w kieszeni na lekcji z udziałem psa tropiciela. Drugim wyjściem było wyrzucenie znaleziska do ubikacji i porozmawianie z dyrekcją później. Niestety, zanim zdążyła cokolwiek postanowić, Niewiadomski pojawił się na korytarzu w towarzystwie dwóch

mężczyzn — jednego w mundurze policyjnym, drugiego w charakterystycznym granatowym swetrze. Ten z kolei prowadził na smyczy czarnego owczarka. Joanna zdążyła wstać, kurczowo zaciskając w pięści torebkę.

— O, pani Joasia! Czy pani wychodzi? — zainteresował się dyrektor.

Dziewczyna jakimś cudem opanowała panikę i pustkę w głowie. Mężczyzna z psem wydał jej się znajomy, a kiedy uprzejmie się uśmiechnął, momentalnie skojarzyła, że to zawodnik, którego czip znalazła na trasie półmaratonu. Oglądała jego zdjęcia w internecie. Tylko jak on się nazywał? Błażej? Bartosz? Bartłomiej? Zaryzykowała.

— Och, nie, panie Jurku, po prostu znam Bartka i chciałam się jeszcze przed pokazem przywitać. Ostatnio biegliśmy razem w półmaratonie we Włocławku, ale nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać — wypaliła, starając się brzmieć pewnie. Równocześnie dość rozpaczliwie wbijała wzrok w mężczyznę, mając nadzieję, że zrozumie bez słów jej intencje. Chyba tak było, bo nie przestając się uśmiechać, pokiwał głową.

— To miła niespodzianka — potwierdził.

— Pani Joasia biega — wyjaśnił bez sensu dyrektor drugiemu policjantowi, stojącemu jak dotąd bez słowa.

— Aspirant Brzozowski — przedstawił się tamten, a dziewczyna odruchowo podała mu rękę. Na swoje szczęście torebkę z marihuaną miała schowaną w lewej dłoni.

— Joanna Jarosz.

— Dobrze, to ja pana aspiranta zabiorę, bo uczniowie czekają, i tak jak ustaliliśmy, pan z psem wejdzie za jakieś dwadzieścia minut. — Dyrektor nie tracił czasu i po chwili obaj mężczyźni oddalili się, a właściciel psa już bez śladu uśmiechu przyjrzał się Joannie.

— O co pani chodzi? Nie przypominam sobie, żebyśmy się znali. Choć rzeczywiście startowałem we Włocławku. Więc? — spytał bez ogródek. W jego, teraz zmrużonych, burzowo szarych oczach czaił się gniew. Zaniepokojony ostrym tonem właściciela pies przestąpił z łapy na łapę i cicho zaskomlał. — Cicho, Rus, siad! — zakomenderował mężczyzna, a Joanna wzdrygnęła się lekko.

Dostrzegła, że patrzy na nią spod gęstych rzęs, i przez moment się dziwiła, dlaczego zauważa takie detale. Ładny wykrój ust, lekki ślad ciemnego zarostu na mocno zarysowanej szczęce, którą lekko pocierał w zamyśleniu. Nie powinna teraz skupiać się na wyglądzie dopiero co poznanego policjanta. Nawet jeśli był wyjątkowo interesujący, a z tymi sprawiającymi wrażenie wyciosanych w kamieniu rysami twarzy i zimnym spojrzeniem śmiało mógł odgrywać rolę jednego z rycerzy legendarnego króla Artura.

Nerwowo przełknęła ślinę, zerkając na siedzącego już spokojnie owczarka. Musi jakoś opowiedzieć, co ma, bo przecież zwierzę zaraz to wyczuje.

— Przepraszam za to kłamstwo. Chciałam komuś z państwa przekazać to, co znalazłam na korytarzu, nie wywołując zbytniego zamieszania wśród uczniów — wyjaśniła bez ogródek, wyciągając w jego stronę torebkę z brunatnozieloną zawartością.

Mężczyzna przypatrywał się jej zdziwiony przez kilkanaście sekund, zanim odebrał od niej torebkę.

— Rus! — Pies obwąchał podstawiony mu pod nos pakunek i dwukrotnie, niezbyt głośno zaszczekał. — Dobry pies — pochwalił go właściciel i schował narkotyk do kieszeni kurtki. — Będę musiał to zameldować koledze, a pani powinna złożyć wyjaśnienia. Proszę się nie martwić — na pewno w charakterze świadka. A jeśli nie chce pani zamieszania, to może teraz spiszę dane?

— Oczywiście. Dziękuję panu. — Dopiero w tym momencie Joanna poczuła, jak bardzo była spięta. Dokuczliwie zaboląły ją mięśnie karku. Szybko wyjęła dowód. Policjant zanotował potrzebne informacje i dopytał o numer telefonu, który podała mu drżącym ze zdenerwowania głosem.

— Pani Joanno, nie wyjaśniła mi pani, skąd się znamy — przypomniał. — Mamy jeszcze przynajmniej kwadrans, zanim będzie moja kolej. Chętnie posłucham, co ma mi pani do powiedzenia.

— Na półmaratonie przybiegł pan drugi — zaczęła Joanna. Czuła się niemal jak na przesłuchaniu, ale w miarę jak przechodziła do kolejnych etapów opowieści, mężczyzna uśmiechał się coraz sympatyczniej, a z jego wrogości nie pozostał nawet ślad. Joanna również się uspokoiła.

— No cóż, wygląda na to, że jest pani specjalistką od przypadkowego znajdowania interesujących przedmiotów — skwitował z zagadkowym uśmiechem.

— I chyba mistrzynią w robieniu z siebie idiotki — wes-tchnęła.

— Nie, skąd, podziwiam pani błyskawiczną reakcję. I odwagę.

— Przesadza pan.

— No dobrze, podziwiam urodę — roześmiał się policjant, a Joanna natychmiast oblała się rumieńcem. — Bardzo dziękuję za oddanie tego czipa. Dzięki temu zaliczono mi oficjalnie czas biegu, a to dla mnie ważne, bo zbieram punkty na dobrą pozycję startową na berliński maraton.

— To świetnie! Czytałam o panu artykuł na portalu — przyznała się Joanna.

— Ja również myślałem, żeby panią odnaleźć, bo także sprawdziłem, kto odnalazł mój czip, ale nie chciałem wykorzystywać swoich policyjnych możliwości, a Facebook na pani temat milczał — wyjaśnił. — Jestem winien pani co najmniej zaproszenie na kawę. Mam nadzieję, że się pani zgodzi.

— A to nie będzie niestosowne?

— Przecież nie postawiono pani żadnych zarzutów, a ja nie jestem prokuratorem — roześmiał się Bartosz. — Mam pani numer telefonu — podkreślił z uśmiechem.

Joanna nie wiedziała, co odpowiedzieć, na szczęście intrygujący policjant musiał już iść poprowadzić swoją część wykładu, po którym nie było czasu na kontynuowanie rozmowy, bo dyrektor zabrał obu panów na obiad. Dziewczyna rozglądała się jeszcze za Jankiem, ale chłopak prawdopodobnie wyszedł zaraz po lekcji, bo nigdzie nie mogła go wypatrzeć. Sprawa znalezionej torebki z marihuaną musiała pozostać niewyjaśniona, przynajmniej do czasu wezwania na przesłuchanie. Bartosz zastrzegł, żeby Joanna nie informowała o niczym dyrekcji szkoły.

Maria oparła czoło o chłodną szybę. Z dziecięcą fascynacją obserwowała fajerwerkowy spektakl. Gejzery kolorowych iskier wybuchały wciąż i wciąż w coraz to innych częściach miasta, choć było już grubo po północy. „To mój ostatni dzień przed przeprowadzką. I pierwszy dzień nowego roku” — pomyślała. Jutro miała już spać w mieszkaniu nad pizzerią. W sylwestrową noc była sama, z własnego wyboru. Początkowo wraz z bratem i jego żoną planowali imprezę w nowo wyremontowanym lokalu Marii, ale po namyśle uznała, że chciałyby po prostu odpocząć i pobyć we własnym towarzystwie. Całe święta Bożego Narodzenia spędzili razem, a później Kowalska dopinała ostatnie sprawy związane z rozpoczęciem biznesu, co okazało się dla niej tak męczące, że już wczesnym wieczorem kładła się do łóżka i spała nieprzerwanie do rana. Dzisiaj zrobiła wyjątek. Rano odwiedziła cmentarz, później ponad godzinę wylegiwała się w relaksującej kąpieli, a na wieczór przygotowała sobie sałatkę z krewetkami.

Dzwonek przychodzącego połączenia na Skypie oderwał ją od okna. Rysiek. Obiecał, że zadzwoni, gdy wróci ze zmiany. Włączyła kamerę i po chwili patrzyli na siebie. -Maria doceniła, że mężczyzna włożył na tę okazję elegancką szarą koszulę i starannie się ogolił. Dobrze się czuła z myślą, że była dla niego ważna, że się postarał. Dla niej. Ona również włożyła jedną ze swoich koktajlowych sukienek. Odcień starego złota podkreślał głębię jej brązowych oczu. I z tego też się cieszyła, że miała dla kogo założyć dziś taki strój.

— Ładnie wyglądasz. Oglądałaś sztuczne ognie? — spytał miękko.

— Uhm.

— Sama? — Brzmiał zupełnie inaczej niż jeszcze kilka godzin temu, kiedy składał jej życzenia. Wcześniej, bo nie był pewien, czy uda mu się zadzwonić o dwunastej. Wtedy żartowali.

— Teraz z tobą. — Chciała go uspokoić, a może pocieszyć. Sama nie była pewna, jakiego efektu oczekiwała. Ale w głosie i spojrzeniu Ryszarda wychwyciła doskonale jej znany smutek i tęsknotę.

— Blisko i daleko. Wszystko jest super, dopóki nie wracasz po ciężkim dniu do domu i nie uświadamiasz sobie, że nikt na ciebie nie czeka. Przez komputer cię nie przytulę — burknął.

Maria nie odpowiedziała. Poruszona usłyszanym wyznaniem aż przymknęła oczy. Mężczyzna wyraził dokładnie to, co i ona czasem czuła, kiedy nie było nikogo, komu mogła położyć głowę na kolanach, kto bawiłby się jej włosami i opowiadał o ostatnio przeczytanej książce. Albo razem z nią milczał.

— Wybacz, Marysiu. — Ryszard przerwał ciszę między nimi. — O jedną porcję whisky za dużo i gadam głupoty.

— Nie. Nie przepraszaj i nie głupoty. Zaskoczyłeś mnie.

— Mogłem przyjechać. Dostałbym wolne. Ale stchórzyłem — żalił się dalej Baliński. — Chciałabyś, żebym cię odwiedził?

Kobieta skonstratowała, że najwyraźniej alkohol dodał jej rozmówcy jakiejś specyficznej odwagi podszytej melancholią.

— Oczywiście, że tak. Będzie jeszcze okazja — zapewniła ciepło.

— Są dni, które nabierają sensu dopiero, gdy z tobą porozmawiam — wyznał nagle desperacko.

— Jesteś pewien, że to była tylko jedna szklaneczka ponad miarę? — roześmiała się Maria. Niepewnie, ale i z nadzieją. Bo przecież jego deklaracja sprawiła jej radość.

— No, może dwie...

— Góra trzy? — śmiała się dalej.

— Góra trzy... — potaknął smutno. — To wcale nie jest śmieszne, proszę pani! — dodał już weselszym tonem. — Mężczyzna cierpi, a kobieta ma ubaw. Taka to sprawiedliwość!

— Prawdziwe szczęście, że w komplecie do mojej niegodziwości nie dostałeś kataru. Wtedy z pewnością byłbyś już umierający!

— O proszę, jaka wdzięczność. Zupełnie bezinteresownie ofiarowuję swoje rycerskie ramię, a ona mi tu szydzi — sarknął Baliński.

Rozmawiali potem jeszcze długo. Maria przeniosła laptopa do sypialni i opatulila się pledem, nie przejmując się, że gniecie jeden ze swoich najlepszych ciuchów. Ryszard również wyciągnął się na sofie i gadali albo milczeli, patrząc sobie w oczy, aż oboje usnęli znużeni, a rozładowane baterie bezlitośnie przerwały połączenie.

*

— Jak święta? — Julka nie widziała Janka ponad tydzień, bo zaraz po Bożym Narodzeniu wyjechała z rodzicami na narty i wrócili dopiero wieczorem szóstego stycznia.

Janek mocniej naciągnął czapkę na uszy. Zatrzymali się pod nową pizzerią i komentowali odnowiony lokal i witrynę, w której na cienkich sznureczkach z kokardkami zawieszono zdjęcia dostępnych wypieków. Szczególnie spodobała im się mała pizza opatrzona zachęcającym napisem: „minipizza z rabatem tylko na dużej przerwie”. Janek opowiedział o wczorajszym otwarciu, na którym z okazji Trzech Króli każdy z odwiedzających dostał niewielką pizzę w kształcie korony. Julka zdjęła na chwilę plecak i czegoś w nim zawzięcie szukała.

— Normalnie. — Chłopak wzruszył ramionami. O czym miał opowiadać? Ojciec pił całe trzy dni, ale później o dziwo zwlókł się do pracy. Przez większość dni Janek starał się schodzić mu z drogi. Z domu też niewiele wychodził, bo nie miał ochoty natknąć się na Długiego i jego kumpli. Sprawa podrzuconej marihuany

nie dawała mu spokoju i nie miał wątpliwości, czyja to sprawa. To niewyobrażalne szczęście, że torebeczka wypadła mu z plecaka, kiedy spotkał panią Joannę. Co prawda, sprawa jakby ucichła, ale obawiał się, że wcześniej czy później czeka go na ten temat rozmowa z nauczycielką angielskiego.

— Nie musiałeś mi dawać całkiem nowej książki. Nie szkodzi, że tamta się zniszczyła. Ale ja też mam coś dla ciebie. — Julka zawiązała na szyi chłopaka szalik w szaro-białe paski. — Sama zrobiłam — pochwaliła się.

— O kurczę... Dzięki, Julka. — Jasiak starał się nie zaczerwienić. — Jest fajowy.

— No to super. Chodź, kupimy sobie coś, zgłodniałam od tego patrzenia. Dostałam kieszonkowe od babci — ucięła protesty chłopaka.

Kupili po małym calzone z pełnoziarnistej mąki, z farszem pieczarkowo-serowym i brokułami, czyli właśnie te reklamowane minipizze. A miła właścicielka i tak dała im rabat, bo uznała, że to pierwsze wypieki, jakie dziś wyszły z pieca, i nie jest do końca pewna, czy są dobre. Zapewnili, że są przepyszne i, choć nie mieli ochoty, musieli pospieszyć do gwarne go gmachu szkoły. Za kilka minut miała rozpocząć się pierwsza lekcja.

Janek upchnął szalik do plecaka. Bał się zostawić prezent w szatni, nie chcąc, żeby przypadkiem padł łupem „dowcipnisiów” z bandy Krzyśka. Nieco spóźniony wpadł do klasy tuż przed polonistką i dopiero gdy klapnął na krzesło, zorientował się, kto siedzi tuż za nim. Długi. Aż zeszywniał. Było pewne, że ta lekcja będzie trudna do zniesienia. I rzeczywiście. Długocki nie przepuścił okazji i co jakiś czas kłuł Jaśka w plecy ołówkiem albo cyrkiem, a kiedy chłopak odwracał się do niego, udawał niewiniątka. Kiedy zdesperowany Wiktorski zacisnął zęby i postanowił nie reagować, Krzysztof wymyślił coś innego. Przez kilka minut nic się nie działo. Janek nawet nabrał nadziei, że może jego dręczycielowi skończyły się pomysły, kiedy nagle usłyszał charakterystyczny trzask zapalniczki i poczuł swąd podobny do zapachu palonych włosów. Nie od razu zorientował się, co się stało.

— Chłopcy, co wy robicie, co to ma być?! — Nieco histeryczna reakcja nauczycielki zmobilizowała całą klasę.

Wściekły jak nigdy Janek poderwał się niczym ugodzony nożem, chwycił palący się koniec szalika i energicznym potrząsaniem ugasił płomień. Doskoczył do Długockiego i zaatakował mocnym ciosem zaciśniętej pięści. Zapiękło, kiedy rozciął skórę o jego zęby. Krzysiek zaklął i odepchnął Wiktorskiego. Ten przewrócił krzesło i uderzył biodrem o ławkę. Bił się nieco rozpaczliwie, kopiąc i młócąc rękami na oślep. Nigdy dotąd nie atakował, nie miał też pojęcia, jak bronić się przed razami, ale robił, co mógł, napędzany gniewem.

Krzyk nauczycielki przebił się przez rejwach czyniony przez uczniów, huknęły zbyt gwałtownie otwierane drzwi. Po chwili ktoś odciągnął Długiego

i pomógł Jaškowi wstać.

— Do dyrektora — zdecydował wezwany na pomoc Janecki po pobieżnych oględzinach obu chłopców.

Wydawało się, że oprócz zakrwawionych nosów nic poważniejszego sobie nie zrobili. Wiktorski zabrał swoje rzeczy i powlókł się za wuefistą i Krzyśkiem do gabinetu Niewiadomskiego.

— Co się stało? — Dyrektor odłożył na bok jakieś pisma z urzędowymi pieczętkami.

— Pobili się na lekcji.

— No cóż, Długocki, w twoim przypadku trudno mi się nawet dziwić — westchnął Niewiadomski. — Jasiek, poczekaj z panem Janeckim, a ja najpierw porozmawiam z Krzysztofem...

Pani Zofii dzisiaj nie było w pracy, więc zostali w sekretariacie sami. Wuefista wskazał chłopakowi krzesło i sam usiadł obok. Wiktorski patrzył w ścianę, nie zwracając uwagi na potargane włosy i rozmazaną na policzku krew. Nie zdawał sobie również sprawy, że cały czas ściska w ręku nadpalony szalik.

Janecki zmoczył pod kranem papierowy ręcznik i podał Jankowi, mówiąc, żeby wytarł sobie twarz. Rudzielec bez słowa wykonał polecenie. Szczęka bolała go bardziej od zaciskanych ze zdenerwowania zębów niż ciosów zadanych przez Długiego. Dokuczała tylko zraniona na kostkach dłoń. Miał przykre wrażenie, że znowu się wygłupił, a co gorsza, Długi nie daruje mu zniewagi.

— To o to wam poszło? — usłyszał powtórzone pytanie nauczyciela.

Nie miał ochoty odpowiadać. Zrozumiał, że wuefista zobaczył, co się stało z szalikiem. I pewnie doskonale wiedział, że to prezent od jego córki... Zirytowany chłopak szybko zwinął szalik i schował do plecaka.

— Jasiek, przecież chcę ci pomóc. Krzysiek będzie grał napadniętego, to oczywiste. Ale domyślam się, co się wydarzyło. Nie martw się.

— Proszę pana... Proszę, niech pan nie mówi ojcu. — Janek nerwowo przełknął ślinę. Ostatni raz, kiedy ojczyrna wezwano do szkoły, skończyło się to dla niego solidnym laniem.

— Zrobię, co się da. Ale nie mogę tego obiecać.

— Wiem, dziękuję.

— Powiedz, Krzysiek cię prześladowuje?

— Nie będę kapował. — W głosie Janka zagrały wymuszone twarde nuty, ale hardość wywołana rozpaczą tylko wycisnęła czerwone plamy na jego policzkach.

— Chcę ci pomóc.

— Poradzę sobie.

Janecki nie skomentował, za to westchnął. Siedzieli w milczeniu do momentu, aż poproszono chłopaka do gabinetu. Wuefista wszedł za nim.

— Może od ciebie się czegoś dowiem? — zapytał ostro dyrektor.

Cisza się przedłużała. Długocki tkwił na siedzeniu pod oknem i oglądał swoje paznokcie. Było jasne, że raczej niewiele powiedział.

— W takim razie obaj będziecie mieć obniżone sprawowanie. Wracajcie do klasy. — Zniecierpliwiony Niewiadomski nie zamierzał zbyt długo czekać. — I to nie była nasza ostatnia rozmowa — zastrzegł. — Panie Marcinie, pan zostanie, dobrze?

Krzysiek wstał z ociąganiem, a Janek wykorzystał okazję i wyprysnął na korytarz jak z procy. Przed chwilą dzwonek ogłosił następne zajęcia, więc najszybciej, jak potrafił, pomknął korytarzem. Udało mu się. Długi nie zdołał go dogonić. Tym razem. Chłopak miał już dość ukrywania się i strachu. Usiadł w pierwszej ławce, tuż przy biurku nauczyciela, i — choć skupiał uwagę na słowach historyczki, robiąc szczegółowe notatki — ledwo docierało do niego, co się dzieje na lekcji.

Joanna wytarła nos. Paskudne przeziębienie mocno dało jej się we znaki. Podejrzewała, że wszystko zaczęło się w noc wigilijną, kiedy podczas występu chóru na pasterce solidnie przemarzła, głównie z powodu cienkiej sukienki, jaką założyła. Przechorowała praktycznie cały okres pościelny, a z domu wyszła dopiero w święto Trzech Króli, bo — podobnie jak większość pozostałych mieszkańców miasteczka — bardzo chciała odwiedzić lokal pani Marii. Niestety nie udało jej się z nią wówczas porozmawiać ze względu na panujące zamieszanie.

Dziewczyna połknęła dawkę syropu i porzuciła kuszącą myśl o spacerze. Rozsądek jednak wygrał. Wilgotna pogoda nie sprzyjała zdrowieniu, ilość pracy związanej z końcówką semestru również. Z westchnieniem powróciła do klasówek. Weekend zapowiadał się dość monotennie.

Dzwonek telefonu powitała z radością i nadzieją, że będzie mogła choć na chwilę oderwać się od sprawdzania testów. Odebrała, mimo że nie знаła numeru widocznego na wyświetlaczu.

— Joanna Jarosz, słucham.

— Bartosz Olszak z tej strony. Dzwonię w sprawie naszej rozmowy w szkole... Nie wiem, czy pani mnie pamięta...

— Tak... — potwierdziła słabo.

Niepokój powrócił. Kiedy pies podczas lekcji pokazowej nie znalazł niczego u uczniów — a byli tam obecni nawet najwięksi szkolni chuligani, do tego wyglądali na całkiem zainteresowanych wykładem — Joanna nabrała przekonania, że sprawa jej znaleziska nie była tak poważna, jak początkowo myślała. Wprawdzie nie wiedziała, czy Olszak zgłosił sprawę dyrekcji, ale brak rozmów na ten temat upewnił ją, że na razie nie powinna się przejmować, a przynajmniej poczekać jeszcze na jakieś oficjalne działania ze strony policji. Poza tym wierzyła Jaškowi i zamierzała najpierw porozumieć się z nim, a dopiero później przekazać

sprawę wyżej. Wszystko wydłużyło się w czasie przez chorobę i okres świąteczny, a teraz zaczęła się obawiać, że jednak źle zrobiła, bo zbagatelizowała potencjalnie niebezpieczną sprawę. Mało tego — z nikim nie porozmawiała. Janecki wyjechał, a z pozostałymi nauczycielami nie miała jeszcze aż tak bliskich układów. Do tego poczuła, jak na dźwięk głosu policjanta przyspiesza jej oddech, i sama nie była pewna, czy to z powodu niejasnej obawy, czy podekscytowania, że go słyszy. Uświadomiła sobie, że mimo wszystko czekała na ten telefon.

— Mam w ręku wezwanie dla pani, na przesłuchanie. Tak jak mówiłem, w charakterze świadka — zaznaczył. — Mogę oczywiście wysłać pocztą, ale może ustalimy datę i godzinę telefonicznie?

— Dobrze. A czy w grę wchodzi sobota? Byłoby mi najłatwiej. Tylko czy taki termin byłby możliwy? — Joanna chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

— Jutro? Jak najbardziej. — Dziewczynie zdawało się, że w głosie Bartosza usłyszała radość. Ale uznała, że najprawdopodobniej to tylko złudzenie. — Już mówię, na której komendzie. I proszę nie zapomnieć dokumentów. Czy coś jeszcze mogę wyjaśnić? — dodał zaraz po tym, jak podał adres, a Joanna go zanotowała.

— Czy to nie powinno być przekazane do wydziału tutaj na miejscu? — zadała nurtujące ją pytanie.

— Mogłoby być — przyznał Olszak. — Ale ze względu na specyfikę małych miejscowości na razie zdecydowaliśmy, że rozmawiamy z panią u nas, a potem zdecydujemy, co dalej.

— Aha. To dziękuję bardzo. Stawię się w sobotę o dziesiątej.

— Świetnie, do zobaczenia.

Joanna z ulgą wyłączyła telefon. Znowu dopadł ją atak kaszlu, ale miała nadzieję, że to ostatnie podrygi infekcji. Zdecydowała, że sprawdzanie prac uczniów znuży ją na tyle, iż będzie mogła w miarę spokojnie przespać noc. Zrobiła sobie jeszcze napar z imbiru, który zawsze pomagał jej na przeziębienie.

Nazajutrz, zaopatrzona w dodatkowe paczki chusteczek, ubrana w elegancki, ale ciepły sweter z cieniutkiej wełny, wyruszyła do stolicy. Po katarze i kaszlu nie było śladu i miała nadzieję, że tak pozostanie. O ustalonej godzinie zgłosiła się w recepcji komisariatu w śródmieściu. Czekał na nią Olszak, tym razem bez psa przy nodze, i poznany w szkole aspirant Brzozowski, który — jak Joannę poinformowano — miał przeprowadzić przesłuchanie.

Zaprowadzili ją do ciasnego pomieszczenia biurowego i w trójkę usiedli przy stojącym pod oknem stoliku. Brzozowski wyjął odpowiedni formularz i zapisał datę. Po potwierdzeniu tożsamości oraz pouczeniu o konsekwencjach składania fałszywych zeznań Joanna została poproszona o krótki opis sytuacji.

— Jak to dokładnie się stało, że znalazła pani torebkę z marihuaną w szkole? — zapytał Bartosz. Zajął miejsce po lewej stronie Joanny. Poczowała dyskretny zapach jego wody kolońskiej, z nutami cynamonu i bergamotki. Lubiała

cytrusowe perfumy, sama takich używała. U mężczyzn też jej się takie podobały, zwłaszcza wzbogacone o bardziej wyraziste akcenty.

— Tak jak mówiłam, znalazłam ją na korytarzu — odparła szybko, odganiając myśli od osoby Bartosza i tego, czym pachniał.

— A co było wcześniej?

— Wcześniej wyszłam do ubikacji. Gdy wracałam, coś mnie zainteresowało w tamtej części korytarza, gdzie panów spotkałam. Jak podniosłam tę torebkę, to od razu pomyślałam, że powinnam ją oddać.

— Ma pani podejrzenia skąd narkotyki w szkole?

— Nie mam. Bardzo się zdziwiłam, bo do tej pory nie mieliśmy z tym problemów.

Joanna denerwowała się coraz bardziej. Policjant zadawał pytania bardzo szybko, notując każdą jej wypowiedź.

— Czyli szła pani do łazienki?

— Tak mówiłam — potwierdziła.

Olszak drgnął. Wyglądało to, jakby chciał coś wtrącić, ale opanował się i porzucił ten pomysł.

— Żeby wyrzucić narkotyki?

— Co? — Joannę zatkało i przez kilka sekund nie była w stanie nic odpowiedzieć.

— Czy szła pani do ubikacji, żeby pozbyć się narkotyków? — powtórzył znudzonym głosem policjant.

— Skąd! Nie miałam nigdy żadnej marihuany! Już mówiłam, że znalazłam torebkę na korytarzu, jak byłam w drodze z ubikacji.

— A wiedziała pani wcześniej o lekcji z psem?

— Nie.

— Przecież była zapowiadana?

— Ale co to ma do rzeczy? — Joanna zaciskała palce tak mocno, że paznokcie odciskały półksiężycy na skórze jej dłoni.

— Nikogo więcej nie było na korytarzu? — Brzozowski zignorował jej pytanie.

— Przecież mówiłam, jak było!

— Proszę się nie denerwować, musimy o wszystko zapytać — odezwał się Bartosz łagodnym tonem. — Przypomnę, że przesłuchujemy panią w charakterze świadka.

— To dlaczego mam wrażenie, że te pytania zmierzają w takim kierunku, jakbym zaraz miała być oskarżona o posiadanie narkotyków?

Olszak westchnął nieznacznie i posłał koledze chmurne spojrzenie.

— Pani Jarosz. — Policjant poprawił się na krześle i odchrząknął cicho. — Wprawdzie zgodnie z artykułem sześćdziesiątym drugim ustawy

o przeciwdziałaniu narkomanii samo posiadanie substancji psychoaktywnej podlega karze, jednak istnieją wyroki sądów apelacyjnych określające również kryterium ilościowe, krótko mówiąc, czy daną dawką narkotyku można się odurzyć. W tej pani torebeczce była znikoma ilość marihuany, co z pewnością zostanie wzięte pod uwagę w toku postępowania przygotowawczego. I teraz musimy ustalić, czy była to pani własność, czy znalazła to pani na korytarzu. A skoro to drugie, to skąd narkotyki w szkole. Zakładam, że powinniśmy wówczas wszcząć śledztwo.

Joanna wypuściła wstrzymywane powietrze.

— To nie była moja marihuana. Znalazłam ją na korytarzu — powtórzyła w miarę spokojnie, ale głos jej się lekko załamywał. — Przecież nie oddałabym tej torebki albo nie poszła na zajęcia, gdybym miała coś do ukrycia.

— A dlaczego pani nie wiedziała o lekcji? Zwykle w szkołach to jest jakieś wydarzenie — zauważył Brzozowski.

— Nie było mnie ponad tydzień w pracy, miałam urlop bezpłatny. Mój brat zginął w wypadku za granicą, musiałam zająć się sprowadzeniem ciała i pogrzebem. — Dziewczyzna gniewnym ruchem otarła łzy, które zamigotały w kącikach oczu.

— Wyrazy współczucia — mruknął z kolejnym westchnieniem Olszak.

— Przykro mi. Została nam jeszcze ostatnia kwestia. Czy była pani tam sama?

— Nie. Był jeden z uczniów. Ale to na pewno nie jego. Ten chłopak jest prześladowany przez kolegów. Dużo o tym myślałam, może ktoś mu to podrzucił? Jak do niego podeszłam, to wyciągał swój plecak ze śmietnika. To dobry chłopiec, jest z biednej rodziny. Nie chciałabym, żeby ucierpiał. — Tama łez puściła zupełnie i Joanna ze wstydem otarła twarz podsuniętą przez Bartosza chusteczką.

— Proszę podać nazwisko tego ucznia i w której jest klasie. Czy był potem w sali podczas lekcji pokazowej? — zainteresował się aspirant.

— Tak, był — potwierdziła Joanna. — Jan Wiktorski, trzecia gimnazjum. Ale czy to konieczne?

— Pamiętasz? Rus nic nie znalazł — odpowiedział Olszak na pytające spojrzenie Brzozowskiego.

— Czy potem zauważyła pani jakieś nietypowe zachowanie tego chłopca?

— Pobił się z kolegą na lekcji, ale to raczej jakieś sprawy osobiste były. Chłopiec jest pod opieką GOPS-u ze względu na sytuację w rodzinie. Nie sprawia problemów w szkole.

— Czyli według pani wiedzy w szkole nie było kłopotów z narkotykami?

— Nie, jeżeli już, to słyszałam, że kilku uczniów piło piwo podczas dyskoteki szkolnej. Mieli obniżone zachowanie do nieodpowiedniego. Ale Janka wśród nich nie było. On ma ojczyma alkoholika, a mimo to dobrze się uczy.

— Czy przypomina sobie pani jeszcze coś, co może mieć istotny związek ze sprawą?

Joanna zamyśliła się na moment.

— Nie, chyba już wszystko powiedziałam.

— Chyba?

— Na pewno.

— Dobrze, to w takim razie na dziś skończymy. Na pewno będziemy rozmawiać z dyrektorem szkoły, ale raczej w sprawie przeprowadzenia akcji prewencyjnej. A pani już dziękujemy. I proszę się nie denerwować. Jeżeli chłopak nie ma nic do ukrycia, to nic mu nie grozi. Przeczytam teraz pani protokół i poproszę o podpis pod zeznaniami. To standardowa procedura.

Po długim czytaniu swoich zeznań roztrzęsiona Joanna wyszła na korytarz. Nieco zdezorientowana rozglądała się w poszukiwaniu odpowiedniego kierunku.

— Odprowadzę panią, większość naszych gości się u nas gubi — zaproponował z miłym uśmiechem Bartosz, który wyjrzał z pokoju chwilę po niej.

— Dziękuję.

— Proszę nam wybaczyć te szczegółowe pytania, ale taka praca.

— Rozumiem. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji i bardzo się denerwowałam — wyjaśniła dziewczyna.

— Jasne. Proszę tędy.

Zatrzymali się przed drzwiami wyjściowymi. Dziewczyna podała Olszakowi rękę na pożegnanie, ale on lekko ścisnął jej palce i nie wypuścił ich z dłoni.

— Pamięta pani, że nadal jestem winny kawę i lody? — spytał, przekrzywiając nieco głowę.

— Ojej — wyjąkała Joanna, po raz kolejny w ciągu godziny kompletnie zaskoczona. — O lodach nie było mowy — opanowała się.

— Podbijam stawkę. — Zajrzał jej w oczy. — To w takim razie będę mógł niedługo zadzwonić?

— Oczywiście — odpowiedziała z uśmiechem.

— Zatem do zobaczenia.

Mężczyzna puścił w końcu jej rękę i otworzył drzwi. Nagle odczuła brak jego ciepłego dotyku i zakłopotana schowała dłonie w kieszeniach płaszcza. „Też nie masz czego przeżywać, Jaroszówna” — skarciła się w myślach.

— Jasiu! Poczekaj! — wrzasnęła Julka do oddalających się pleców chłopaka, a kiedy nie posłuchał, rozzłoszczona kopnęła swój plecak leżący na śniegu tak mocno, że poleciał dobre półtora metra na trawnik.

— Hej, hej! Córa! A co ty tak chuliganisz? — Janecki teatralnie podparł się pod boki. Wzrokiem odprowadził widoczną jeszcze w oddali sylwetkę Wiktorskiego. — Co się dzieje? Pokłóciliście się?

— Może — burknęła nastolatka. — Faceci to idioci — poskarżyła się

i poszła podnieść plecak.

— No co ty powiesz? — Mimo kpiarskiego tonu wuefista uważnie obserwował córkę.

Ruszyli w stronę domu. We wtorki kończyli lekcje o tej samej godzinie i Julia zawsze czekała na ojca przed szkołą. Dopiero po kilkunastu minutach, kiedy skręcili już w uliczkę biegnącą do ich bloku, Marcin doczekał się odpowiedzi Julii.

— Nic. — Tym razem do burknięcia dołączyło wzruszenie ramionami. Janecki przystanął.

— Cóрка, pogadasz ze mną, czy będziesz warczeć? — spytał spokojnie.

— Nie chce mi się gadać. A już na pewno nie z tobą. — Julka z impetem wbiła czubek buta w hałdę śniegu leżącą na poboczu.

— No proszę, a czym zasłużyłem na takie wyróżnienie?

Dziewczyna odwróciła się na pięcie i teraz ona stała przed ojcem, z rękami opartymi na biodrach, nieświadomie powtarzając jego niedawny gest.

— Wszystko widziałam, nie udawaj! — syknęła oskarżycielsko.

— Julia? Co widziałaś? Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Janecki chciał złapać ramię córki, ale wywinęła się, nadal oburzona.

— Dobrze wiesz! Wszystko widziałam przez okno! To było obrzydliwe!

— Córa, tak nie będziemy rozmawiać. Powiedz mi od początku, o co chodzi — powiedział stanowczo. Teraz i on był zdenerwowany, co odbiło się w drzeniu głosu. — Proszę — dodał po chwili.

— Widziałam ciebie i panią Joannę, jak się obejmowaliście na ulicy. Przez okno widziałam, bo usłyszałam jakiś hałas i wyjrzałam — wyznała Julia i rozplakała się nagle. Przypadła do ojca i chowała twarz w jego kurtkę, zupełnie jak wtedy Joasia. — I jeszcze Długi krzyczał o zakochanej parze, słyszałam.

— O rany, córeczko. Co ty wymyśliłaś? Joanna była smutna z powodu śmierci brata. Ja ją tylko przytuliłem, żeby pocieszyć, tak jak teraz ciebie.

— A mama wie? — chlipnęła dziewczyna.

— No pewnie. Możesz z nią o tym pogadać. No już. — Poglaskał jej włosy. — Nie płacz. Przecież mamę i ciebie kocham najbardziej na świecie. W porządku?

— Już tak. Przepraszam, tato. Nie wiem, co mi się ubzdu-rało. — Julka wytarła twarz rękawiczką. — Przepraszam.

— Przecież się nie gniewam. Dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy — westchnął.

Zgodnie poszli w stronę domu. Zamyślony Janecki bezwiednie śledził spojrzeniem wirujące wokół nich płatki śniegu, a jego córka łapała śniegowe gwiazdki w rękawiczki i uważnie oglądała. Nic już nie mówili. Nie musieli.

Bartosz rzeczywiście zadzwonił wkrótce po swojej sobotniej zapowiedzi i zaproponował spotkanie już na gruncie prywatnym. Umówili się na kolejny weekend, bo Joanna i tak planowała odwiedzić Ewę. Miały wspólnie uprzątnąć grób Adama, a Joanna chciała też spędzić trochę czasu z siostrzeńcem. Olszakowi

wyznaczyła spotkanie po obiedzie, wczesnym popołudniem. zaproponował, że zabierze ją spod domu siostry, i przyjechał punktualnie. Wsiadł z terenowego auta i szarmancko otworzył przed nią drzwi, zapraszając do środka.

Podjechali do centrum, do pijalni czekolady. Bartosz uznał, że skoro Joanna nie próbowała czekoladowego tortu, to dziś jest najlepsza okazja, żeby nadrobić zaległości. Mimo obaw dziewczyny, że nie będą mieli zbyt dużo wspólnych tematów, konwersacja płynęła swobodnie i miło. Rozmawiali o przygotowaniach Olszaka do maratonu i ogólnie o bieganiu. Opowiadał też bardzo interesująco o swoich treningach z psem i jego szkoleniu. W trakcie spotkania w naturalny i niezobowiązujący sposób zaczęli mówić sobie po imieniu, a wówczas Joanna poczuła się, jakby to było spotkanie z dawno niewidzianym przyjacielem. Była tylko trochę na siebie zła, że tak rozprasza ją uważne spojrzenie mężczyzny spod nisko osadzonych brwi i długich rzęs.

— A skąd jego imię?

— Pochodzi z rosyjskiej hodowli — uśmiechnął się Bartosz. — I tak jakoś mi pasowało. Mogę zmienić temat?

— Jasne. — Joanna zebrała z talerzyka ostatnie okruszki ciasta i czekoladowego kremu. — Pyszny ten tort — dodała, oblizując łyżeczkę.

— Dlaczego w ogóle oddałaś nam tę torebkę? Skoro masz pewność, że nie należała do tego chłopaka, któremu wypadła, to nie lepiej było porozmawiać tylko z dyrektorem szkoły? Mogłaś ją też po prostu spuścić w toalecie. Rus szuka tylko na komendę. Nie sprawdzamy każdego mijanego człowieka, bo pies by zgłupiał.

— Sama nie wiem. Spanikowałam i zupełnie nie wiedziałam, co robić. Stąd ta moja absurdalna zaczepka — wyznała Joanna po zastanowieniu.

— Ale nie rozmawiałaś już z dyrektorem?

— Nie, wedle twoich wskazówek. — Pokręciła głową. Kilkakrotnie zbierała się do wizyty u Niewiadomskiego, ale ciągle to odkładała. — Pewnie teraz się z nim skontaktujecie?

Olszak potaknął.

— Wiesz, podejrzewam, że na tym się skończy. Pewnie zorganizuje jeszcze jedną pogadankę o narkotykach i tyle. Z tego, co mówisz, to rzeczywiście jakieś szkolne cwaniaczki podrzuciły maryskę temu chłopakowi. To była tak zwana sa-mosiejka, pewnie ktoś z miejscowych sobie zbiera w okolicy.

— Ja tam mieszkam od niedawna i mało wiem.

— Rozumiem. Nie masz do mnie pretensji, że przekazałem to dalej?

— Skąd, przecież to twoja praca! — zaprzeczyła dziewczyna.

— Jesteś uczciwa — stwierdził i znowu się uśmiechnął.

— Ty też — odwzajemniła uśmiech. — Ale ja się zastanawiam, czy nie zaszkodziłam Jaśkowi. Wiem, że jest niewinny, ale...

— Nie martw się. Nie zrobimy mu krzywdy. — Bartosz odruchowo chwycił jej dłoń. — Z tego, co mówiłaś, to chłopak potrzebuje pomocy.

Joanna odetchnęła. Poczowała się bezpiecznie i lżej, jakby spadł jej z barków spory ciężar. Dotarło do niej, że wciąż trzymają się za ręce. Zakłopotana schowała dłonie pod stół.

— Chyba muszę już iść, złapać busa — wyjąkała, wbijając spojrzenie w filiżankę z resztką kawy.

— Podrzucę cię na dworzec — natychmiast zaoferował Bartek, chyba równie zakłopotany jak Joasia.

Zanim wstała, sięgnęła po szal, żeby zamotać go wokół szyi. Płaszcz zostawili w szatni, przy której było niewiele miejsca i nie chciała tam robić zamieszania.

— Ładny wzór — zauważył Bartosz.

— Prezent od brata — wyjaśniła, mimo bolesnego wspomnienia wdzięczna za zmianę tematu. — Kupił mi go w Dublinie, bo wiedział, że takie lubię... — urwała nagle, widząc napis na metce. Przez chwilę obracała ją w palcach. — Dziwne, wydawało mi się, że sklep był w Irlandii, a nie w Anglii... — Pokazała napis „Gift from London”, wyszyty na białym skrawku materiału. — Nieważne, pewnie coś mi się pomyliło.

— Tak czy siak ładny i pasuje do ciebie — zapewnił ją Bartosz, wstając.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale jej myśli uparcie krążyły wokół szalika i metki. Przecież była pewna, że Adam kupił go w Dublinie. Zaaferowana nie zdążyła w porę wyminąć kelnerki, która zawadziła o czyjąś torbę stojącą przy krześle. Kobieta krzyknęła, tracąc równowagę. Olszak błyskawicznie się odwrócił i zdołał jeszcze zapobiec upadkowi kobiety, ale imbryk z gorącą wodą, który niosła na tacy, zsunął się i poleciał prosto na Joannę.

Najpierw usłyszała brzęk wirującej na podłodze tacy i hałas tłuczonego szkła, dopiero po chwili — kiedy wrzątek przesiąknął przez sweter i dotarł do skóry — poczuła piekący ból lewej dłoni i przedramienia.

Potem wszystko działo się bardzo szybko. Bartosz, kierowany wskazówkami pechowej kelnerki, zaprowadził Joannę do łazienki. Delikatnie sprawdził, czy wełniany rękaw nie przywarł do skóry, i nakazał jej trzymać rękę pod strumieniem letniej wody. Ktoś z personelu kawiarni przyniósł lód owinięty w ściereczkę, ale Bartek grzecznie odmówił, mówiąc, że taki okład tylko pogorszy krążenie, po czym oznajmił, że ma w domu o wiele skuteczniejszą maść, a potem zabrał z szatni ich płaszcze, troskliwie okrył Joannę i załadował ją do swojego samochodu.

— Bartek, nie musisz się tak trudzić. — Joanna odzyskała głos dopiero po przejechaniu dwóch skrzyżowań. Dzisiejszy dzień obfitował w zaskoczenia.

— Piecze? — dopytał tonem sugerującym, że doskonale zna odpowiedź.

— Uhm. Piecze — syknęła mimowolnie.

— No widzisz. — Pokiwał głową. — Już niedaleko. Mam naprawdę świetną maść na oparzenia, nie martw się, powinno wystarczyć. A jakby co, to zawiozę cię do mojego znajomego lekarza — oznajmił kategorycznie.

Joanna nie odpowiedziała, czując, że nie ma sensu się upierać. Nie jechali długo. Po upływie kwadransa Olszak otwierał drzwi na parterze jednego z domów jednorodzinnych, wyjaśniając przy okazji, że na górze mieszkają jego rodzice, ale on ma oddzielne wejście.

Rus poderwał się na widok swojego pana, ale czekał grzecznie na sygnał, że może się przywitać. Tylko jego czarny ogon co chwilę zamiatał podłogę, świadcząc o podekscytowaniu zwierzęcia. Bartosz wszedł pierwszy, wyraźnie pokazując psu, że Joanna jest jego gościem. Owczarek obwąchał wyciągniętą rękę dziewczyny, a potem dał znać, że ma ochotę na głaskanie, śmiesznie wtulając nos w zagłębienie jej dłoni.

— No to już kupiony, nie z każdym się tak szybko spoufala — skomentował Bartosz. — Zapraszam cię teraz do łazienki, obejrzymy oparzenie.

— Już chyba jest lepiej. — Joanna próbowała być dzielna, ale ból nadal dokuczał.

— Nie marudź, wiem, jak to piecze. Można dostać cholery. — Bez dalszej dyskusji poprowadził ją korytarzem, skąd dostrzegła nowoczesnie urządzone pokój z wyjściem na kuchnię i sprawiającą wrażenie wygodnej, szarą sofą ustawioną pod oknem.

Skóra mimo ochłodzenia w wodzie nadal była gorąca i bolesna. Na szczęście nie pojawiły się pęcherze, a kiedy oparzenie zostało posmarowane zachwalaną przez Olszaka maścią, pieczenie znacznie złagodniało.

— Rzeczywiście, teraz dopiero czuję, co to znaczy lepiej — przyznała Joanna, obserwując, jak mężczyzna sprawnie opatruje oparzone miejsce. Delikatny, ale pewny dotyk jego dłoni sprawiał przyjemność. Ostatnio takiej opieki doświadczyła od Adama. Któregoś popołudnia, jeszcze gdy mieszkali wszyscy w stolicy, podczas krojenia mięsa niefortunnie zacięła się w opuszkę kciuka, a brat jednocześnie usiłował powstrzymać silne krwawienie i nie dopuścić do jej omdlenia. Wspomnienie sprawiło, że w kącikach jej oczu zaczęły gromadzić się łzy i Asia szybko zamrugła, żeby się nie rozkleić.

— Boli? — zatroszczył się Bartek, kończąc opatrywanie.

— Nie. Wszystko dobrze — zapewniła. — Bardzo fachowo to zrobiłeś, dziękuję.

— Nic takiego, przecież muszę umieć udzielić pierwszej pomocy. Mamy regularne kursy, a ostatnio nawet zebrałem zespół i bierzemy udział w zawodach PCK. Dam ci tubkę tej maści, to sobie jutro zmienisz opatrunek. Chyba żeby zaczęło wcześniej piec.

— No co ty, kupię sobie w aptece. I tak ci już kłopotu...

— Asiu, proszę cię. Jakiego kłopotu...

Jakoś tak się stało, że chcąc ją uciszyć, położył palce na jej wargach. Zamilkli oboje, wstrzymali oddechy, niepewni, gdzie ich ten gest zaprowadzi. Bartosz, muskając skórę dziewczyny samymi opuszkami, powiodł wzdłuż kości szczękowej, aż na szyję, do miejsca tuż za uchem. Wsunął dłoń w jej włosy, naciskając na kark, przyciągnął Joannę bliżej. Przymknęła oczy, wsłuchując się w drżenie wypełniające ją wraz z dotykiem ciepłej dłoni mężczyzny.

Zastygła w oczekiwaniu, kiedy poczuła, jak się ku niej pochyła, a potem już spotkały się ich usta. Pocałunek smakował kawą i czekoladą i nie była w stanie określić, czy trwał długo, czy krótko. Pozwoliła, żeby Bartek objął ją ciaśniej, przylgnęła całym ciałem, chowając się w jego ramionach, oddając mu na ten czas władzę.

A on ją przyjął. Wędrował palcami po skórze jej głowy, zaplatał pasma włosów, muskał szyję i płatki uszu, zapędzał się na plecy, żeby wrócić zaraz i zahaczyć o odsłonięte ramię, a wszystko bez pośpiechu, niemal leniwie. Joanna nie miała cienia wątpliwości, że jest bezpieczna, i wcale nie chciała, by ta chwila się skończyła. Usta Bartosza niespiesznie poznawały jej wargi, za każdym razem wywołując nowe drżenie, kiedy naciskał mocniej, kiedy doskonale wyczuwała czającą się pod skórą namiętność.

Przerwał, bo już brakowało im tchu. Joanna otworzyła oczy i napotkała zamglone spojrzenie stalowoszarych oczu Bartosza. I uśmiech. Nieśmiały, ale pełen wewnętrznej radości. W sobie odnalazła to samo. Szczęście. Mężczyzna przygarnął ją jeszcze do siebie, zamknął w kołysce ramion i stali przytuleni, w ciszy, dopóki ich oddechy się nie uspokoiły. Joanna słyszała, jak bije mu serce, z początku mocno, w jeszcze przyspieszonym po pocałunku rytmie, a później wyrównuje w miarowe, kojące tempo.

— Chodź — poprosił Bartek miękko, jeszcze nieco schrypniętym głosem. Odnalazł jej dłoń i zaprowadził do pokoju. Usiadł na sofie, pociągając Joannę, tak że znalazła się na jego kolanach. Ułożyła głowę na ramieniu chłopaka, chowając nos w zagłębienie jego szyi.

Ze wspomnieniem smaku czekolady, który królował jeszcze w ustach, zmieszała się woń jego skóry, powleczone korzenno-cytrusowym zapachem. Joanna potarła nosem obojczyk Bartosza, a kiedy mruknął i mocniej oplótł ją ramionami, delikatnie wysunęła koniuszek języka i wyrysowała zawiły wzór na skórze mężczyzny. Nieśmiało przygryzła płatek jego ucha. Odpowiedział kolejnym pomrukiem, dłonie Bartka wsunęły się pod jej sweterek. Przeciągnął palcami po jej biodrze, muskając kciukiem okolice pępka. Teraz ona westchnęła, poddała się coraz śmielszej pieśszczocie. Zachęcona, podążyła ku jego wargom, szukając kolejnego kontaktu, ale tym razem zareagował o wiele natarczywiej, pocałował z pasją, łakomie.

Sama także była spragniona. Nie odrywając ust od jego warg, nie przerywając tańca języków, wyprostowała się, żeby dać obu jego dłoniom swobodny dostęp do swojego ciała. Natychmiast skorzystał z okazji i wodził opuszkami palców po plecach i brzuchu Joanny, wywołując gęsią skórę. Dziewczyna rozpięła guziki koszuli Bartosza, odsłaniając napięte mięśnie i pokryty miękkimi włoskami tors. Gładziła po nich, z przyjemnością słuchając coraz cięższego oddechu mężczyzny i zmysłowych, gardłowych pomruków.

Bartosz oderwał się od jej ust i patrzył teraz, mrużąc oczy, z lekkim uśmiechem błakającym się po wargach. Pospiesznie ściągnął z siebie koszulę. Joanna mimowolnie westchnęła na widok harmonijnie umięśnionych ramion i twardej niczym rzeźba muskulatury brzucha. Dotąd tak zbudowanych mężczyzn widywała jedynie na fotografiach. Płynnym ruchem pozbyła się swojego swetra. Bartek pokonał haftki stanika i odrzuciwszy go gdzieś na bok, skupił się na jej piersiach. Kciukami obrysował ich kształt, potarł brodawki, powodując, że Joanna nie powstrzymała jęku. Marzyła, żeby zaczął je pieścić językiem, i nie musiała długo czekać. Teraz jej jękom towarzyszyły gardłowe warknięcia, a kiedy z rozkoszy wyginała ciało w łuk, czuła wyraźnie, że nie tylko ona pragnie, by jak najszybciej byli jeszcze bliżej.

— Chodź — wydyszał Bartek, pomagając jej się pozbyć reszty ubrania. Nie była mu dłużna. Plecy i pośladki miał równie napięte jak podbrzusze. Zaborczo nakrył dłonią jej wzgórek, mierzwiąc delikatne włoski, gdy sięgnął głębiej, a za chwilę mocno chwycił dłoń dziewczyny gładzącą pasmo zarostu prowadzące od pępka w dół. Nie chciał już czekać. Położył Joannę na kanapie i jeszcze przez moment opierał się nad nią na rękach, pochłaniając wzrokiem wszystkie miękkie łuki jej ciała z takim napięciem i zachwytem, że dziewczyna poczuła się niczym bogini kusząca zwykłego śmiertelnika.

Niespodziewanie przypadł do niej, wtargnął twardo. Przyjęła go, chętnie ulegając coraz szybszym, zdecydowanym ruchom, jakimi prowadził ich na szczyt rozkoszy. Krzyknęli niemal równocześnie, on gardłowo i nisko, ona zdławionym jękiem, ale zaraz umilkli, odnajdując swoje usta i niecierpliwe przygryzając nabrzmiąte przyjemnością wargi. Stopniowo emocje opadały, ale nadal celebrowali pocałunek, przedłużając przyjemność zespolenia w coraz wolniejszym tempie.

Zasnęli też razem, ciasno objęci, otuleni sobą jak szczęściem.

Joannę obudziły głosy dochodzące z korytarza. Leżała na sofie okryta miękkim pledem. Bartosz z kimś rozmawiał. Salon pogrążony był w półmroku, tylko smuga światła z półotwartych drzwi przecinała dywan.

— Zdrzemnąłem się, mam — tłumaczył się.

— Weszłam, bo ciemno w oknach, myślałam, że później wrócisz, i psa ci chciałam na spacer zabrać. I tak idziemy z ojcem, to go daj. — Kobieta mówiła szybko, z nutkami wesołości wybrzmiewającymi na końcu każdego zdania. Nawet

gdyby Bartek nie zwrócił się do niej „mamo”, to Joanna domyśliłaby się pokrewieństwa właśnie po tym charakterystycznym tonie wypowiedzi.

— No, jak chcesz. W sumie może będę musiał jeszcze na chwilę wyjść, to niech się z wami przejdzie... Rus, spacer! — zawołał.

Usłyszała ciche szczeknięcie psa i delikatny brzęk metalowych elementów obroży. Bała się poruszyć i głębiej odetchnąć, żeby matka Bartka nie odkryła jej obecności.

— Kaganiec mu załóż.

— Wiem przecież.

— Sam jesteś, Bartuś? Czy masz gościa?

— Mamo, proszę cię.

— Tak tylko pytam, synek. Wiesz, co ja sędzę...

— Mamuś, potem pogadamy, Rus się niecierpliwi. — Bartek zdecydowanie położył kres pytaniom matki. Po chwili szczeknęły drzwi wejściowe i pojawił się w drzwiach do pokoju. Joanna usiadła na widok jego sylwetki, przesłaniającej światło z przedpokoju.

— Obudziliśmy cię? — W trzech krokach znalazł się przy niej. Zauważyła, że zdążył włożyć dzinsy i koszulkę, i nagle zawstydzona otuliła się szczelniej kocem, choć przecież jeszcze niedawno widział ją całkiem nagą. — Jak ręka? Boli? — zapytał z troską.

— Skutecznie odwróciłeś moją uwagę — uśmiechnęła się nieśmiało, bo dopiero teraz poczuła lekkie pieczenie skóry. — Która godzina? Długo spałam?

— Dochodzi ósma. Nie idź jeszcze — poprosił Bartek, odgadując jej intencje. Przyniósł się bliżej i otoczył Joannę ramionami. Złożył na jej ustach krótki, pełen pasji pocałunek. — Zostań ze mną.

Joanna poczuła, że on nie mówi tylko o najbliższych godzinach. W tej prośbie było coś więcej. Nie chciała teraz tego nazywać, jakby samo myślenie mogło spłoszyć nadzieję, którą i ona odczuwała. Oparła czoło o ramię Bartosza. Pachniał znajomo, zmysłowym wspomnieniem, bliskością i bezpieczeństwem.

— Jutro muszę być w kościele. Śpiewam tam w chórze.

— To cię odwiozę rano — zadeklarował natychmiast. Wsunął dłonie pod pled, którym była przykryta Joanna, i delikatnie muskał jej skórę. — Nie umiem się teraz z tobą rozstać — dodał schrypniętym z emocji szeptem.

— Dobrze — zgodziła się i nie zważając już na nic, odszukała jego usta.

Maria sprawdziła na liście, czy wszystko ma przygotowane na kolejny dzień. Ciasto na bułeczki wyrastało pod lnianymi ściereczkami, bulion na zupę czekał w lodówce, a składniki na pizzę i kanapki były poukładane na półkach w spiżarni. Przetarła jeszcze raz blaty i umyła mopem podłogę. Kuchnię sprzątnęła już wcześniej. Teraz, gdy minął już ponad miesiąc od otwarcia, wszystko szło jej coraz sprawniej i mimo zmęczenia sprawiało dużo radości. Pomysł z promocją dla uczniów i nauczycieli był strzałem w dziesiątkę, bo dzięki temu wieść o jej lokalu rozeszła się szybko po okolicy. A Marysia nie miała wyrzutów sumienia, że napycha dzieciaki niezdrowym jedzeniem, bo swoje wypieki przygotowywała z pełnoziarnistej mąki i z dużą ilością warzyw.

Z ulgą odłożyła wiadro i mop do schowka, umyła dokładnie ręce i z dumą popatrzyła na wysprzątane pomieszczenie. Mogła już pomyśleć o odpoczynku i przyjemnościach dla siebie. Ostatnio takim małym rytuałem stała się wieczorna pogawędka z Ryszardem na Skypie. Uśmiechnęła się na wspomnienie nowego znajomego. Nie spodziewała się, że kupno pieca do pizzy aż tak wpłynie na jej codzienność, ale była z tych zmian zadowolona. Także z wyboru małego miasteczka na miejsce do mieszkania i na pizzerię. Rozpoznawała już swoich stałych klientów, nie żyła w pędzie, tak jak w stolicy. Żaloba po śmierci męża i córki sprawiła, że miała teraz zupełnie inne priorytety. Nie byłaby już w stanie wrócić do pracy w urzędzie. O wiele lepiej się czuła, będąc swoją własną księgową.

Miała właśnie wrócić do mieszkanca na górze, kiedy ktoś zapukał w szybę. Maria, zdziwiona i nieco zaniepokojona, podeszła bliżej okna, żeby zobaczyć, kto to, a po chwili z uśmiechem otwierała drzwi.

— Przepraszam, że tak panią nachodzę, ale nie chciałam przeszkadzać w pracy, no i miałam ostatnio o wiele więcej zajęć — tłumaczyła Joanna od progu.

— Proszę wejść. Czy coś się stało? — Wzorzysta chusta, którą dziewczyna omotała wokół szyi, natychmiast przywołała wspomnienia. Kiedyś byłyby nieznośne, teraz miała z kim się nimi podzielić i niosły jedynie podszytą smutkiem miłość do córki. Ryszard celnie określił, że Maria na zawsze będzie matką i nic jej tego nie odbierze.

— Nie, nie chcę pani zajmować czasu, chciałam tylko chwilkę porozmawiać. — Dziewczyna była wyraźnie speszona, jakby nagle pożałowała, że tutaj przyszła.

— Ale przecież nie będziemy stać tak w progu — uśmiechnęła się Maria. — Zapraszam do mnie na górę, zrobię herbatę.

Usiadły przy małym stoliku w kuchni. Joanna zauważyła, że ma u siebie identyczne szafki z Ikei. Oczekując, aż woda w czajniku się zagotuje, rozmawiały o urządzaniu wnętrza. Kiedy dwa roztaczające miły aromat kubki stanęły na stole,

rozmowa nagle się urwała. Jak na sygnał.

— To może ja już powiem — zdecydowała dziewczyna po krępującym momencie ciszy. — Proszę, to dla pani w podziękowaniu.

Na stole przed Marią wylądowało opakowanie eleganckich czekoladek.

— O rany, ale za co i dlaczego? Nic nie rozumiem — przyznała, patrząc szeroko otwartymi oczami na swojego gościa. — Przecież nic nie zrobiłam.

— Naprawdę nie musiała pani kupować nowego szala. Dopiero niedawno zauważyłam inną metkę i... i jest mi strasznie głupio. Ja przecież wiedziałam, że to się może zniszczyć, i ten piesek był przecież ważniejszy i... Bo ja tamten szal dostałam od brata. — Joanna zamilkła, wyraźnie zakłopotana. — Bardzo dziękuję — dokończyła po chwili.

Maria bez słowa podniosła się z krzesła i usiadła bliżej dziewczyny. Odniosła wrażenie, że Joanna jest na granicy płaczu, i nie pomyliła się. W kącikach oczu dziewczyny błyskały drobne łzy.

— Możemy sobie mówić po imieniu? — zaproponowała, chcąc ułatwić im obu dalszą rozmowę.

Joanna skinęła głową. Bąkając jakieś przeprosiny, wyciągnęła chusteczkę i szybko wytarła nos. Maria spontanicznie objęła ją i przytuliła. Słyszała o śmierci brata młodej nauczycielki, ludzie chętnie opowiadali różne plotki. Do tego powszechnie było wiadomo, że obie kobiety mieszkały wcześniej w stolicy, co w oczach starszych mieszkańców miasteczka czyniło je kimś w rodzaju krajanek, więc tym bardziej czuli się zobowiązani poruszyć jakiś temat, w ich mniemaniu, bliski Marysi.

— Asiu, bardzo się cieszę, że mogłam ci dać ten szal. Nie jest to ten, który dał ci brat, bo tamten rzeczywiście bardzo się zniszczył. A mój leżał bezużytecznie w szafie.

— Jestem bardzo wdzięczna.

— Ja bym go i tak nie nosiła. Widzisz... Kupiliśmy ten szal z mężem w Londynie. Miał być prezentem urodzinowym dla naszej córki, która bardzo lubiła takie wzory. — Starła się przekazać tę historię w jak najkrótszych słowach. — Nigdy go jej nie dałam. Prawie dwa lata temu, w marcu, oboje zginęli w wypadku samochodowym.

— Przykro mi. — Joanna ponownie siąknęła nosem i ścisnęła rękę Marii.

— Mi też przykro z powodu twojego brata. Więc noś ten szal i niech przywołuje tylko dobre wspomnienia, dobrze? Dzięki temu, że jest u ciebie, mnie także daje tylko te dobre.

— Nie wiem, co powiedzieć. To takie smutne. Bardzo pani... bardzo ci współczuję. Obiecuję, że będę dbała o ten prezent, bo teraz jest podwójnie ważny.

— No to się cieszę — uśmiechnęła się Maria. — A teraz wypij herbatę, a ja otworzę czekoladki. A gdybyś kiedyś miała ochotę pogadać, to zapraszam.

Rozmawiały już swobodniej przy herbacie i słodkościach. Joanna zdradziła Marii szczegóły wypadku Adama, a Maria opowiedziała, jak wpadła na pomysł otwarcia pizzerii. Dopiero sygnał nadchodzącej rozmowy na Skypie przypomniał jej o upływie czasu. Na szczęście Joanna domyśliła się, że to ważna dla Marysi sprawa, i szybko się pożegnała, zapewniając, że na pewno zajdzie jeszcze kiedyś na pogaduchy.

— Ooo, jak ci oczy błyszczą. Coś ważnego się działo? — powitał ją Ryszard, a Maria poczuła, że bardzo chętnie opowie mu o spotkaniu z dziewczyną, która tak bardzo przypominała jej córkę.

— Marcin, zwolnij — poprosiła Joanna. — Po przerwie trochę trudno wrócić.

Wybrali się razem na trening, korzystając z cieplejszej aury, żeby odetchnąć po intensywnych ostatnio dniach w szkole.

— Okej. Rzeczywiście, sporo nie biegałaś — przyznał wuefista. — A i reszta nam się wykruszyła. Trzeba będzie z wiosną na nowo ich zmobilizować — zauważył.

— Uhm. — Dziewczyna powoli wyrównywała oddech. Rzeczywiście, zaniedbała ostatnio bieganie. Duży udział miały w tym spotkania z pewnym policjantem, na których nie mieli zbyt wiele czasu i na razie woleli spędzać je w inny sposób.

— Wszystko u ciebie dobrze?

— Raczej tak. Jakoś leci. — Joanna nie miała ochoty na zwierzenia. O Bartku nie powiedziała nawet siostrze. Pragnęła mieć go na razie tylko dla siebie, tak mocno, iż czasem, kiedy nie było go obok niej, miała wrażenie, że był jedynie snem. — Ale czeka mnie rozmowa z dyrektorem — postanowiła poruszyć ważny dla niej temat, a sprawa z przesłuchaniem jednak jej ciążyła.

Bartosz wspominał, że Brzozowski miał na dniach odwiedzić szkołę. Może nawet ta wizyta już się odbyła. Wprawdzie zapewniał, że nie ma powodów do obaw, ale Joanna mimo wszystko biła się z myślami. Przede wszystkim nie umiała się zdecydować, czy powinna wcześniej sama porozmawiać z Niewiadomskim, czy też poczekać na wizytę policji.

— A to czemu? Nie zamierzasz chyba rezygnować z pracy? — zaniepokoił się Janecki.

— Nie. Pamiętasz tę lekcję z psem policyjnym? — zapytała, a kiedy potaknął, krótko opowiedziała o sytuacji na korytarzu i swojej wizycie na komendzie.

Marcin słuchał, nie przerywając, ale widać było, że cała historia nie jest mu obojętna, bo w miarę jej rozwoju mimowolnie zwiększał tempo biegu i Joanna znowu przestała za nim nadążyć. Dopiero po kilkudziesięciu metrach zwolnił i poczekał, aż dziewczyna zrówna z nim swój krok.

— Przepraszam — mruknął.

— Złóścisz się — stwierdziła zasmucona.

— Czemu w ogóle dałaś im tę torebeczkę? Przecież z tego będzie większa chryja, niż to warte! — warknął. — Mogłaś spuścić ją w toalecie, a nie od razu... Ech — machnął ręką i znowu przyspieszył.

Dziewczyna nawet nie próbowała go gonić, tylko biegła dalej swoim tempem. Żałowała, że w ogóle zaczęła ten temat, bo nie do końca rozumiała ostrą reakcję kolegi. Może podejrzewał Janka? A może chodziło o coś zupełnie innego? Nie liczyła, że Marcin będzie na nią czekał przy kościele, gdzie zwyczajowo kończyli bieg, ale był tam. Stał przy ławeczce i rozciągał mięśnie. Wydawał się już spokojniejszy.

— Już mi przeszło, wybacz — oznajmił, kiedy zatrzymała się obok.

— Myślisz, że to była marihuana Jaśka? — spytała cicho.

— Oczywiście, że nie! — obruszył się. — Pewnie mu to podrzucili. Ojciec jednego z chłopaków jest mundurowym, mógł wiedzieć o lekcji z psem. Złoszczę się, że sprawa trafiła aż na policję, gdy mogłaś załatwić to sama.

— Spanikowałam — wyznała Joanna. Była zmęczona po nierównym i zbyt dla niej ciężkim treningu i bliska płaczu. — Mówili, że i tak pewnie to umorzą.

— A jak nie? To Jaškowi nie pomoże. Chcesz, żeby trafił do bidula?

Dziewczyna stała z opuszczoną głową, całkowicie zgnębiona. Dotąd wierzyła w zapewnienia Bartosza, ale teraz Janecki zasiał w niej ziarno wątpliwości. Po chwili jednak wyprostowała się i spojrzała prosto w oczy Marcina.

— Przecież nie zrobiłam nic złego. I będę ze wszystkich sił chronić Jaśka — szepnęła.

— Mówiłem ci już, że lepiej, jak jego problemy załatwiamy w naszym gronie. W ten sposób ma lepszą opiekę. — Janecki był nieugięty.

— Wiem, ale nadal mnie to męczy. A co, jeśli się mylicie? Co, jeśli coś złego się stanie? Jesteś pewien, że Długocki dopiero w tym roku zaczął go gnębić? — zapytała głośno. Za głośno.

— Jestem, gadałem o tym z Julką. Wcześniej mu aż tak nie dokuczali. A Krzysiek, przypominam, ma kuratora. Jurek na pewno trzyma rękę na pulsie. — Marcin nie stracił panowania nad sobą.

Joanna milczała. Ponownie dopadły ją wątpliwości. Może to ona powinna zgłosić sytuację Jaśka policji? Jego ojczym, kiedy nikt go nie zajmował sprawami pasierba, podobno zostawiał chłopaka w spokoju, a na przemoc w domu dowodów nie miała. Tylko czy można było temu wierzyć? Albo te prześladowania. Przecież te sprawy to także jej odpowiedzialność — szkoły i wszystkich nauczycieli. Ostatnią myślą podzieliła się z Marcinem.

— Aśka, zagalopowałem się, przepraszam. Zwierzyłaś mi się, a ja ci jeszcze dokładam — zreflektował się Janecki. — Jak chcesz, to pójdę z tobą do Jurka

pogadać. Opowiemy mu, co i jak z tą policją. Może lepiej nie w szkole? Co myślisz?

— Nie wiem. Mam mętlik w głowie — westchnęła. — Miałam nie rozmawiać z nikim przed przesłuchaniem, a teraz prawdopodobnie już sami się z nim skontaktowali.

— Dobra, lećmy teraz do domu, bo znowu przemarznieš i będziesz chora. Ja się skontaktuję z dyrektorem i się umówimy, pewnie dziś po południu, dobrze? Mimo wszystko lepiej to omówić. Trzeba też w końcu ukrócić tę sprawę z Długockim — zdecydował wuefista. — W porządku?

— Tak. — Dziewczyna pokiwała głową. — To wracamy?

Ruszyli bez słów w stronę bloków. Joanna była w stanie myśleć tylko o gorącym prysznicu i telefonie do Bartosza.

Janek się bał. Długi zapowiedział, że się policzą, ale przez kilkanaście ciągnących się niemiłosiernie dni nie działo się nic. Oczywiście chłopak starał się unikać swojego prześladowcy, drogę do szkoły i do domu pokonywał niemalże biegiem, a na przerwach kręcił się zawsze w pobliżu dyżurującego nauczyciela. Ale Krzysiek pozornie nie zwracał na niego uwagi. Żadnego zabierania zeszytów, żeby odpisać pracę domową, czy podbierania książek. Żadnego chowania plecaka albo butów. Nawet na lekcjach przestał rzucać papierkami w kierunku jego ławki. Chwilami Janek wolałby mieć to już za sobą, cokolwiek by to było. Jak w tych dniach, kiedy ojczym wracał pijany i w nastroju do bicia. Wtedy wcześniej czy później czepiał się jakiegoś wymyślanego przewinienia, co kończyło się laniem. Po jakimś czasie Janek nauczył się schodzić mu z oczu, a kiedy było to niemożliwe ze względu na późną porę, podpadał czymkolwiek, żeby stary się wyżył, a on nie musiał czekać w nieznośnym napięciu.

Do ferii został niecały tydzień. Janek łudził się, że Długocki gdzieś wyjedzie, więc chociaż przez jakiś czas będzie mógł odetchnąć. Tymczasem zaczynał się kolejny dzień i musiał wyjść do szkoły. To chłopak miał już opracowane. Wystarczyło mu siedem minut, żeby dobiec do szkoły tuż przed dzwonkiem na lekcje. Ubrał się szybko, spakował do plecaka wczorajszą bułkę i już miał wychodzić, kiedy nieznośny skurcz żołądka zgiął go wpół. Zdarzało się już wcześniej, że odczuwał ból brzucha, kiedy się denerwował, ale tym razem był on na tyle silny, że Janek wycofał się do łazienki w obawie, iż zwymiotuje. Kręciło mu się w głowie i poczuł, jak oblewa go zimny pot. „Może to ten rotawirus o którym mówiły kiedyś nauczycielki?” — pomyślał. „Chyba nie mogę iść do szkoły”. Kolejny skurcz wstrząsnął jego ciałem, ale i tym razem na tym się skończyło. „Muszę zostać w domu” — uznał. Napięcie trochę zelżało. Jeszcze tylko musiał załatwić sprawę z ojcem.

Począł dłuższą chwilę, nadal odczuwał ból, ale już nie chciało mu się wymiotować. Obmył twarz wodą i wyszedł z łazienki. W drzwiach natknął się na

ojczyma, który w poniedziałki zazwyczaj nie chodził do pracy, tylko trzeźwiał po weekendowym pijaństwie. Wiktorski odepchnął chłopca i sam wszedł do toalety. Dopiero gdy pojawił się w kuchni, gdzie czekał Jasek, odezwał się do niego.

— Czego tu? Do szkoły — warknął.

— Brzuch mnie boli. Bardzo. Muszę zostać w domu. Napiszesz mi, ojciec, zwolnienie? — poprosił chłopak, nieznacznie się kuląc, na wypadek gdyby miał dostać po głowie.

— Głupoty gadasz. Spieprzaj do szkoły, leniu! — huknął na niego ojczym i tak jak Janek przewidział, wymierzył cios. Jeden. A potem drugi i trzeci. Dotkliwe razy trafiły kolejno w ucho, skroń i bark chłopaka.

— Naprawdę mnie boli! Proszę, ojciec, proszę! — Janek zasłaniał się rękami. — Przestań, proszę... — wyszlochał. Ku swojemu niezadowoleniu rozpląkał się jak małe dziecko, co tylko bardziej rozsierdziło Wiktorskiego.

— Nie mazgaj się, do kurwy! Wypierdalaj do szkoły, ale już! — wrzasnął i bolesnym chwytem za ramię wywlókł syna do przedpokoju, a potem bezceremonialnie wypchnął za drzwi tak gwałtownie, że gdyby chłopak w porę nie złapał się poręczą, spadłby ze schodów. Za nim poleciał plecak i kurtka. — I niech tylko się dowiem, że nie było cię na lekcjach, tak ci złoję skórę, że przez tydzień na dupie nie siądziesz! — usłyszał jeszcze groźbę, zanim Wiktorski trzasnął drzwiami.

Janek zacisnął zęby i otarł łzy z twarzy. Zarzucił plecak i najszybciej, jak mógł, zszedł na dół. Żołądek bolał go nadal i tym razem, choć chciał, nie zdołał powstrzymać wymiotów. Na szczęście zdążył wyjść z klatki schodowej i schylić się za krzakami, nieopodal wejścia do bloku. Po wszystkim rozejrzał się, czy nikt go nie widział, i zakopał butem wymiociny w śniegu. Było mu coraz zimniej, nie pomogło naciągnięcie kaptura i schowanie rąk w kieszeniach. W plecaku miał szalik od Julki, ale nie miał już siły go wyciągać. Nie widząc innego wyjścia, powlókł się do szkoły.

Najwyraźniej tego dnia nie miał szczęścia. Długockiego, stojącego z kolegami przy sklepie pana Karola, dostrzegł z daleka, niestety nie na tyle szybko, żeby samemu pozostać niezauważonym. Nie miał sił, by puścić się biegiem, a zmiana drogi do szkoły na okrężną nic mu już nie dawała. Tymczasem tamci, przerzucając się jakimiś żarcikami, ruszyli w jego stronę. Janek uświadomił sobie, że boi się coraz bardziej. Na myśl o powrocie do domu aż się skurczył. Perspektywa spotkania z bandą Długiego nasiliła tylko ból brzucha. Zatrzymał się i otarł pot z czoła. To go zdziwiło, przecież nadal było mu bardzo zimno, aż się trząsał. „Pewnie mam gorączkę” — stwierdził w myślach.

Jego prześladowcy byli coraz bliżej. Chłopak wciąż stał w miejscu, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Czuł, jak paraliżuje go strach, i nienawidził siebie za to. Chciał zrobić cokolwiek. Choćby podnieść głowę i hardo spojrzeć Krzyškowi w oczy. Ale nie potrafił. Wbiął spojrzenie w swoje zaciśnięte pięści,

ale nie był w stanie nic zrobić. „Niech to się wreszcie skończy” — zaklinał bezgłośnie.

Słyszał wyraźnie ich śmiechy, liczył każde skrzypnięcie śniegu pod butami. I bał się coraz bardziej. Byli tuż-tuż. Jeszcze trzy kroki. Jeszcze dwa. Widział już nogawki ich spodni. Zagryzł zęby tak mocno, że zgrzytnęły. W głowie mu huczało. Zamknął oczy. Skoro nie mógł nic zrobić, wołał nie widzieć, skąd padnie pierwszy cios.

Minęli go. Przeszli i nic się nie stało. Poczł jedynie lekkie uderzenie w ramię. Zachwiał się, bo choć było to załedwie nieszkodliwe popchnięcie, to jego napięte mięśnie nie reagowały prawidłowo.

— Tchórz!

— Beksa!

— Debil!

— Ruda świnią!

Tylko syknięcia, nie okrzyki, choć wwiercały mu się w uszy jak wrzask. Nic mu nie zrobili. Słyszał już tylko śmiechy pełne szyderstwa i pogardy. Poszli. Został sam. Sam?

— Cześć, Jasiek! Dopiero teraz do szkoły? Co tak stoisz? — dobiegł go wesoły głos Julki.

W poniedziałki jej klasa miała na drugą lekcję. Wiedział, że go uratowała. I wiedział też, że jego czekanie na wyrok i działanie Długiego właśnie zaczęło się od nowa. Ostrożnie otworzył oczy. Dziewczyna zatrzymała się przy nim i spoglądała z troską.

— Hej — zdołał wydobyć nikły skrzek ze ściśniętego gardła.

— Janek, co ci jest? Chory jesteś? — Dotknęła dłonią jego czoła. — Masz temperaturę — stwierdziła.

— Każdy ma — odburknął cicho. Sam nie wiedział, dlaczego jest dla niej taki opryskliwy. I tak bardzo się wstydził, że wszystko widziała.

— Musisz iść do pielęgniarki szkolnej. — Julia zignorowała niemą odpowiedź. — Nie przejmuj się nimi — dodała, wzruszając ramionami, i wskazała na widoczną w oddali grupkę. — To głupki.

Janek bez słowa ruszył w kierunku szkoły. Rozpadało się topniejącym w powietrzu śniegiem i drobna mżawka metodycznie pokrywała wilgocią wszystkie powierzchnie. Chłopak nie był już pewien, czy ma mokrą twarz od deszczu, czy od łez.

Na miejscu powitało ich małe szaleństwo. Nastrój wszystkich, łącznie z nauczycielami, daleki był od skupienia. Zaaferowani uczniowie biegali po korytarzach, większość z jakimś czerwonym elementem na ubraniu. Wszędzie królowały pękate serca z papieru i baloniki w takim kształcie, a do kompletu działała poczta walentynkowa. Pochłonięty swoimi problemami Janek zupełnie

zapomniał, że dziś walentynki. I znowu się zezłościł, bo przecież od początku lutego miał przygotowany prezent dla Julki.

Tymczasem dziewczyna zatrzymała się na chwilę i zanim pobiegła do swojej klasy, wepchnęła mu coś w rękę. Nim sprawdził, co to takiego, czujnie się rozejrzał, czy przypadkiem Długi z kolegami nie wrócili do szkoły. Spojrzał i na moment zniknął nawet uciążliwy ból żołądka. W dłoni trzymał puchate wełniane serduszko z przyczepionym kółeczkiem do kluczy.

— Proszę bardzo, dwa serduszka z papryką. — Maria podała ostatniemu klientowi zamówienie w czerwonej torebce i z niejaką ulgą poszła za nim do drzwi, żeby zamknąć lokal. To był męczący, ale satysfakcjonujący dzień. Miała naprawdę dużo gości, zarówno tych, którzy jedli na miejscu, jak i tych kupujących na wynos, i przygotowana specjalnie na dzień zakochanych promocja przyniosła zauważalny dochód, co Marię bardzo cieszyło, zwłaszcza że zaplanowała cały walentynkowy tydzień.

Już chciała przekręcić zamek w drzwiach, kiedy nagle ktoś je gwałtownie otworzył, a tuż przed nosem Marii pojawił się okazały bukiet róż. Pachniały oszałamiająco, a na ich ciemnoczerwonych płatkach osiadły kropelki wody, tworząc dodatkową, piękną dekorację. Kobieta podniosła wzrok, żeby poznać tajemniczego ofiarodawcę. I napotkała ciepłe spojrzenie zielonych oczu.

— Rys? — wyszeptała zaskoczona.

— No ja — roześmiał się. — Udała mi się niespodzianka?

Zanim zdążyła sformułować jakąkolwiek odpowiedź, znalazła się w silnych ramionach Ryszarda. Mężczyzna, nie zważając, że gniecie przyniesione kwiaty, pochylił się i złożył na ustach Marii pocałunek. Najpierw nieśmiało musnął tylko jej wargi, a potem zachęcony przychylną odpowiedzią posmakował nieco mocniej, powoli badając, na ile może sobie pozwolić. Maria nie zamierzała go powstrzymywać. Kolejne fale namiętności rozchodziły się po ich ciałach jak kręgi na wodzie i ciągle było im mało. Kiedyś jednak musieli przerwać, pozwolić płucom zaczerpnąć oddechu. Zimny powiew od niedomkniętych drzwi przywrócił ich do rzeczywistości. Ryszard spojrzał na zmaltretowany bukiet i parsknął śmiechem. Marysia mu zawtórowała.

— Zamknę i pójdziemy do mnie, pewnie jesteś zmęczony. — Położyła róże na parapecie i na powrót zaczęła się krzątać. — Będę musiała jeszcze uprzątnąć — uprzedziła swojego gościa, zaciągając rolety. — A ty może chciałbyś coś zjeść?

— Ciebie. — Ryszard znalazł się za nią i otoczył jej talię ramionami. — Jechałem dwanaście godzin i cholernie się bałem, że mnie wyrzucisz — wyznał.

— Pewnie dlatego zacząłeś od całowania? Głupol! — stuknęła lekko palcem w nos mężczyzny.

— Postawiłem na jedną ze swoich najlepszych umiejętności — mruknął, muskając nosem jej szyję. — Dałem radę?

— Hmm. Chyba potrzebny mi będzie dodatkowy pokaz... — droczyła się Maria.

— Z rozkoszą. Służę.

Lekko dotknął wargami jej szyi, żeby za chwilę niezbyt mocno, ale zdecydowanie zacisnąć zęby na skórze jej karku, powodując, że zadrżała. To było jak wyładowanie elektryczne. Przez chwilę Ryszard zajmował się jedynie tym fragmentem ciała Marii, wzbudzając wprawnym językiem coraz to nowe dreszcze, spływające gęsią skórką wzdłuż jej ramion, zaplatające obiecujące węzły w dole brzucha. Czują wyraźnie, że nie tylko na nią działa taka pieśczość, bo Rysiek coraz mocniej napierał lędźwiami. Zamknęła oczy i delectowała się chwilą. Szorstki policzek mężczyzny nieco drapał jej skórę, dokładając nowe doznania, którym coraz chętniej się poddawała.

— I jak? Zdałem? — Usłyszała pytanie, ale mężczyzna nie przestawał wodzić ciepłymi ustami od jej obojczyka do ucha, drażniąc wrażliwą na każdy dotyk delikatną skórę, więc tylko zamruczała w odpowiedzi. Marzyła, żeby z równym zaangażowaniem zajął się drugą stroną szyi, ale on odwrócił ją przodem do siebie i przytulił. — To się bardzo cieszę.

— Ej, czemu przerwałeś? — zaprotestowała cicho.

— Bo wspominałaś coś o jedzeniu — zaśmiał się Ryszard. Ale jego dłonie zjechały z pleców na pośladki Marii, dając jej do zrozumienia, co tak naprawdę mu w głowie.

— Dobra, dobra, akurat jedzenie masz teraz na myśli! — Puściła do niego oko.

— Prędzej prysznic — przyznał. — Ale herbata nie zaszkodzi. Choć lepiej kawa.

— Uhm, a ten prysznic to zimny? — spytała, prowadząc go po schodach do swojego mieszkania nad lokalem.

— I tak by nie pomógł, więc po co mam się katować? — Przystanął w korytarzu i przyciągnął ją do siebie. Jego żarliwe usta ponownie wzbudziły w Marii zapowiedź ognia, który tylko czekał, by ich pochłonąć.

— Tu jest łazienka — wskazała. — Ręczniki znajdziesz w szafce.

Jednak Ryszard nie słuchał. Całkowicie skupił się na odpinaniu guziczków sukienki Marysi.

— Co robisz? To ty masz się rozbierać do mycia, nie ja — zachichotała, kiedy musnęła kciukiem wybijającą spod tkaniny brodawkę jej piersi.

— Nadrabiam zaległości — wymruczał. — Od sylwestra żałuję, że nie rozebrałem cię z tamtej sukienki. Chodź ze mną, umyję ci plecy — zaoferował. Uległa.

Takiego zakończenia walentynkowego dnia Maria zupełnie nie przewidywała. A może to był dopiero początek szaleństwa, jakie ich ogarnęło?

Wspólny prysznic, a potem niesamowita noc, podczas której Maria nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to nie jest ich pierwszy raz, że już wcześniej musieli się spotkać, bo poruszali się w idealnie dopasowanym rytmie, płynnie przekazując sobie prowadzenie. Ryszard potrafił być delikatny, gdy tego potrzebowała, i po męsku zaborczy i stanowczy w tych chwilach, gdy pragnęła go najmocniej. Z pewnością mało spali. Dopiero nad ranem znużenie wygrało i zagarnęło najpierw jego, a potem i ją.

Kiedy się obudziła, wiedziała jedno: wczoraj nie uprzątnęła lokalu ani nie przygotowała produktów na kolejny dzień. I było całkiem możliwe, że nie zdąży wyrobić się ze wszystkim przed pierwszym klientem.

— Szlag — zaklęła pod nosem, z żalem opuszczając wygodne miejsce u boku rozgrzanego snem partnera. Jego skóra, tak jak i jej, jeszcze pachniała ich miłością. Ryszard spał na boku, z jedną ręką pod policzkiem. Jasne włosy leżały splątane na poduszce, znacznie dłuższe niż podczas ich pierwszego spotkania. Wyglądał na rozluźnionego, choć cienie pod oczami świadczyły o zmęczeniu, jakie dopadało go w ostatnim okresie. Maria pogłaskała delikatnie jego silne ramię — nic dziwnego, że wczoraj bez trudu zaniósł ją do łóżka — i przyłożyła swoją dłoń do nosa, pozwalając sobie na moment rozkosznego wspomnienia.

Jak najciszej wyszła z sypialni, żeby dać swojemu mężczyźnie możliwość odpoczynku. „Mój mężczyzna” — powtórzyła w myślach, na nowo smakując te słowa. Nie przypuszczała, że jeszcze kiedykolwiek tak kogoś nazwie. Że będzie umiała pozwolić sobie na bliskość i zatracenie w kimś do końca. Może jeszcze zbyt wcześnie, żeby mówić o kompletnym zaufaniu, ale poczuła, że chciałaby spróbować. Z uśmiechem błakającym się po wargach wzięła szybki prysznic i zawiązując w biegu fartuszek, zbiegła na dół, żeby zająć się sprzątnięciem, ciastem na bułeczki i pizzę oraz pomstowaniem, że nie może się natychmiast sklonować.

Nie minął kwadrans, a wraz z aromatem świeżo zaparzonej kawy dołączył do niej Rysiek.

— Cześć, moja piękna — powitał Marysię, obdarzając jej usta delikatnym pocałunkiem. Smakował miętą i leciutko kawą. Widać zdążył upić łyk, zanim zniósł kubki po schodach. — Zaraz ci pomogę, ale najpierw napor bogów. Zrobiłem taką, jak lubisz, z cukrem, bez mleka.

— Zapamiętałeś! — rozczuliła się Maria. — Ale myślałam, że sobie pośpisz.

— Bez ciebie? Co to za sen? Tu się bardziej przydam. — Podał jej ulubiony kubek. „To też pamięta” — uśmiechnęła się w duchu kobieta i z przyjemnością spróbowała kawy.

— Pyszna — zapewniła.

— Mam tytuł baristy — pochwalił się Ryszard.

— Nie wspominałeś!

— Muszę cię zaskakiwać, żebyś mnie zbyt szybko nie rzuciła — roześmiał

się. — Nie wiem, czy bym to przetrwał.

Pili kawę, siedząc przy jednym ze stolików, patrząc sobie w oczy i planując kolejne czynności, więc gdy zabrali się do właściwej pracy, działali jak zgrany zespół. Ryszard, podśpiewując półgłosem, zagniatał ciasto na pizzę, Maria formowała bułeczki. Pozwoliła sobie na chwilę zawieszenia w czystej radości, bez myślenia, kiedy będzie koniec. Wczuła się w tu i teraz.

Pierwszy tego dnia klient pojawił się bardzo punktualnie. Marysia poznała rudego chłopca. Pomagał jej czasem odśnieżyć chodnik przed lokalem, a ona oferowała mu w zamian wypieki. Tym razem jednak Jasiek wyciągnął z kieszeni kilka monet i zapytał o cenę walentynkowych słodkich bułeczek w kształcie serca.

— Na pierwszy zakup tego dnia pięćdziesiąt procent rabatu. — Maria szybko oceniła zasoby finansowe chłopaka.

— To poproszę jedną — wyraźnie ucieszył się Jasiek.

Podala mu jeszcze ciepłą bułeczkę w papierowej torbie i odprowadziła wzrokiem, gdy wychodził. Wydawał się bardziej niż zazwyczaj blady i jakby skulony w sobie. „Biedny dzieciak” — pomyślała. „Coś go ewidentnie gryzie”. Mimowolnie westchnęła. Zanim wróciła do pracy, zerknęła jeszcze na Ryszarda. Stał zamyślony, wpatrzony w drzwi, obracał w dłoni porcję ciasta. Po chwili skierował wzrok na Marię, jakby poczuł na sobie jej spojrzenie.

— W porządku? — spytała, podchodząc.

— Uhm. Ten chłopaczek kogoś mi przypomniał. Kiedyś ci opowiem — zapewnił. — Wiesz, że muszę dziś wyjechać?

— Ojej, tak szybko? Prawie nie spałeś — zmartwiła się Marysia. — Jak ty dojedziesz?

— W Warszawie zabieram kuzyna, jedzie pod Amsterdam, będziemy się zmieniać za kółkiem. Nie obawiaj się. Poza tym było warto. — Przyciągnął ją i pocałował w ucho. Pewnie nie skończyłoby się na tym, ale w lokalu pojawili się kolejni klienci.

Ryszard niechętnie odsunął Marię od siebie i nagle drgnął, bezwiednie zaciskając palce na jej ramionach. Jak porażony doskoczył do drzwi i nie dbając o narzucenie kurtki, wybiegł na zewnątrz.

Janek schował swoją zdobycz do kieszeni kurtki. Rankiem myśli zaprzętały mu walentynkowe zakupy, może dlatego żołądek nie bolał tak bardzo jak poprzedniego dnia. Poza tym Długi wczoraj nie pojawił się w szkole, istniała więc szansa, że dziś on i jego kumple też odpuszczą sobie lekcje. Z nadzieją skierował się w stronę gimnazjum. Niestety, po chwili wywinął orła w mokrej brei pokrywającej chodniki. Śmiech Długockiego stanowił wystarczający dowód na to, że się nie poślizgnął. Musieli zacząć się na niego za płotem. Nie chcąc pokazać po sobie strachu, wstał powoli i nie patrząc na swoich prześladowców, pochylił się lekko, żeby dokładnie otrzepać spodnie.

— Co tam schowałeś? — Krzysiek pociągnął połę kurtki Janka. Po chwili torebka była w jego rękach. — No nie mogę, walentynkę kupił! Pewnie była w promocji. A wiesz, idioto, że już po walentynkach? — śmiał się Długi.

— Oddawaj to! — Janek szarpnął za torebkę, pechowo odrywając kawałek. Sięgnął raz jeszcze.

Długocki odepchnął go mocno, aż chłopak stracił równowagę i musiał zakręcić młynka ramionami, żeby nie upaść ponownie. Nie odrywał wzroku od papierowego opakowania. Jak w zwolnionym tempie widział, że Krzysiek bierze zamach i chce cisnąć bułeczkę daleko w śnieg. Poczucie klęski wróciło razem ze strachem i bólem żołądka. Janek nienawidził siebie za to, że nie umie nic zrobić, i Długiego, że traktuje go jak zabawkę. Pakunek już prawie wyfrunął z dłoni Krzysztofa, ale ktoś, kto niespodziewanie nadbiegł, chwycił go za rękę, którą zaraz fachowo wykręcił, unieruchamiając Długockiego. Wszyscy ucichli. Nieznajomy oddał opakowanie Jankowi.

— Dziękuję panu. — Tyle chłopak zdołał wydusić z zaciśniętego gardła.

— Proszę. — Blondyn uśmiechnął się lekko w odpowiedzi. Jasiek skojarzył, że widział go w pizzerii.

„Może mnie nie dogonią” — przyszło mu na myśl i nie czekając dłużej, pomknął do szkoły. Ale strach wcale nie mijał. Bo przecież Długi nie daruje mu takiego upokorzenia przed kolegami. Postanowił jak najszybciej odnaleźć Julkę. Na szczęście zauważył dziewczynę w szatni. Stała w kółeczku koleżanek, które zawzięcie nad czymś dyskutowały. Zastanawiał się przez chwilę, czy podejść, ale Julia sama go dostrzegła.

— Cześć, Jasiek. Wpadniesz do mnie dziś po południu? Mam *Igrzyska śmierci* na DVD, może obejrzymy razem? — spytała prędko, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

— Noo... jasne — zająknął się chłopak. — Bardzo chętnie. Pomyślałem, że chciałabyś coś przegryźć na drugie śniadanie. — Zza pleców wyciągnął trochę sfatygowaną torbę ze swoją niespodzianką. Wcześniej zdążył tam schować włas-noręcznie uplecioną bransoletkę z kolorowych rzemyków, zawiniętą w folię. Słodkie serduszko miało być tylko dodatkiem. Nieporadnie wygladził czerwony papier. — Proszę. I dziękuję za... za breloczek — dodał.

A potem nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu uciekł na piętro. W samą porę, bo właśnie zabrzmiał dzwonek na pierwszą lekcję.

Zajęcia minęły nawet spokojnie. Wszyscy jeszcze czuli walentynkowe rozluźnienie, a Długocki nie pojawił się w szkole. Wprawdzie na matematyce była niezapowiedziana kartkówka, ale Jankowi poszło całkiem dobrze. Z każdą godziną bardziej się uspokajał, aż w końcu minął nawet jego ból brzucha. Pozostała tylko droga do domu.

Jakiś czas ociągał się z wyjściem ze szkoły. Julka poszła już do domu.

Odwiedził więc bibliotekę, gdzie spędził trochę czasu, przeglądając nowości. Dopiero gdy po ostatnim dzwonku opustoszały korytarze i szatnie, Jasiek zdecydował, że musi wyjść. Przemknął więc do wyjścia przy sali gimnastycznej. Liczył, że Krzyškowi znudzi się czekanie, jeżeli w ogóle gdzieś tam się czaił. Postanowił dotrzeć do domu inną, nieco okrężną drogą — przy cmentarzu zamiast obok sklepu Sołtysika. Szedł jak najszybciej, podbiegając co kilkanaście metrów, i z całych sił powstrzymywał się od panicznego rozglądania się na boki.

Minął nieco zmurszały mur i miał właśnie skręcać w jedną z mniejszych uliczek, żeby dotrzeć na swoje osiedle, kiedy go dopadli. Tupot kilku par ciężkich butów na chodniku sprawił, że sparaliżowany strachem zamarł, zastygł w pół kroku. Odruchowo zamknął oczy i wtedy poczuł, jak ktoś łapie i wykręca mu ręce. Związali je jakimś szorstkim sznurkiem, na tyle cienkim, że boleśnie wrzynał się Jaškowi w nadgarstki. Ktoś inny zarzucił mu na głowę lekko wilgotną tkaninę. Gdzieś go ciągnęli. Przez moment szedł jak bezwolna kukła, później w desperackiej próbie przeciwstawienia się napastnikom gwałtownie stanął. Próbował się uwolnić, ale bezskutecznie. Dostał silnego kuksańca pod żebro, a za chwilę podcięto mu nogi i runął bezwładnie na ziemię. Wtedy spadł na niego pierwszy cios wymierzony ciężkim butem. Zdążył tylko skulić się i zasłonić twarz dłońmi. W ustach czuł krew. Znowu się bał. Po jednym kopniaku posypały się następne. W plecy, pośladki, brzuch — bezładnie i zewsząd. Słyszał śmiechy i wyzwiska, ale głosy szybko zacierały się w jego głowie. Pozostał ból. Początkowo udało mu się zacisnąć mocno zęby, aż zgrzytnęły, i nie krzyczeć, ale później się poddał. Płakał i jęczał z bezsilnej złości i strachu, najpierw głośno, później stracił siły. Ciemność oplątywała go jak miękka wata. Odpływał. Ostatnim odczuciem było wolno rozlewające się ciepło w kroku i palący wstyd, który wybuchł czerwienią pod powiekami, i Janek stracił przytomność na dobre.

— Może zostaniesz dziś u mnie? — Joanna zadała to pytanie pozornie od niechcienia, ale w rzeczywistości w napięciu czekała na odpowiedź. Bartosz wyjął kluczyki ze stacyjki i przygarnął dziewczynę do siebie. Mogli się zobaczyć dopiero dziś, bo w walentynkowe popołudnie i wieczór Olszak miał zaplanowane szkolenie, z którego nie mógł się wycofać. Dlatego Joanna pojechała do niego zaraz po pracy. Byli na obiedzie w eleganckiej restauracji, a później na romantycznym, choć krótkim spacerze i jeszcze nie miała ochoty rozstawać się ze swoim chłopakiem.

— Chciałbym, ale w nocy muszę pojechać do Modlina. Obiecałem ojcu, że go odbiorę z lotniska. On bardzo się denerwuje, jak musi jechać taksówką. Bez sensu, żebym przeszkadzał ci spać. No i przecież mamy ze sobą psa — wyjaśnił.

— Rozumiem... — Nie udało jej się ukryć zawodu.

Bartek przytulił ją mocniej.

— Hej, bez smucenia. Jutro przyjadę, mogę?

— I zostaniesz?

— Zostanę — wymruczał, muskając ustami jej policzek. Szybko zatonęli w długim, odbierającym dech pocałunku i dopiero skomlenie psa sprawiło, że powrócili do rzeczywistości.

— On chyba chce wyjść? — Joanna uwielbiała Rusa, zresztą z wzajemnością.

— To może wyskoczysz jeszcze ze mną na krótki spacer? Czy jesteś już zbyt zmęczona?

— Chodźmy — zgodziła się od razu.

Nie spieszyli się, bo wieczór jak na luty był całkiem ciepły i pogodny. Joanna przytuliła się do Bartosza, a on opiekuńczo otoczył jej plecy ramieniem. Leniwie wymieniali uwagi na temat jej niedawnej rozmowy z dyrektorem o narkotykach, i o tym, że Brzozowski, zgodnie z zapowiedziami, odwiedził szkołę. Dziewczyna wspomniała też o sytuacji rudego Janka.

— Ponoć po naszej, to znaczy Marcina i mojej interwencji z tym Długockim przeprowadzono rozmowę w obecności kuratora. Na szczęście Niewiadomski nie robił mi pod górę i nie podejrzewał, że ściemniam z tą marihuaną. No i mam nadzieję, że sprawa ucichnie i przestaną chłopaka dręczyć. Co prawda, od dwóch dni nie ma całej tej bandy w szkole, ale tak naprawdę to oni zawsze wagarują na potęgę — tłumaczyła.

— Brzoza mówił, że jest już wniosek o umorzenie. Nie ma co rozdmuchiwać tutaj afery. Nie zmarzłaś? — zmienił temat.

— No co ty, ciepłutko mi przy tobie.

— Uhm...

Nagle Rus, który dotąd szedł karnie przy nodze swojego pana, zatrzymał się gwałtownie i cicho zaszczekał, wężąc i strzygąc uszami.

— Co jest? — Bartosz też przystanął i przyjrzał się psu.

Owczarek nasłuchiwał przez moment, a potem ponownie szczeknął i nawet pobiegł kilka kroków, wyraźnie kierując się w stronę muru cmentarza.

— Coś wyczuł?

— Chyba tak. Wolę to sprawdzić. Poczekasz tutaj?

Joanna skinęła głową.

Olszak wydał psu komendę i ruszył za nim. Sprawnie pokonali niewysokie ogrodzenie i zniknęli dziewczynie z oczu. Niepewnie podeszła bliżej. Bartosz zadzwonił na jej komórkę i poprosił, żeby szybko do niego dołączyła.

— Asia, tu jest jakiś nieprzytomny, ranny dzieciak. Dzwonię po pomoc.

Pobiegła, poganiana złym przecuciem. Nawet nie pamiętała, jak przedostała się przez mur i w kilku skokach dopadła do Bartka, pochylonego nad leżącą na ziemi sylwetką. W świetle zapalanej przez policjanta latarki mignęły rude włosy. Już wiedziała, że się nie pomyliła.

— Boże, to Janek! Co mu jest? — Wyciągnęła ręce, chcąc w jakikolwiek sposób pomóc, ale Bartosz ją powstrzymał.

— Poświęć mi. — Podał jej latarkę. — Dzwoniłem już po karetkę. Zobaczę, ile możemy zrobić do ich przyjazdu. Jest strasznie wychłodzony.

Wszystko toczyło się jak w koszmarnym śnie. Olszak zaklął, gdy odkrył związane ręce chłopaka. Rozciął sznurek i sprawnie zajął się reanimacją. Gdzieś w oddali usłyszeli sygnał karetki. Po chwili ratownicy byli na miejscu. Krótka wymiana zdań, pobieżne badanie i odzyskujący już przytomność Jasiek został położony na noszach i zniknął we wnętrzu pojazdu.

— Pobili go — rozkleiła się Joanna, kiedy tylko karetka odjechała. W jednej chwili wszystkie obrażenia na ciele Jaśka stanęły jej przed oczami. „Jak długo on tu leżał?” — zamartwiała się w myślach.

— Spokojnie, zajmą się nim w szpitalu. Musimy powiadomić jego rodzinę. Znasz adres? — Bartek przytulił ją krótko, ale pytanie zadał stanowczym, opanowanym głosem. To pomogło Joannie ochłonąć.

Pokręciła głową.

— On mieszka z ojczymem, mówiłam ci. Ale nie wiem gdzie. Na pewno w blokach. Zapytam.

— Kurtkę załóż — przytomnie zauważył Bartosz i pomógł jej naciągnąć trochę ubłocone okrycie. Sam też otrzepał i narzucił swoją. Okryli nimi Jaśka, żeby się nie wychładzał, kiedy już wróciła mu przytomność w trakcie krótkiego oczekiwania na karetkę.

Dziewczyna szybko wybrała numer Marcina, który dotarł do nich w ciągu pięciu minut, równocześnie z powiadomioną przez Olszaka policją. Zrobiło się zamieszanie, ale dość szybko je opanowano, głównie dzięki stanowczości Bartosza, który pokazał kolegom swoją legitymację, przez co zyskał niezbędny posłuch. Ustalono, że Janecki pójdzie z Joanną do domu Wiktorskiego. Olszak miał zostać na miejscu i pomóc policjantom, którzy mieli nadzieję, że pies będzie w stanie podjąć jakiś trop.

Sprawnie wbiegli po schodach, ale przed samymi drzwiami Marcin trochę się zawahał.

— Może nie być łatwo — uprzedził Joannę. — On bywa wybuchowy.

Jednak nikt nie zareagował ani na pukanie, ani na dzwonek. Widać Wiktorskiego nie było w mieszkaniu albo — jak półgłosem skomentował Janecki — „zachlał i nie słyszy”. Joanna posmutniała.

— Nie możemy Janka zostawić teraz samego.

— Nie możemy — potwierdził Marcin. — Proponuję jeszcze z godzinę poczekać.

— Trzeba pojechać do szpitala.

— I zawiadomić dyrektora. — Janecki się zamyślił. — Może ty pojedziesz

i dowiesz się, co z Jankiem. A ja tu powiadomię, kogo trzeba, i najwyżej przywożę Wiktorskiego — westchnął.

Powoli wracali w okolice cmentarza, gdzie Rus znalazł chłopaka, a Joanna pokrótce opowiedziała Marcinowi, co zdarzyło się przed jej telefonem.

— Gdyby nie to, że pies go wyczuł, mógłby tak leżeć całą noc. Myślisz, że to sprawka Długockiego? — wyartykułowała swoje wątpliwości.

— Tak. Obawiam się, że dywanik u dyrektora tylko pogorszył sytuację. Niewiadomski nie ma ręki do takich spraw. Pokpiliśmy. Że też mnie nic nie zaalarmowało. Jula umówiła się dziś z Jaśkiem na oglądanie filmu i trochę przeżywała, że nie przyszedł, a ja to zbagatelizowałem. Gdybym tylko...

— Ale Marcin, co mógłbyś wtedy zrobić? Pokpiliśmy sprawę o wiele wcześniej.

— Nie wiem. W głowie mi się to nie mieści.

Przy cmentarzu policjanci zabezpieczali ślady. Bartosz czekał na chodniku z psem siedzącym przy nodze.

— I jak? — Przygarnął Joannę do siebie.

— Nie ma jego ojczyma. Pojadę do szpitala, do Janka.

— Mogę cię zawieźć i potem odwieźć tutaj, ale w międzyczasie będę musiał odstawić Rusa do domu.

— Daj spokój, nad ranem masz jechać po ojca, nie możesz się całą noc kręcić — przypomniała mu Joanna. — Jakoś wrócę.

— Ja tam dojadę z Wiktorskim. A nawet jak go nie zastanę, to i tak dołączę do Joasi — wtrącił się Marcin, przy okazji przedstawiając się Bartoszowi. Wymienili krótki -uścisk dłoni. — Udało się coś ustalić? — dopytał.

— Nie zostawili wielu śladów. Rus nie ma jak podjąć tropu. Ten sznurek nie wystarczy, bo nie zdążył przejąć żadnego konkretnego zapachu. Żałuję. Ale na pewno zeznania tego chłopca dużo wyjaśnią — uspokoił ich Olszak.

Porozmawiał jeszcze przez moment z pozostałymi policjantami i mogli jechać. W drodze niewiele mówili. Joanna nerwowo ścisnęła telefon, sprawdzając co jakiś czas ekran. Nie chciała przegapić żadnego sygnału od Janeckiego. Do tego przed oczami ciągle pojawiały jej się natrętne obrazy. Fioletowe zasinienia na twarzy Jaśka, rozmazana na brodzie i szyi krew z nosa. Olszak zapewnił, że to nie z ust, że takie krwotoki są obfite, ale zazwyczaj niegroźne. Dopiero delikatny uścisk dłoni Bartka na jej udzie trochę ją uspokoił.

— Jest pod opieką lekarzy — przypomniał.

— Wiem, ale tak mi go szkoda. To dobry chłopak, a my nie umieliśmy mu pomóc. — Dziewczyna otarła mokre od łez policzki. — Dobrze, że tam byłeś — dodała.

— Przecież dzięki tobie — powiedział, gdy podjeżdżali już pod szpital.

Olszak zaparkował niedaleko wejścia. Ponownie zamknął Joannę

w ramionach, opiekuńczo pogładził po włosach. Wtuliła nos w jego szyję, w tak znajomy już zapach, i pozwoliła sobie na chwilę odprężenia, żeby zachować zimną krew w szpitalu. Najchętniej stałaby tak o wiele dłużej, ale przecież nie mieli czasu. Z westchnieniem oderwała się od Bartosza.

— Pójdę z tobą, żeby nie było kłopotów z informacjami — zaproponował, gładząc jej policzek.

— Dziękuję. A Rus?

— Poczeka przy samochodzie.

Rzeczywiście, dzięki policyjnej legitymacji Olszaka poszło o wiele sprawniej. Janek był jeszcze badany i opatrywany, ale otrzymali wiadomość, że w pełni odzyskał przytomność. Joanna, zaopatrzona w kubek kawy z automatu, który zapobiegliwie przyniósł Bartek, zajęła miejsce na jednym z krzeseł pod salą, gdzie mogła poczekać na lekarza. Miała nadzieję, że pozwolą jej się zobaczyć z Jankiem.

— Tylko zadzwoń, jakbyś jednak nie miała jak wrócić. Coś zorganizuję — poprosił ją jeszcze Bartosz, zanim poszedł.

Pozostało tylko czekać. Kawa była zbyt gorąca i lekko kwaśna, światło jarzeniówek za ostre. Tęskniła za dającą poczucie bezpieczeństwa obecnością mężczyzny i równocześnie martwiła się o pobitego, rudowłosego chłopca. Odstawiła plastikowy kubeczek na krzesło obok. Wyczerpana emocjami przymknęła oczy i oparła głowę o ścianę.

Turnus rehabilitacyjny w Rabce-Zdroju trwał w najlepsze. Janek szybko przywykł do trochę kolonijnego rytmu dnia i obowiązkowych rozrywek, jakie fundowali im opiekunowie. Dobrze mu tutaj było. Jadł regularne posiłki i chodził do szkoły. Może nie nawiązał żadnych przyjaźni, ale nikt się z niego nie naśmiewał, nie rozrzucał mu książek ani nie zabierał rzeczy osobistych. Do dyspozycji dzieci była sala komputerowa i mógł pisać maile do Julki. Kilka razy rozmawiał też przez telefon z panią Joanną, która bardzo się przejmowała jego samopoczuciem.

Obrażenia, jakie odniósł, prawie się zagoiły. Lekarze mówili, że jest szczęściarzem, bo uderzenia nie wywołały krwotoku wewnętrznego. Miał „jedynie” pęknięte dwa żebra i obite nerki. To czasem pobolewało, choć siniaki nie były widoczne na zewnątrz. Jeszcze w szpitalu przepytawali go policjanci, z miłą panią psycholog. Ale Janek się zaparł i postanowił, że nie powie, kto go pobił. Powtarzał, że nie pamięta i nie chce o tym rozmawiać. Po jakimś czasie dali mu spokój i miał nadzieję, że na dobre. Może był tchórzem, ale nie kapusiem.

Został mu już tylko tydzień pobytu. Chwilami żałował, że nie może tutaj zostać na zawsze. Powrót do domu oznaczał strach przed kolejnymi wyzwiskami ze strony Długockiego i nieciekawą codzienność z ojczymem.

W sobotę miał więcej wolnego czasu. Najchętniej spędzał go w bibliotece, dziś także. Czytał jedną z książek, którą poleciła mu Julia, ale wydawała mu się zbyt dziewczynska. Właśnie zamierzał poszukać sobie innej lektury, kiedy pani Kasia, wychowawczyni grupy Janka, wywołała go na -korytarz.

— Jaśku, masz gościa — poinformowała, poprawiając okrągłe okulary. — Ojciec przyjechał.

— Ojczym? — Janek aż zamrugał ze zdziwienia. Musiał mieć naprawdę głupią minę, bo nauczycielka pogłaskała go po policzku.

— Nie martw się. To dobrze, że przyjechał — zapewniła łagodnie. — Chodź.

Rzeczywiście, Dariusz Wiktorski czekał w świetlicy. Usadowiony w fotelu pod oknem przeglądał jakieś czasopismo. Ku zdumieniu Janka był porządnie ogolony i miał na sobie wyprasowaną koszulę. Na widok chłopaka wstał i poczekał, aż Jasiek podejdzie. Pani Kasia zamknęła drzwi i zostali w sali sami.

— Cześć, synek. — Ojczym wyciągnął rękę, którą chłopak niepewnie uściskał. — Usiądź. — Klepnął poręcz sąsiedniego fotela. — Nie spodziewałeś się mnie, co?

Oszołomiony chłopak pokręcił głową i zajął miejsce obok.

— Przepraszam, żem ciebie w szpitalu nie odwiedził — kontynuował Wiktorski, pogłębiając tylko zmieszanie Janka, który dawno nie usłyszał od niego

nic miłego. A przeprosiny chyba po raz pierwszy w życiu.

— Nie szkodzi — wyjąkał po chwili trudnej do zniesienia ciszy. Bał się spojrzeć na ojczyrna, jakby w obawie, że to wszystko okaże się tylko głupim żartem.

— Pytałem tej twojej koleżanki, Julki, co ci przywieźć. I powiedziała, że książkę. Nawet poradziła jaką. — Mężczyzna wyciągnął zza pleców reklamówkę z Empiku. — Na dworcu mi się udało kupić, w takiej księgarni. Nawet nie wiedziałem, że na dworcu są takie sklepy. Proszę, dla ciebie. — Podał Jankowi pakunek.

— Dziękuję. Chętnie przeczytam. — Chłopak nerwowo zagryzł usta. Gorączkowo zastanawiał się, co powinien teraz powiedzieć, bo ojczym wyraźnie na coś czekał, w podobnym napięciu i niepewności. — Fajnie, że przyjechałeś — znalazł wreszcie odpowiednie słowa.

Wiktorski nieco się odprężył i nawet uśmiechnął.

— Dziwisz się, co? I masz prawo. Nie byłem dobry dla ciebie. Ale będę się teraz starał. Jak cię, synek, pobili, to mnie nawet nie było. Żem z kumplami chlał. Za to mnie taka młoda pani psycholog strasznie opier... opitoliła — chrząknął. — Wjechała mi na ambicję, o twojej matce mówiła. Bidulem mnie straszyla, że ciebie zabiorą. Przez tyle lat nikt się nie czepiał, a ona przyszła i tak prosto z mostu mi powiedziała. Że nie dbam o ciebie wcale. I że piję. I wiesz, ona miała rację. I ja się jej spytałem, co robić. Powiedziała, że jest taka terapia, co to do końca życia musi być.

Przerwał na moment i westchnął ciężko. Janek zerknął na niego niepewnie, w obawie, że nic więcej nie powie. A jakoś chciał usłyszeć, co dalej, może dlatego, że wydawało się to równie nierealne i chwilowe jak cały pobyt tutaj. Potrzebował więcej bajki, czegoś dobrego, co da wytchnienie i odpoczynek. Bezwiednie zacisnął kciuki w intencji, żeby ojczym dokończył opowieść.

— I ja poszedłem na to, synek. Byłem w szpitalu na takim odtruciu, a potem mi wszyli esperal, żebym nie pił. I ta pani psycholog, co tam była, powiedziała, że wszystko ci muszę opowiedzieć. No to przyjechałem.

— Cieszę się — wydusił z siebie Janek.

— Nie musisz mówić. Nie na siłę. To też mi powiedziała. Że ja nie mogę oczekiwać, że będziesz chciał od razu ze mną rozmawiać. Że mam czekać. No i ja przyjechałem, powiedzieć ci, że będę czekał na ciebie. W domu wysprzątam i będziesz miał spokój, żeby lekcje robić. Nic się już nie martw, synek. — Ciężka ręka Wiktorskiego spadła na ramię Janka, który najpierw odruchowo się skulił, przyzwyczajony do razów, a potem odprężył, bo zrozumiał, że tym razem to był jedynie uścisk. Niedowierzanie, że coś się zmienia, załaskotało go pod powiekami i ścisnęło gardło nadzieją. Milczeli, ale już nie tak skrępowani jak wcześniej.

— Dobrze, synek, bo mi pociąg ucieknie. Muszę iść. A ty tu zdrowiej

i niczym się nie przejmuj. A w domu jeszcze będziemy rozmawiać, tak jak ta pani psycholog mi mówiła. Tak? Już za tydzień wracasz, tak?

— Dobrze — potaknął Janek odruchowo, nauczony zgadzać się ze wszystkim, co powiedział ojczym. Ale zaraz poczuł, że tym razem on też tego chce.

— To idę. — Wiktorski ścisnął jeszcze jego ramię i ciężko ruszył w stronę wyjścia. Chłopak został na swoim miejscu w fotelu. Obracał w dłoniach otrzymany prezent. Kiedy ostatni raz dostał coś od ojczyma? Chyba jeszcze jak żyła przyszywana babcia. Trudno mu było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ale przecież książka była jak najbardziej namacalnym dowodem.

— Ojciec? — zawołał w ostatniej chwili, kiedy mężczyzna już prawie zamykał drzwi. — To super, że nie pijesz! — zapewnił, unosząc w górę wyprostowany kciuk.

— Tak, synek, super. — Wiktorski uśmiechnął się do niego w odpowiedzi. Janek nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział jego szczery uśmiech. Twarz ojczyma złagodniała, bruzdy w kącikach oczu nie nadawały mu już złowrogiego wyglądu. Przypominał teraz mężczyznę, którego Janek pamiętał z fotografii ślubnych matki. Kiedy żyła jeszcze matka Wiktorskiego, często oglądał z nią te zdjęcia, pełne ludzi o przepelnionych miłością spojrzeniach. „Żebyś nie zapomniał o mamusi” — powtarzała mu „babka”. Po jej pogrzebie ojczym zabrał Jaškowi album, ale on nie zapomniał łagodnych i uśmiechniętych twarzy ze zdjęć. I dziś jedną z nich niespodziewanie odzyskał dla siebie.

Chłopak podszedł do okna i obserwował, jak ojciec swoim znużonym krokiem przemierza drogę do furtki. Patrzył za nim jeszcze długo, nawet gdy jego sylwetka już zniknęła za wzniesieniem. Książkę, niemego świadka, że sobie wszystkiego nie wymyślił, przyciskał do piersi.

— Biedny dzieciak — przyznała bratowa Marii. Siedziały w kawiarni na Starówce i raczyły się czerwonym winem i tortem Sachera. Andrzej uznał, że taki co prawda spóźniony o dobre dwa tygodnie, ale przecież miły prezent na Dzień Kobiet będzie najodpowiedniejszy, i miał rację. Obie ucieszyły się bardzo, jak po obdarowaniu ich pięknymi bukietami tulipanów. Zostawił obie przy zarezerwowanym wcześniej stoliku, żeby mogły spokojnie poplotkować, jak to określił. Maria, po tym jak już wysłuchała sprawozdania na temat przebiegu ciąży synowej Hanny i narzekań, że „młodzi” zupełnie nie chcą ich odwiedzać, opowiedziała o pobiciu Janka Wiktorskiego, wydarzeniu, którym emocjonowało się całe miasteczko.

— No, paskudna historia. Zaprzyjaźniłam się tam z taką młodą, fajną dziewczyną, co jakiś czas mnie odwiedza. To właśnie ona znalazła tego Jaška. A konkretnie pies jej faceta. I ona mówi, że chłopak w ogóle nie chce powiedzieć, kto go pobił. Z kolei ci, których wszyscy podejrzewają, oczywiście się nie

przyznają — referowała Maria.

— Okropne. I nic nie można zrobić? A co na to jego rodzice? Znaczący ten ojczym? — Hanna zgarnęła na łyżeczkę ostatni kawałek ciasta.

— Póki co nic. Janek jest jeszcze na turnusie rehabilitacyjnym, gdzieś w górach, dyrekcja szkoły to jakoś załatwiła. Właściwie to teraz będzie wracał. A tamtych obserwują. No i tyle. W głowie mi się nie mieści. Chłopak miał i w domu ciężko, i z rówieśnikami, a szkoła nie umiała nic zrobić — westchnęła ze smutkiem.

Zamyśliła się, zawieszając spojrzenie na przechodniach snujących się ulicą. Było słoneczne i spokojne popołudnie. Nagle jej wzrok przykuła znajoma sylwetka. Nie miała wątpliwości, że to Ryszard, ze względu na jego charakterystyczną jasną czuprynę. Nie spodziewała się, że jest w Polsce, rozmawiali zaledwie wczoraj przed południem i nic nie wspominał. Ale to na pewno był on, nie mogła się pomylić. To ją zasmuciło. I zaraz pojawiła się myśl, że przecież nic sobie nie obiecywali. Była ona tak gorzka jak kawa, którą lubił pić rano. Ryszard wyszedł z lokalu po drugiej stronie ulicy i wszedł do taksówki. Wolą nie wyobrażać sobie, po co przyjechał i dlaczego zrobił z tego tajemnicę. Tak było łatwiej. Wzburzona gwałtownie odstawiała filiżankę z resztką herbaty na stolik. Kropelka ciemnego płynu zabrudziła brzeg naczynia.

— Marysiu?

— Przepraszam, na chwilę odpłynęłam. Co mówiłaś? — Maria zorientowała się, że Hanna pytała o coś już dwa razy.

— Pytałam, czy wpadniecie do nas.

— Nie, dziękuję. — Wymusiła uśmiech. — Chcę jeszcze pojechać na cmentarz. A potem muszę przygotować pizzerię na kolejny dzień. Przecież dziś wyjątkowo zamknęłam wcześniej.

— No cóż, szkoda. Teraz rzadziej się widzimy. Zadzwoń do Andrzeja, żeby po mnie przyjechał... — Hanna strzepnęła niewidoczny pyłek z kłapy garsonki. Zawsze tak robiła, kiedy była zakłopotana, tym razem jednak jej szwagierka zdawała się niczego nie dostrzegać. Lekko zaciśniętych ust bratowej również.

— Zadzwoń — przytaknęła nadal przygaszona Maria.

„A może zbyt dużo sobie wyobrażam? Może to nic takiego” — próbowała się pocieszać, trochę na siebie zła, że tak ją ta sytuacja dotknęła. „Ale dlaczego nic nie powiedział, że przyjeżdża?” — przyszła od razu kontra. Westchnęła. Jakoś nie miała ochoty zwierzać się bratowej, choć rozsądek podpowiadał, że przyniosłoby to jej ulgę. Może opowie jej wszystko, gdy sytuacja się wyjaśni, albo wręcz przeciwnie — gdy wszystko się posypie. Nie była pewna, który scenariusz by teraz wolała.

Z ulgą wsiadła do swojego samochodu i odjechała w kierunku cmentarza.

Zanurzyła się we wspomnieniach jak w obmywającej rany chłodnej wodzie. Siedziała na ławeczce i zapatrzona w czarne litery wyryte na płycie przeżywała na nowo te dni, kiedy Wojtek obdarowywał ją kwiatami. Lubił przynieść bukiet dzień wcześniej — dla niej i dla córki, z komentarzem, że on będzie pierwszy. Któregoś dnia samodzielnie upłócił im korony z posrebrzanych drucików, ogłaszając je swoimi królowkami. Dziś te obrazy wywoływały uśmiech, a nie łzy. Maria wiedziała, że w jakiś sposób pomógł jej w tym Ryszard, mimo to kiedy zadzwonił telefon i zobaczyła jego numer, nie odebrała.

Zrobiła to dopiero w samochodzie. Ryszard nie odpuścił. Wysłał wiadomość, a po jakimś czasie dzwonił ponownie. Po krótkim namyśle zamiast symbolu czerwonej słuchawki nacisnęła zieloną. „Jeśli skłamię, natychmiast się rozłączam” — zastrzegła sobie.

— O, cieszę się, że jesteś — powitał ją ciepło. — Co porabiasz, moja piękna?

— Byłam w Warszawie, teraz wracam do siebie — odpowiedziała mu sucho. I smutno.

— Ja też jestem w stolicy. Czy coś się dzieje? — Mężczyzna od razu wyczuł jej nastrój. — Jesteś na mnie zła?

— Jestem. Bo nie powiedziałaś, że będziesz. Widziałam cię na Starówce — wyrzuciła z siebie Maria. „I tyle zostało z moich planów dystansu i obojętności” — pomyślała zgryźliwie.

— Hm. O walentynkach też nie mówiłem, a nie byłaś zła — przypomniał jej Baliński.

— Wtedy też rozbijałeś się taksówkami, zanim do mnie przyjechałeś? — rzuciła kąśliwie Maria. Było jej nagle wszystko jedno. Przecież ma prawo się złościć, a on niech z tym robi, co chce. Dlaczego nie miałyby się zbuntować?

— Nie, wtedy przyjechałem prosto do ciebie — zapewnił poważnie, ale dało się słyszeć rozbawienie przesypujące się jak piasek pomiędzy głoskami. — A teraz zabrałem się okazjnie z kolegą i nie mam swojego auta.

— Czy ty się ze mnie śmiejesz? — Marię też cała sytuacja zaczynała bawić. Siedziała naburmuszona w samochodzie zaparkowanym pod cmentarzem i zamiast jechać do domu, klóciła się przez telefon. To zupełnie nie w jej stylu.

— Czy ty jesteś troszeczkę zazdrosna? — odbił piłeczkę.

— Odrobinę.

— Tylko odrobinę?

— Nie wyobrażaj sobie za dużo, paskudo.

— To mogę przyjechać? Wszystko ci opowiem — obiecał. — Stęskniłem się — zamruczał jeszcze i Maria nie potrafiła dłużej się opierać.

— Uhm. Możesz.

Joanna nie miała złudzeń. Nie miała się w co ubrać. A konkretnie nie miała

pojęcia, co mogłaby włożyć na tę okazję. Wczoraj wieczorem Bartosz zniechęca oznajmił, że z okazji imienin on i ojciec przygotowują uroczystą kolację dla jego mamy, a to byłaby świetna okazja, żeby Joannę przedstawić rodzicom. Na jej zarzut, że mówi to z dnia na dzień i kompletnie ją zaskakuje, odpowiedział rzeczowo, że dzięki temu będzie się mniej denerwowała. Poza tym już od jakiegoś czasu myślał o jak najmniej stresującym dla obu stron spotkaniu, a na ten konkretny pomysł wpadł wczoraj po południu. Nawet rozmawiał już z ojcem, który oczywiście niezmiernie się cieszy i wprost nie może się doczekać tej wizyty.

— I taka feta to ma być niezobowiązująca okazja? — wytknęła mu Joanna. Chciała uciec z kolan Bartosza, ale nie pozwolił.

— Oczywiście. Uwaga nie będzie skupiona tylko na tobie, bo przecież tego nie lubisz. — Dmuchnął lekko w ucho dziewczyny i potarł nosem jej szyję. Więcej tego wieczoru nie rozmawiali, a pierwsza wizyta Joanny u rodziców Olszaka została w ten niemy sposób zatwierdzona.

Ale problem odpowiedniego stroju pozostał. Joanna stała przed otwartą na oścież szafą, narzekając na zawartość półek.

— No i co ja mam zrobić? — spytała swoje odbicie w lustrze. — Przecież Bartek tu zaraz będzie, a ja zdołałam wybrać jedynie bieliznę i perfumy — pożałowała się.

Po kilku przymiarkach zdecydowała się na brązową, ołówkową spódnicę i kremową bluzkę z bufiastymi rękawami, w której wyglądała bardzo dziewczęco, a do kompletu zamiast czółenek na obcasie wybrała brązowe baleriny. Oceniała, że strój nie jest zbyt uroczysty, ale też dostatecznie elegancki i skromny. Jak zwykle podjęcie decyzji nieco poprawiło jej nastrój. Już spokojniejsza mogła zająć się makijażem, na co miała naprawdę mało czasu, bo Bartosz właśnie przysłał wiadomość, że zjawi się po nią za niecały kwadrans.

Był punktualnie. Rozpromienił się na jej widok.

— Jak ładnie — pochwalił, wręczając Joannie bukiet tulipanów.

— I tak się denerwuję — fuknęła, ale z uśmiechem. Musnęła wargami jego policzek, ale on nie zadowolił się tą pieszczotą. Objął dziewczynę w pasie i zamknął jej usta w namiętym pocałunku. Niestety zbyt krótkim. Joanna zdecydowanie wolałaby kontynuować, niż jechać na ten proszony obiad. Ale przecież odwlekanie wcale nie zmniejszyłoby jej niepokoju.

— Rodzice nie mogą się doczekać, wsiadaj, proszę. — Otworzył przed nią drzwi samochodu.

— Nie ułatwiasz — mruknęła Joanna.

Po drodze przekomarzali się wesoło i dziewczyna stopniowo się odprężyła. Bartosz opowiadał o serii wpadek na poprzednich przyjęciach, które przygotowywali z ojcem, i trudno jej było się z nich nie śmiać. Zapewnił jednak, że po latach stali się prawdziwymi mistrzami, ale za nic nie chciał zdradzić, co tym

razem upichcili. Upierał się, że niespodzianki smakują najlepiej.

Wszystko było wspaniale, do momentu, kiedy Joanna spojrzała na swoje nogi. Przez sam środek lewej pończochy biegło imponujące oczko.

— No i co ja teraz zrobię? To pewnie ta cholerna torba, zawsze zapominam, że ma takie ostre okucie na rogu — biadoliła.

— Asia, kochanie, to drobnostka. Zresztą zaraz będziemy na miejscu.

— Może dla ciebie — odburknęła, przeglądając zawartość torebki. — Bo nie musisz nosić rajstop z oczkami.

— Bez oczek też nie muszę od czasu, gdy przeszedłem do grupy starszaków w przedszkolu — zauważył przytomnie Bartek.

— No właśnie. Muszę kupić, nie mam zapasowej pary. Zatrzymaj się przy jakimś markecie — poprosiła.

— W każdym są?

— W większości.

— Mam iść i je kupić? — zapytał niepewnie Olszak, kiedy już zaparkował samochód niedaleko jakiegoś osiedlowego sklepu.

— Nie, sama pójde — uspokoiła go dziewczyna.

— Kamień z serca. — Przyłożył dłoń do piersi i zabawnie przewrócił oczami.

— Wariat. Ale kochany. — Joanna cmoknęła go lekko w policzek i pobiegła po rajstopy. Na szczęście bez problemu znalazła odpowiednie i na wszelki wypadek zapakowała do koszyka trzy opakowania. Po krótkim namyśle dołożyła jeszcze sporą, efektowną bombonierkę. „Więcej farta niż rozumu, Jaroszówna. Z pustymi rękami chciałaś pójść, barania głowo” — podsumowała się w myślach, płacąc przy kasie.

Z zakupami w dłoniach pospieszyła w stronę samochodu Bartosza. Nie dostrzegła mężczyzny, który z rozmysłem znalazł się na jej drodze, i o mały włos nie upadła. Zdołała uratować czekoladki. Nie spadły na ziemię w przeciwieństwie do opakowań z rajstopami.

— Przepraszam — rzuciła odruchowo i kucnęła, żeby pozbierać pudełeczka.

Nie od razu zauważyła, kto przyklęknął obok. Dopiero kiedy chwycił jej rękę, do Joanny dotarło, że to Damian. Rzuciła mu pełne złości spojrzenie, a wspomnienie okropnego pocałunku momentalnie zalało jej usta goryczą.

— Znowu się spotykamy, co? — powiedział z niemiłym śmiechem. — Czyżbyś jednak się stęskniła?

— Zostaw mnie! — Wyrwała mu dłoń i odruchowo wytarła ją o spódnice. Zagryzła wargi w bezsilnej wściekłości, że ten typ psuje jej fajne popołudnie. Dopiero teraz skojarzyła, że jej były chłopak mieszka w tej okolicy.

— Pani niedotykalska? A na zawodach byłaś zupełnie inna... — Mrugnął.

Dziewczyna wyczuła nieprzyjemny zapach taniego piwa. Skrzywiła się, jak

najszybciej zebrała rozrzucone opakowania i wstała, przyciskając zakupy do piersi niczym tarczę. Spróbowała wyminąć byłego chłopaka, ale ten ponownie znalazł się przed nią.

— O co ci chodzi? Napić się nie można? Nie tęskniłaś? Buziaczek! — Nachylił się do niej, układając wargi w dziobek. Joanna postąpiła krok w tył.

— Zostaw mnie! — powtórzyła. Chciała uciec, ale Damian bawił się w najlepsze, co i rusz zastawiając jej drogę. Trwało to zaledwie chwilę, ale wystarczyło, żeby dziewczynie zachciało się płakać. „Gdzie jest Bartek?” — pomyślała w panice, a na odpowiedź nie musiała długo czekać, bo w tym samym momencie ktoś usunął zagradzającego jej przejście mężczyznę.

— Nie słyszałeś, co pani powiedziała? Zjeżdżaj stąd! — warknął.

Damian próbował ruszyć do Olszaka z pięściami, ale jeden blok postawiony przez policjanta skutecznie ukrócił jego zapędy. Syknął z bólu i odsunął się zapobiegliwie.

— Twój nowy fagas? — wykrzywił się do Joanny.

— Zjazd! — powtórzył rozkaz Bartosz, równocześnie robiąc krok w stronę chłopaka, i ten posłuchał. Rzucił jakieś niewyraźne przekleństwo w ich stronę, ale dość szybko zniknął za rogiem sklepu.

— W porządku? Daj te drobiazgi i chodź do samochodu. Po co kupiłaś czekoladki?

— Dla twoich rodziców. — Joanna tuliła się do Bartka, szczęśliwa, że już po wszystkim. — To mój były — wyjaśniła.

— Już nie będzie cię niepokoił — zapewnił jej obrońca. — Swoją drogą, paskudny typ.

— Mam do niego pecha — mruknęła, ale nie powiedziała nic więcej. Jak najszybciej zmieniła rajstopy w samochodzie i ruszyli do domu Bartosza.

W progu powitał ich jego ojciec — przystojny, szpakowaty mężczyzna o bystrych oczach. Radośnie przywitał Joannę, całując jej policzki i obdarowując okazałym bukietem tulipanów. Zapewnił przy tym trzy razy, że jest mu niezmiernie miło poznać przyjaciółkę syna.

— Zapraszam do salonu. Żona już idzie, oczko jej poleciało czy coś — wyjaśnił, po drodze dopytując Bartka, co takiego śmiesznego udało mu się powiedzieć.

— Witajcie, dzieci! — Kobieta, której głos Joanna miała już okazję słyszeć, wkroczyła zamasyście do salonu, ledwie zdążyli usiąść. W przeciwieństwie do swojego męża pani Olszak była raczej niska. Mimo lekkiej nadwagi nosiła dopasowany żakiecik eksponujący wydatny biust. Omiotła spojrzeniem pomieszczenie. — A gdzie Joasia? — spytała, podkreślając zdziwienie szeroko otwartymi oczami.

Dziewczyna wstała, nerwowo zaciskając dłonie na pudełku czekoladek.

— Ale mammo! — Bartek zerwał się w ślad za Joasią. — To jest przecież Joanna.

— Myślałam, że to będzie córka Renaty! Mówiłeś, że... — Kobieta umilkła, nagle wyraźnie zażenowana, a po chwili się roześmiała. — Dorota Olszak — przedstawiła się, wyciągając dłoń. — Przepraszam panią, źle zrozumiałam słowa syna.

— No co ty, nie mówiłem, że przyprowadzę Hańczakównę. Co ci do głowy przyszło? Przecież ja jej nie widziałem od kilku lat. — Bartek, wyraźnie wzburzony, stanął obok Joanny.

Asia odwzajemniła uścisk, cicho bąkając swoje imię i nazwisko. Z wrażenia zaschło jej w ustach. Poczula, że jest tutaj zupełnie zbędnym gościem. Bartosz krzepiąco objął ją w pasie.

— To co, synu? Serwujemy nasze dania? Panie sobie usiądą. — Tomasz Olszak przemilczał nietakt swojej żony, choć po minie dało się poznać, że nie jest zadowolony z przebiegu pierwszego spotkania z potencjalną synową.

— Proszę się na mnie nie gniewać. Zawsze palnę coś głupiego, zanim pomyślę. — Matka Bartosza tymczasem próbowała naprawić sytuację.

— Rzeczywiście, mammo, tym razem wyjątkowo ci się udało — parsknął Bartek, wychodząc za ojcem.

Joanna tymczasem zajęła wskazane jej przez Olszakową miejsce przy stole. Gorączkowo zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć, ale na szczęście matka Bartosza przejęła cały ciężar konwersacji, opowiadając o swoich licznych wpadkach. Była przy tym tak bezpośrednia i zabawna, że po kilku minutach dziewczyna nie pamiętała o przerażeniu, jakie ogarnęło ją, gdy okazała się nie tą Joasią, której spodziewała się matka jej chłopaka. Zrewanżowała się opowieścią o pierwszej próbie chóru parafialnego. Kiedy panowie zaczęli wносить pierwsze danie, obie chichotały w najlepsze. Bartosz i jego ojciec wymienili znaczące spojrzenia.

— To samo było z moim szefem — mruknął, co sprowokowało jego matkę do kolejnej opowieści, a Joanna pomyślała radośnie, że z pewnością nie będzie to nudny obiad.

— I coś z tym zrobisz? — Maria schowała ostatnie produkty do spizarni i zgasiła górne światło w lokalu. Pozostało tylko oświetlenie przy schodach. Wiatr wraz z drobną mżawką uderzał w zaciągnięte zewnętrzne żaluzje.

Baliński najpierw pomagał jej w codziennych porządkach, ale w końcu wydarzenia z przeszłości tak go pochłonęły, że zatrzymał się przy kontuarze i lekko oparty o blat opowiadał Marii o pewnej rudowłosej dziewczynie, do której tak podobny był młody Janek. Wiadomość o pobiciu chłopaka bardzo nim wstrząsnęła i zżymał się, że w tej chwili nie może mu pomóc.

— Nie mam pojęcia. Mimo wszystko nie mam pewności, oprócz domysłów

i tego, co mówiła ta moja znajoma z liceum. Po maturze zupełnie straciłem z nimi kontakt. — Ryszard odłożył ścierkę, którą machinalnie składał i rozkładał podczas swojej opowieści. W półmroku podszedł do Marii i przytulił ją, oplatając mocno ramionami, jakby szukał pomocy. — Byłem dupkiem, że ci wcześniej nic nie powiedziałem. Przepraszam — szepnął. Jego usta błędziły po policzku kobiety.

— Byłeś — przyznała. — Ale już wyjaśnione. Nie myśl o tym teraz, odetchnij. — Ścisnęła jego ramię, bo już nie miała ochoty na słowa.

— Uhm. Zatańczymy? — zapytał nagle i nie czekając na odpowiedź, zanucił pierwsze dźwięki starego tanga. Jego głos zawibrował, przeniknął ciało Marii na wskroś, dotarł do samego wnętrza. Ryszard, nie przerywając nucenia, poprowadził ją na środek pomieszczenia. Pożądanie, widoczne w jego spojrzeniu, sprawiło, że na co dzień ciepła zieleń jego oczu wyraźnie pociemniała. Marysia oblizła zaschnięte nagle wargi i przywarła mocno do swojego partnera. Zamknęła oczy i całkowicie poddała się jego woli.

Baliński prowadził pewnie, bez trudu odczytywała kolejne kroki z ruchów jego ciała, napięcia mięśni, ruchów ramion. Poniosła ją muzyka, którą już słyszała w głowie tak mocno, że nie była pewna, czy mężczyzna nadal śpiewa, co wcale jej nie przeszkodziło czuć tańca całym ciałem.

Kiedy przystanęli nieco zdyszani, Ryszard przygarnął Marię do piersi i delikatnie pocałował wnętrze jej dłoni. Wolno przesuwając wargi po skórze, aż do nadgarstka, który powąchał i zamruczał z zadowoleniem. Pocałunek, wzmocniony głosem, rozlał się w niej wartką falą gorąca, pozostawił drażniące wibrowanie w dole brzucha.

Pociągnęła go niecierpliwie i niemal pobiegli na górę, do sypialni. Już za drzwiami mężczyzna oparł Marię o ścianę. Jego dłonie przez chwilę okalały jej twarz, kciuki rysowały drobny, szybki wzorek na policzkach, żeby spłynąć w dół, przez szyję i ramiona, na biodra. Odnalazł jej usta i lekko musnął je językiem, żeby zaraz chwycić wargi w zaborczym tańcu. Maria podniosła dłonie i wplotła palce w jego włosy. Syciła się ich miękkością, przesuwała kolejne pasma między palcami, gładziła płatki uszu, a on odpowiadał kolejnymi pocałunkami. Jego palce powędrowały z bioder na pośladki, gładko wsunął je pod jej spódnicę i wolno gładził skórę tuż przy krawędzi majtek. Cichy jęk kobiety wyrywał się prosto w jego usta, bo nagle chciała więcej i więcej tego rozpalającego zmysły dotyku. Ryszard przycisnął ją biodrami, odpowiedział pomrukiem gdzieś z głębi siebie.

Maria sięgnęła odważnie, rozpięła guziki i ściągnęła szybko koszulę, a potem przytuliła policzek do torsu swojego partnera i wsłuchiwała się w mocne uderzenia serca. Mięśnie na jego ramionach i plecach grały pod jej dłońmi, ale kiedy chwyciła klamrę paska, odsunął ją lekko.

— Teraz ja — wychrypiał, klękając przed nią.

Wolno, zbyt wolno zdejmował jej sukienkę i pończochy. Drzenie wypełniło

każdy fragment skóry Marysi, wibrowało w podbrzuszu, w koniuszkach palców, aż po napiętą do granic możliwości wewnętrzną stronę ud. Ryszard, nie wstając z kolan, zajął się rozpinaniem haftek stanika, aż uwolnił z niego piersi. Kuleczki brodawek czekały na jego język, na usta, na muskający gorący oddech i dostały to wszystko razem z niecierpliwym dotykiem i mrużeniem, na które Maria była w stanie odpowiedzieć tylko kolejnym jękiem.

Nie wiedziała nawet, jak położył ją na łóżku. Pod plecami czuła chłodną pościel, a on kontynuował swoją wędrówkę po jej ciele coraz bardziej natarczywie, zaborczo. Wygięła się, pozwalając mu badać łuki i zagłębienia, celebrując kobiecość, podała mu się jak na tacy. Coraz mocniej pragnęła gładzenia, dotykania, jęków, pomieszanych, urywanych oddechów i pomruków. Kiedy drżenie i żar zdawały się już nie do zniesienia, przygarnęła go mocno, pomogła pozbyć się spodni. Ocierając się ciałem o jego ciało, odnalazła jedwabistą w dotyku, twardą męskość i przyjęła go w siebie, zachłannie, głęboko, ufnie.

Jak w tańcu pozwoliła mu wyznaczać kierunek, a sobie polecieć w beczasową ciemność i rozkosz. Było inaczej niż kiedykolwiek. Inaczej niż z Wojtkiem, którego tak dobrze знаła. Inaczej niż za pierwszym razem z Ryszardem, kiedy poczucie nowości dominowało, wzmacniając fale uniesień. Teraz spokój, ale wypełniony do cna pożądaniem, rozlewał się w niej, zagarniając coraz to nowe obszary ciała. Wybuchał i przycichał, by powrócić z nową, nieustępliwą siłą, kolejnymi skurczami spełnienia, wyznaczanymi ciężkim, urywanym oddechem Ryszarda. Czuła dokładnie moment, gdy jej mężczyzna osiągnął szczyt, i pozwoliła, by ją tam zabrał.

Gdy tylko wróciła do rzeczywistości, natychmiast chciała jeszcze. Rysiek, który wyczerpany leżał na boku, tuląc Marię do siebie niczym skarb, mruknął z zaskoczenia, gdy nagle poderwała się i usiadła okrakiem na jego biodrach.

— Moja piękna... — Wyciągnął dłonie, by objąć jej piersi. — Nie masz dość?

Pokręciła głową, odnajdując rytm, który ich połączył poprzednio.

Zaspała! Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Przeżona usiadła w rozgrzanej pościeli. Ku swojemu rozczarowaniu była w łóżku sama. Chwyła telefon i sprawdziła godzinę. Powinna być na nogach od dobrych czterech godzin, słońce już od dawna zaglądało w jej okno, sącząc przez waniliowe rolety pięknie rozproszone mleczne światło. Maria rozejrzała się w poszukiwaniu szlafroka lub choćby koszulki, chciała jak najszybciej pobiec do łazienki. Przecież na pewno zawiodła swoich klientów, którzy co rano wpadali po jej wypieki. Nie dość, że wczoraj zamknęła lokal wcześniej, to teraz jeszcze to. W głowie już układała promocję na przeprosiny, kiedy dostrzegła kartkę leżącą na poduszce, w miejscu, gdzie jeszcze w nocy spał Ryszard. „Nie wierzę” — pomyślała, ale przeczytała wiadomość i oniemiała. „Nie martw się, wszystkim się zajmę. Wyspana?” —

napisał. Maria odetchnęła głęboko, myśląc, że ten facet jest wprost niemożliwy.

Już spokojniejsza udała się pod prysznic i ubrała, nawet zrobiła lekki makijaż. Zajrzała do kuchni, gdzie czekała na nią kolejna niespodzianka. W termicznym kubku stała ciepła kawa, a pod talerzykiem dwie kanapki z serem i pomidorem. Z dołu dochodziły zwyczajne odgłosy, jakie towarzyszyły jej codziennie — szum ekspresu do kawy, dźwięk zamykanych i otwieranych drzwi, szuranie drewnianej łopaty do pieca. Do tego zapach świeżego ciasta. Najwyraźniej Rysiek radził sobie świetnie. Postanowiła nie sprawiać mu przykrości i zjadła przygotowane śniadanie, przeglądając wiadomości prasowe w telefonie.

Umyła jeszcze szybko zęby i zeszła do pizzerii. Akurat byli w lokalu sami, więc Ryszard objął ją ciasno, wyraźnie ucieszony jej widokiem. Wtuliła nos w jego szyję, przywarła mocno całym ciałem.

— Jak się spało, moja piękna? — usłyszała wibrujący szept tuż przy uchu. — Ładnie wyglądasz w tej sukience.

— Cudownie — wymruczała. — Dziękuję za śniadanie.

— Drobiazg. Dla ciebie wszystko. Potrzebowałaś odpoczynku. Poza tym kocham cię — wyznał prosto.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zastygła w ramionach mężczyzny, a on wyczuł jej zmieszanie i lekko ucałował jej skroń.

— Nie oczekuję deklaracji. Ale dłużej nie umiałem tego przed tobą ukrywać.

Popatrzyła mu w oczy. Były spokojne. I szczerze. Uśmiechnął się do niej i z radością odwzajemniła uśmiech. „Mógłby zostać. Potrzebuję go” — przyznała się przed sobą.

— Dobrze mi, kiedy jesteś przy mnie — powiedziała ostrożnie.

Rozpromienił się, szybko przyciągnął Marię jeszcze bliżej i pocałował. Smakował kawą i wspomnieniem nocy. Zatraciła się w bliskości na długą chwilę i gdyby nie wchodzący do lokalu klient, długo by nie pozwoliła Ryszardowi przestać. Zupełnie niezawstydzona oderwała się od swojego mężczyzny i wspólnie zajęli się realizowaniem zamówienia, jakby robili to codziennie. Maria czuła, jak rozprzestrzenia się w niej ten rodzaj ciepła, który lubiła nazywać szczęściem. Wraz z tym, co było nowe dzisiejszego poranka, wiele się w niej zmieniło. Już nie chciała być sama.

Przez cały dzień mówili niewiele, wypełniła go wspólna praca. Dopiero wieczorem, kiedy już podłoga była umyta — tym razem przez Ryszarda — i wszystko przygotowane na kolejny dzień, znaleźli chwilę na rozmowę.

— Masz ochotę na kolację? — spytała, obejmując go od tyłu i przytulając policzek do jego pleców.

— Na ciebie — zaśmiał się w odpowiedzi i odwrócił do niej przodem.

Chętnie zatoneła w silnych męskich ramionach. Stali pomiędzy stolikami, kołysząc się lekko. Maria przymknęła oczy, poddając się rytmowi nadawanemu

przez mężczyznę, lekkimi pomrukami witając delikatne pocałunki, jakimi pokrywał jej szyję. Za oknami hałaśliwie przejechał jakiś samochód.

— Widać nas z ulicy — zauważył Ryszard, muśnięciami warg tuż przy uchu Marii wywołując przyjemne mrowienie.

— Uhm. Zgaśmy światło i chodźmy na górę.

W kuchni postawiła na stole butelkę wina oraz miskę sałatki, którą przygotowała w trakcie dnia z myślą o wieczorze. Rysiek pokroił chleb, wyjął z szafki masło. Potem sprawnie odkorkował wino i nalał ciemnoczerwony płyn do kieliszków. Usiedli naprzeciwko siebie. Stolik był tak mały, że gdy się pochylili, mogli bez trudu zetknąć się głowami.

— Za udany dzień. — Maria z uśmiechem wzniosła -toast.

— I noc — dołączył do niej Ryszard z filuternymi błyskiem w zielonych oczach.

— A ty o jednym!

— Przy tobie trudno mi myśleć o czymkolwiek innym.

Śmiali się oboje. Sałata z serem feta i pomidorkami koktajlowymi była przepyszna. Baliński podkreślił to dwa razy, za każdym dokładając sobie okazałą porcję. Maria patrzyła na to z przyjemnością. Sama też zjadła całkiem sporo, bo akurat dziś było wyjątkowo dużo klientów i żadne z nich nie zdążyło porządnie się posilić. „Gdyby nie Rys, tobym teraz padała z nóg i nie miała siły na jedzenie” — pomyślała i podzieliła się tą myślą z Ryszardem.

Ten uśmiechnął się, ale nie odpowiedział od razu. Wolno wysączył resztkę wina i starannie odstawił kieliszek na blat. Odchrząknął i nabrał głęboko powietrza, jakby szykując się do skoku do wody.

— A gdybym został? Przyjąłabyś mnie? Pomógłbym ci w lokalu i mogłabyś wprowadzić pizzę na dowóz do klienta. Dziś dostałem wiadomość, że mój były wspólnik spłacił mi część długu. Razem z tym, co zarobiłem w Holandii, mogę zamknąć swoje zobowiązania i zacząć od nowa. Ale od dłuższego czasu nie umiem sobie wyobrazić innego zaczynania niż przy tobie — dokończył szeptem.

Maria przez niemal minutę nie była w stanie wykrztusić słowa. Wzruszenie odebrało jej mowę i zdolność ruchu. Im bardziej chciała coś powiedzieć, tym silniej ta dziwna niemoc ją pochłaniała. Jak we śnie, w którym nie można drgnąć z miejsca, mimo wielkiej potrzeby i chęci. Za to serce tłukło jej się w piersi tak mocno, że była przekonana, iż słyhać je w całej kuchni. Ryszard wpatrywał się w nią z miną, jakby liczył każdą upływającą sekundę, i smutniał coraz bardziej.

— Przepraszam. Zaskoczyłem cię. Rozumiem. — Opuścił głowę i siedział ze zwieszonymi ramionami. Spojrzał jeszcze na nią, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. — Powinienem sobie pójść, prawda? — Przełknął ślinę, zapewne chcąc zwilżyć zaschnięte gardło.

W końcu Marysi udało się poruszyć. Położyła swoje dłonie na zaciśniętych

nerwowo w pięści rękach mężczyzny.

— Pewnie, że bym chciała — wyznała razem z falą łez, które pociekły niekontrolowane i nieproszone, bo przecież była szczęśliwa. Mrugała, ale nie umiała ich zatrzymać, tak jak jeszcze przed chwilą nie mogła nawet drgnąć.

Ryszard zerwał się z krzesła, klęknął przed Marią. Powtarzał, żeby nie płakała, i ocierał jej policzki opuszkami palców i lekkimi musnięciami ust, jakby bał się ją zranić.

— Przepraszam. — Kobieta tuliła się do niego, zawstydzona i coraz bardziej wzruszona.

— Naprawdę mnie chcesz?

— Naprawdę. Kocham cię — szepnęła, a on odpowiedział tym samym.

Objął ją mocno i przygarnął do piersi. Jemu także serce biło jak szalone.

Niestety kolejnego wieczoru Maria była już sama. Ryszard musiał przecież wrócić do Holandii i zakończyć swoje sprawy. Obiecał, że nie zajmie mu to wiele czasu, góra dwa tygodnie. Pożegnała go zaraz po obiedzie i już nie mogła doczekać się powrotu ukochanego. „Mój mężczyzna” — pomyślała wzruszona, że oto znowu może tak kogoś nazywać. Przywołała w pamięci rozczulający widok rozrzuconych na poduszce jasnych włosów Ryśka, westchnęła, gdy ciało podsunęło jej wspomnienie dotyku jego silnych dłoni. Upomniała się kilka razy, że nie powinna ekscytować się jak pensjonarka, ale nawet to nie starło uśmiechu z jej ust.

Spojrzała na zegar. Już niedługo będzie mogła zamykać. W lokalu nie było nikogo, pewnie dopiero piątek i sobota wieczorem będą ciężkie. W głowie układała sobie jak zwykle listę rzeczy do zrobienia, kiedy nagle ktoś z rozmachem otworzył drzwi, aż gruchnęły o ścianę. Do wnętrza wkroczył, a raczej wtoczył się kompletnie pijany mężczyzna. Maria знаła go z widzenia, ale dotąd nie odwiedzał pizzerii. Usiadł ciężko przy jednym ze stolików i potoczył wokoło mało przytomnym wzrokiem.

— Piwo! — zażądał.

Kowalska nie miała czasu odpowiedzieć, bo do lokalu wszedł kolejny gość. Tego mężczyznę również kojarzyła. Ojczym rudego Janka dla odmiany wyglądał na zupełnie trzeźwego. Skinął głową w kierunku Marii, ale podszedł prosto do rozpartego na krześle intruza.

— Tu jesteś, chodźże stąd, idioto, tu nie ma piwka. — Twardo złapał towarzysza za ramię i nawet udało mu się postawić go na nogi.

— Poszedł! — Nieznajomy wyszarpnął się, zatoczył i upadł na plecy, roztrącając krzeselka i stoliki.

Potem wszystko działo się zbyt szybko. Pijak podniósł się prawie natychmiast, powodowany gniewem ruszył z pięściami na swojego kolegę. Kiedy tamtemu udało się uchylić, nieusatisfakcjonowany chwycił krzesło, którym wymachiwał bezładnie, wykrzykując przy tym obelgi w kierunku ojczyma Janka.

Wiktorski próbował obezwładnić napastnika, ale adrenalina wymieszana z alkoholem najwyraźniej dodawała tamtemu sił. Mężczyźni szarpali się, a ulica jak na złość była pusta, więc mimo otwartych drzwi nikt nie zauważył bójki. Agresor działał jak w amoku, raz za razem odpychał usiłującego go powstrzymać kompana. Wiktorski miał już rozbity nos i poszarpaną kurtkę. Ledwo uchylił się przed ciosem krzesłem, które niestety rozbiło szklaną witrynę. Maria krzyknęła mimowolnie, porządnie wystraszona, bo jeden z odłamków przeleciał tuż obok niej. Głos zginął w brzęku tłuczonego szkła. Kobieta w panice zapomniała, gdzie ma telefon, a kiedy dostrzegła go na parapecie i próbowała się tam dostać, żeby zadzwonić na policję, z całym impetem wpadł na nią popchnięty kolejnym uderzeniem Wiktorski. Upadli razem. Teraz Maria wrzeszczała już bez opamiętania. Okropny ból przeszył jej prawą dłoń aż po bark.

Zamroczona nie bardzo już wiedziała, co się dzieje. Krzyki i zamieszanie nagle ustały, a po chwili usłyszała sygnały wozu policyjnego. A może pogotowia? Nie była pewna. W środku znalazło się nagle dużo ludzi, ich głosy zlewały się w irytujący szum. Nie rozróżniała słów. Ktoś pochylił się nad nią. Zielone oczy. Znajomy, miękki dotyk na włosach. Ale to nie mógł być przecież on. Był w drodze do Amsterdamu od kilku godzin. Zdezorientowana spróbowała przekręcić głowę, by przyjrzeć się uważniej tajemniczemu przybyszowi, ale nieznośny ból nie pozwolił jej się ruszyć. Nie straciła przytomności, tylko trwała w dziwnym letargu, wypełnionym niejasną mieszaniną bólu i czułego dotyku. Dopiero podany przez ratownika medycznego zastrzyk przeciwbólowy nieco ją otrzeźwił i przekonała się, że to nie było przywidzenie.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że miasteczko znowu huczało od plotek. Wszędzie, gdzie Joanna się pojawiała, tematem rozmów była bójka w pizzerii. W szkole — bo brali w niej udział ojciec Krzyśka Długockiego i Janka Wiktorskiego. Ktoś nawet był pewien, że Wiktorski chciał się policzyć z Długockim za pobicie Jaśka, a ktoś inny, że to ojciec Krzyśka wszczął awanturę, jak to zwykł robić po pijaku. Długocki siedział zresztą w areszcie, bo to nie był pierwszy raz, kiedy zadarł z prawem. Przypuszczano jednak, że jak zwykle go wypuszczą, bo dobrze znał policjantów z lokalnego posterunku. Ojczym Janka ponoć pijany nie był, co też było powodem komentarzy.

W kościele na próbach chóru z kolei głównym wątkiem w rozmowach była pani Maria, której wszyscy żalowali, bo Długocki zdemolował jej piękny lokal, a ona sama miała złamaną rękę. Ksiądz wikariusz nawet wspomniał o pani Kowalskiej w modlitwie podczas mszy świętej. Zrobił to głównie na prośbę nieocenionej Walczakowej, z którą Joanna podzieliła się wiadomością otrzymaną od samej pani Kowalskiej, że to Ryszard, jej przyjaciel, zapobiegł większej awanturze tylko dzięki swojemu zapominalstwu. Okazało się, że zawrócił z trasy do Holandii, bo zapomniał zabrać dokumenty. Pani Agata uznała tę sytuację za prawdziwy palec Boży i wymogła na duchownym, żeby odprawił stosowne nabożeństwo.

Za to przed treningiem grupy biegowej, której aktywność wzmogła się znacznie wraz z poprawą pogody, dzieciaki szemrały między sobą do momentu pojawienia się Janka, którego Julka namówiła do przyjścia.

Joanna bardzo się ucieszyła na jego widok, podobnie zresztą jak pozostali. Wprawdzie chłopak nie nabrał jeszcze sił, ale od razu można było dostrzec zmianę, jaka w nim zaszła. Nie był już tak wystraszony i ponury jak jeszcze kilka tygodni temu. Wszyscy wiedzieli, że nie wyjawiał, przez kogo został pobity, choć było to tajemnicą poliszynela, a „banda Długiego” od tamtego czasu chodziła z uszami po sobie, więc dla innych uczniów Janek był bohaterem, który zwyciężył w tej potyczce.

Kiedy wspomniał, że jutro idzie pomóc ojczymowi w niezbędnych naprawach w lokalu pani Kowalskiej, ktoś spontanicznie rzucił hasło, że idą wszyscy, bo przecież zniszczenia poczynione przez ojca Krzyśka to nie wina Wiktorskiego. Joanna, która odwiedziła Marysię w szpitalu — gdzie ta musiała zostać na obserwacji ze względu na podejrzenie urazu głowy — wiedziała, że Kowalska weekend spędzi w domu swojego brata i dopiero w poniedziałek rano wróci do mieszkania nad pizzerią. Na pewno będzie jej miło, kiedy zostanie wszystko wysprzątane. Wraz z Janeckim uznali, że to doskonały pomysł, i obiecali, że też się stawią.

Wprawdzie następnego dnia Joanna trochę powątpiewała w entuzjazm młodzieży, ale ku jej zaskoczeniu zjawili się w komplecie. Niektórzy mieli nawet ze sobą rozmaite środki czystości, a Julka i Jasiak przynieśli kolorowe balony i bibułę, bo uznali, że przystrojenie sali na powitanie pani Marii jest po prostu niezbędne. Wiktorski był już na miejscu i z Ryszardem Balińskim uprzętnęli większość zniszczeń. Pozostało wstawienie nowych szyb do witryny, naprawa niektórych sprzętów i oczywiście pucowanie. Przydzielono zadania i cała ekipa sprawnie zabrała się do pracy. Wydawało się, że do wieczora na pewno uporają się ze wszystkim. Ryszard, który okazał się doskonałym organizatorem, nie krył zdumienia, ale też i zadowolenia, że mają tylu pomocników. Oznajmił, że oczywiście na obiad przygotowuje dla wszystkich pizzę, czym wywołał entuzjazm gimnazjalistów. Radosne okrzyki nie rozbrzmiewały jednak zbyt długo. Przerwało je wejście do lokalu jeszcze jednej osoby.

Krzyśka Długockiego nikt się nie spodziewał. Na treningi przecież nie przychodził i trudno było dociec, jak dowiedział się o całej akcji. Stał teraz w drzwiach z rękami wepchniętymi w kieszenie workowatych dżinsów. Pochylona postawa wskazywała jednak, że chłopak nie czuje się tutaj zbyt pewnie. Zaniepokojona Joanna zerknęła na Wiktorskiego. Mężczyzna wolno odłożył narzędzia i nie spuszczać wzroku z intruza, stanął obok syna. Baliński również czujnie zerkał to na przybysza, to na pozostałych.

— Czego tu? — Ojczym Janka przerwał ciszę ostrym pytaniem.

Długi jakby się skulił. Joanna zauważyła odruchowe spięcie ramion również u Jaśka.

— Czy mógłbym pomóc? Ja chciałbym... chciałbym przeprosić za ojca. I przeprosić... chciałbym... Za wszystko — jąkał się Krzysztof, a jego policzki przybrały kolor cegły.

Nikt się nie odezwał. Koledzy Janka w napięciu patrzyli, co on odpowie.

— Proszę — dodał jeszcze Długocki, już przez zupełnie ściśnięte gardło. Joanna pomyślała, że jeszcze minuta i chłopak po prostu ucieknie.

Niespodziewanie Janek ruszył do przodu. Wiktorski zrobił ruch, jakby chciał go zatrzymać, ale szybko opuścił rękę. Chłopak podszedł do swojego niedawnego oprawcy. Stał przed nim sztywno wyprostowany. Spojrzał mu w oczy. Choć Krzysiek był od niego wyższy, Joanna nie miała wątpliwości, że to Jasiak jest górą w tej sytuacji. Młody Wiktorski wyciągnął dłoń i poczekał, aż Długi ją uściśnie.

— Okej. Wchodzisz w to. Pan Ryszard zaraz ci przydzieli zadanie — oznajmił.

Joannę aż zatchnęło z podziwu i wzruszenia. „Dzielny chłopak” — pomyślała z dumą.

Moralne zwycięstwo jej ulubieńca napełniło ją dobrą energią i z radością zabrała się do pracy, a nawet zaczęła nucić do rytmu, co szybko udzieliło się

wszystkim, zaintonowała więc znaną ogólnie w szkole szantę.

Nie przestali podśpiewywać, nawet gdy Asia wyszła na moment, żeby sprawdzić wiadomości w telefonie. Od wczoraj czekała na wiadomość od Bartosza, a on milczał. Co gorsza, nie odpowiedział na wiadomość ani nie odebrał telefonu. Słyszała jedynie sygnał, że jest poza zasięgiem sieci. Nie umiała nie kojarzyć tej sytuacji z jakże niedawną, kiedy Adam przestał się odzywać. Nie potrafiła się nie martwić i czekać spokojnie, jak podpowiadał jej rozsądek; wyobrażenia i niepokój sugerowały jedno: pani Olszak przekonała syna, że Joanna nie jest dla niego odpowiednia i tyle. Mimo że próbowała siebie przekonać o absurdalności tego pomysłu, nic to nie dawało. Nie pomagało wspomnianie, że mimo niefortunnego powitania na obiedzie było szalenie miło. Zdawała sobie sprawę, że się po prostu nakręca, co często wytykała jej siostra, ale świadomość tego też niewiele ułatwiała.

— Ech, Jaroszówna, jakaś ty durna — zbesztła się półgłosem, chowając aparat do kieszeni.

— Zaraz durna, co pani Aśka taka surowa dla siebie? — zaśmiał się Baliński za jej plecami. Co prawda, przeszli na ty, ale żartobliwie zwracali się do siebie „pani Aśko” i „panie Ryśku”.

Ryszard wyszedł do samochodu po jakieś zapomniane narzędzie. Jego przyjazne i ciepłe spojrzenie niespodziewanie ośmieliło Joannę, która zazwyczaj niechętnie zwierzała się innym.

— Nic, panie Ryśku, czekam na wiadomość od chłopaka, a on milczy. A ja się przejmuję.

— A to drań! Należy mu się kara — przyznał mężczyzna z udawaną powagą.

— Czyli powinnam się obrazić? — roześmiała się dziewczyna.

— Czy ja wiem? A to dobry chłopak?

— No dobry. Troskliwy — przyznała żarliwie.

— To się nie obrażać — zawyrokował Ryszard.

— Ale obiecał zadzwonić, a się nie odzywa — zripo-stowała.

— To się obrazić — zmienił zdanie.

— A jak mu się coś stało? — Joanna nagle spoważniała.

Jej rozmówca spojrział na nią uważniej. Jego oczy pociemniały. Zastanawiał się chwilę, jakby zbierając myśli. Spoważniał i westchnął.

— Wiesz... Ja tak sobie żartuję z tym obrażaniem, ale tak mi przyszło na myśl, że czasem niby błaha sprawa powoduje, że ludzie się kłóca. I nic dobrego z tego nie wynika. Zobacz te wszystkie filmy i seriale, zwłaszcza amerykańskie: bohaterowie na początku sobie czegoś nie mówią albo do końca nie wyjaśnią i kłopoty gotowe. Potem cały film schodzi na doświadczenie do tego, co można było załatwić w pierwszym kwadransie.

— Niby tak, ale jakby wszystko było jasne, toby nie było historii —

zauważyła przytomnie Joanna.

— Oczywiście, ale nasze życie to nie serial. Nie musimy sobie go dodatkowo utrudniać i tracić czasu. Skoro się martwisz, to dlaczego do niego nie pojedziesz? — Rozłożył dłonie i zastygł na chwilę z pytającym grymasem na twarzy. — Tylko mi nie mów, że nie wypada czy że nie chcesz się narzucać, bo to bzdury. Jeśli ci zależy, jeśli się niepokoisz — to sprawdź. Przecież w analogicznej sytuacji ty chciałabyś, żeby on się o ciebie zatroszczył, prawda? A jeśli się okaże, że po prostu cię olał, to będziesz jeden dzień do przodu. A tak będziesz czekać i się martwić. I myśleć. Jak zadzwoni, to się może nawet pokłócić. Jak nie zadzwoni, a rzeczywiście stało się coś niedobrego, to z kolei pożrą cię wyrzuty sumienia — zakończył.

Joanna zamruwała. Prostota tego, co powiedział Ryszard, niemal ją poraziła.

— Masz rację. Miał się odezwać wczoraj wieczorem, jak wróci ze szkolenia.

— To długo. Jedź i sprawdź. Sprzątaniem się nie martw. Z tą ekipą i dwa lokale bym wypucował na błysk — uśmiechnął się znowu, tym razem pokrzepiająco.

— Masz rację — powtórzyła. — Dzięki.

Miała szczęście, bo złapała jeszcze ostatniego busa do stolicy. Po niecałej godzinie stanęła przed domem Olszaków. Dopiero wtedy znowu opanowały ją wątpliwości. Skoro jednak już tutaj dotarła, postanowiła nie rezygnować i zapukać do drzwi, zwłaszcza że telefon Bartosza nadal był wyłączony. Z bijącym sercem stanęła przed furtką i nacisnęła dzwonek domofonu. Najpierw do mieszkania Bartosza, a potem do jego rodziców. I tutaj przez dłuższą chwilę nie było żadnego odzewu.

— Kto tam? — z głośnika dobiegł lekko zniekształcony, damski głos. Dziewczyna z trudem rozpoznała, że to pani Olszak.

— Joanna — przedstawiła się.

— Kto? — zabrzmiało zgrzytliwie.

Joanna zaniemówiła, a przez głowę w jednej sekundzie przegalopowało jej stado chaotycznych myśli, których główną konkluzją było, że jednak nie jest w tej rodzinie mile widziana i dlatego Bartek przestał się z nią kontaktować. Nie dotarło do niej, jak bardzo absurdalny był to wniosek. Zaczęła żałować, że się tutaj pojawiła i stoi teraz jak ostatnia idiotka pod ich domem. Urażona duma nie pozwoliła jej się więcej odezwać.

Zacisnęła pięści w bezsilnej złości i wymyślając sobie od naiwnych kretynek, odwróciła się na pięcie i zamierzała jak najszybciej wrócić na przystanek, pojechać do siebie, zaszyć się pod kocem i najlepiej nie wychodzić stamtąd, nawet gdyby był koniec świata.

Ledwo zrobiła kilka kroków, otworzyły się drzwi w części domu należącej do rodziców Bartka. Zabrzączał domofon.

— Asieńka, jak dobrze, że przyjechałaś! Chodź szybko, chodź! — wołała pani Olszak. — Ten cholerny domofon znowu popsuty, nic nie zrozumiałam i dopytuję jak kogo dobrego, zamiast wyjrzeć — dodała, wpadając w charakterystyczny dla siebie słowotok.

Nieco oszołomiona Joanna zawróciła i nacisnęła klamkę. Kiedy tylko znalazła się w przedpokoju, zalał ją potok słów. Słuchała, przy okazji dziękując w duchu, że mama Bartosza jednak sprawdziła, kto dzwonił. Dopiero by zrobiła -głupstwo.

— Dał mi swój telefon, ale zapomniał odblokować. Miałam do ciebie zadzwonić, bo on z tym psem swoim. No ale nie mogłam, bo nie miałam numeru. A on z nim siedzi i ma kroplówki. Znaczy pies je ma, oczywiście. Ale Bartek by mnie zabił, gdybyś nie przyjechała. On dopiero wieczorem powinien tu być — paplała pani Olszak, a Joanna coraz szerzej otwierała oczy ze zdumienia. Nic nie rozumiała. — Pewnie powiesz, że mógł od kogoś zadzwonić, ale wiesz, jak się te numery w stresie pamięta. Ojciec znowu w delegacji i ja go szybko z tym jego psem wiozłam. Znaczy Bartka, nie ojca wiozłam, bo trzeba było migiem. No ale dobrze, że jesteś, chodź do pokoju.

— Pani Doroto, ja nic nie rozumiem — ośmieliła się wtrącić dziewczyna, widząc, że kobieta szykuje się do kolejnej przemowy. — Co się stało? Czemu Rus ma kroplówki?

— Ach no tak, ja gadam jak nakręcona, a ty nic nie wiesz! — wykrzyknęła Olszakowa, siadając w fotelu i załamując ręce. Zaraz zresztą wstała, proponując Joannie przejście do kuchni na herbatę. — To ja zacznę po kolei. Rus zaczął nagle wymiotować, miał biegunkę. Podejrzewają, że się czymś zaraził albo zatruł. Nie wiadomo. Jechaliśmy z nim jak najszybciej do weterynarza. I Bartosz musiał z nim zostać podczas kroplówek, bo nie mogli go uspić, a bez niego Rus był nie do opanowania. I zostawił w domu swój telefon, znaczy Bartek, nie Rus, a mnie kazał, żebym do ciebie zadzwoniła. Nie pytaj mnie, dlaczego sam nie zadzwonił, choćby od tego weterynarza, sama się zaczęłam nad tym zastanawiać, dopiero jak się okazało, że owszem, telefon mam, ale nie znam hasła. Bartuś był chyba zaaferowany psem. Stwierdziłam, że może przyjedziesz, więc wołałam nie ruszać się z domu. A tam do nich, do lekarzy, też dzwoniłam, ale mają telefon wyłączony, to pewnie Bartek też nie dzwonił, bo nie mógł. Nie gniewasz się na niego, prawda? — wyjaśniała prędko i chaotycznie, ale tym razem Joanna zdołała poskładać sobie w głowie całą historię.

— Nie, skąd... — Pokręciła głową w odpowiedzi na ostatnie pytanie Olszakowej. — Po prostu się martwiłam i przyjechałam — odparła słabo, postanawiając nie wtajemniczać mamy Bartka w szczegóły.

— Chwała Bogu, że z ciebie taka dobra i mądra istota jest — ucieszyła się szczerze pani Dorota.

— No pewnie, że dobra. — To Bartosz stanął właśnie w progu kuchni. Zaszuchana w rewelacje jego mamy, Joanna nie zauważyła, kiedy przyszedł. — I mądra. W przeciwieństwie do mnie — dodał, przytulając ją mocno. — Dziękuję, że przyjechałaś.

Widać było, że dosłownie pada z nóg. Na bladej twarzy rysowały się wyraźnie cienie pod oczami. Nawet głos miał zmęczony — niski i zachrypnięty. Joanna troskliwie zmierzwiła włosy Bartka i pogłaskała jego zarośnięty policzek.

— Jak Rus? — spytały jednocześnie obie panie.

— Wyjdzie z tego. Cała noc kroplówek i jeszcze zabieg mu robili rano. Zaniósłem go do siebie, do kojca, bo przecież świra dostawał przy weterynarzu. Może teraz pośpi.

— To chodź, ty też się połóżysz — zarządziła Joanna, odkładając na później wyjaśnienie sprawy telefonu. „Zresztą to teraz zupełnie nieważne” — stwierdziła w duchu.

— Super wyszło! — pochwalił wszystkich Baliński. — Marysia będzie zachwycona, bardzo wam dziękuję. A z tym bannerem to fantastyczny pomysł, sam bym tego nie wymyślił — mówiąc, uśmiechnął się szeroko, zadowolony z efektów wspólnej pracy.

Janek rozejrzał się po pomieszczeniu, mimowolnie szukając wzrokiem Długockiego. Krzysiek pracował na równi z innymi i mało się odzywał, ale mimo wszystko jego obecność nie była zbyt komfortowa dla Wiktorskiego. Panu Ryszardowi odpowiedziały uśmiechy ekipy zgodnie zjadającej pizzę, tylko Długi chyłkiem zbierał się do wyjścia. Janek nie miał ochoty go zatrzymać, podobnie zresztą jak Baliński i jego ojczym, którzy odprowadzili chłopaka czujnymi spojrzeniami. Poza nimi chyba nikt nie zauważył wyjścia Krzysztofa.

Tymczasem Ryszard nalał sobie kawy do kubka i z kawałkiem pizzy usiadł obok Jaśka, który ucieszył się, bo polubił tego konkretnego i miłego mężczyznę. Chwilę rozmawiali o technologii wypieków, a potem Baliński powiedział coś, co Janka szczególnie zainteresowało.

— Wiesz, chodziłem z twoją mamą do liceum. Bardzo mi przykro, że nie żyje.

— Chłopak mały był, nie pamięta wiele — wtrącił Wiktorski siedzący po drugiej stronie. — Dobra z Janinki żonka była.

— A jak się pan zorientował? — Jasiek był dociekliwy, bo przecież nigdy nie wspominał o swojej matce nawet pani Marii, której często pomagał.

— Jesteś do niej bardzo podobny. Twoja mama była piękną kobietą, o bardzo charakterystycznej urodzie. To w ogóle niesamowity przypadek, że się spotkałiśmy, bo ja zaraz po maturze wyjechałem z rodzicami z Warszawy i straciłem kontakt z Janką. Nawet nie wiedziałem, że ma syna — wyjaśnił Baliński.

Janek przyglądał mu się uważnie, podczas gdy Ryszard opowiadał. W oczach mężczyzny widział szczerą i pewien smutek. Był ciekawy, co łączyło go z jego matką. Może mógłby o niej opowiedzieć? Miał tak mało wspomnień, a ojczym niewiele mówił. Zaproponował, że pokaże, gdzie na cmentarzu jest jej grób. Dariusz Wiktorski pokiwał głową, że to dobry pomysł. On też obserwował Balińskiego, a po chwili poprosił, żeby wyszli na zewnątrz. Na papierosa, jak powiedział. Janecki też postanowił już iść, zabierając ze sobą pozostałych członków ekipy sprzątajacej. Wuefista przypomniał jeszcze o jutrzejszym treningu i Jasiek został w lokalu sam. Prawie.

— Co to za historia? — Julka przesiadła się na miejsce obok. — Jakaś tajemnica? Jak myślisz, czemu Długi przyszedł? — Zarzuciła go pytaniami, jakby nie mogła się zdecydować, który z tematów bardziej ją intryguje.

— Nie mam pojęcia. — Chłopak wzruszył ramionami. — Ale chyba dobrze, że przyszedł?

— Pewnie! I podałeś mu rękę. Klasa! — pochwaliła.

— Lepiej posprzątam po jedzeniu. — Jasiek nagle poderwał się z krzesła i zaczął zbierać talerze. Nie czuł się dobrze w takich rozmowach, bo nie miał pojęcia, co mógłby odpowiedzieć. Julia też nie kontynuowała tematu. Pracowali zgodnie i w milczeniu, wkładając naczynia do zmywarki.

— Dzieciaki, zostawcie to, dokończę później. — Baliński pojawił się w wejściu.

— Jaśko, ja do domu już pójde, a ty pana Ryśka na grób zaprowadź. — Wiktorski tylko zajrzał do środka i machnął Jankowi ręką.

— Dobrze, ojciec.

Poszli w trójkę, bo Julka zdecydowała się im towarzyszyć. Nie spieszyli się. Popołudnie było dość ciepłe, w powietrzu unosił się nieśmiały zapach wiosny wyzierającej z dopiero co zmoczonej deszczem ziemi. Kilkadziesiąt metrów przed sobą widzieli sylwetkę ojczyma Janka, który mijał właśnie sklep Sołtysika. Za nim na ulicę wybiegł inny mężczyzna i Jasiek rozpoznał ojca Długiego. Krzyczał niezrozumiale, bełkotliwie. Coś o winie Wiktorskiego, o pacy. Niewiele dało się zrozumieć. Stał przed Wiktorskim i wymachiwał rękami.

— A on nie był w areszcie? — zdziwiła się Julka.

— Widocznie już go wypuścili — mruknął Baliński.

— I zdążył się uchlać — dodał ponuro Janek.

Ogarnął go nagle strach, okropne przeczucie, że dzieje się coś złego. W dłoni Długockiego nagle coś zamigotało. Zamierzył się drugą ręką, Wiktorski odskoczył, ale napastnik był na to przygotowany, ruszył za nim. Zaczęła się szarpanina.

— Zostańcie tu — rzucił Ryszard i puścił się biegiem w stronę walczących.

Chłopak i tak był jak sparaliżowany. Drżał, aż objął się ramionami. „Proszę, nie” — powtórzył znaną sobie mantrę. „Proszę, proszę, proszę, nie” — szeptał.

Tamci upadli. Długocki usiadł pierwszy, znowu się zamachnął, ponownie coś złowrogo błysnęło. „Butelka albo nóż” — pomyślał Jasiek. Mężczyźni tarzali się po ziemi, trudno było nawet odróżnić, kto zadaje ciosy. Błysk światła odbił się jeszcze kilka razy, ktoś krzyknął.

Potem dobiegł tam Baliński. Rozdzielił walczących, odkopnął coś, co wypadło któremuś z nich z ręki. Długocki nie wstał, leżał bez ruchu. Wiktorski siedział na chodniku, trzymając obie dłonie przy oku. Spomiędzy palców ciekła krew. Janek usiadł wprost na ziemi, skulił się, zakrył głowę rękami. „Proszę, nie” — mamrotał, kiwając się w przód i w tył.

Nie czuł, jak obejmuje go Julka, nie słyszał, co dziewczyna mówi. Nie zareagował na sygnały policyjnego wozu i karetki. Strach zagarnął go całkowicie i niepodzielnie. Schował się w nim, z daleka od złych widoków, od podejrzeń, od bólu. Nie chciał otwierać oczu, nie chciał słyszeć, nie teraz. „Proszę, nie” — powtarzał uparcie, nie wierząc, że to cokolwiek pomoże.

Maria spojrzała na zegarek i ziewnęła. Senność powoli przymykała jej powieki, otulała głowę miękką watą. Ryszard się spóźniał. Oczywiście uprzedził w krótkiej wiadomości, że nie da rady przyjechać o umówionej godzinie i przeprosza. Hanna ponarzekła trochę, że lasagne wystygnie, ale Maria zapewniła ją, że nic się nie stanie, jak spóźnialski zje odgrzewane. Nie miała wątpliwości, że Balińskiego mogło zatrzymać tylko coś naprawdę ważnego, i przeczuwała, że będzie chciał o tym porozmawiać. Dlatego walczyła ze snem, który powoli, ale systematycznie brał ją w swoje władanie, i przegrywała nierówne zmagania, coraz wygodniej układając się na miękkiej kanapie w salonie. Ogień rozpalony w kominku też nie ułatwiał jej zadania.

Pewnie zapadła w krótką drzemkę, bo z półsnu wyrwał ją lekki dotyk na policzku. Brata i bratowej nie było w pokoju. Ryszard przysiadł obok. Pewnie go wpuścili i z jakiegoś powodu postanowili zostawić ich samych. Zrozumiała dlaczego, gdy tylko zobaczyła wyraz twarzy swojego mężczyzny. Od razu zwróciła uwagę, jak bardzo jest blady. Zaciśnięte bólem szczęki rysowały ostre linie na policzkach. Aż usiadła. Na pewno wydarzyło się coś okropnego. Złe przecucie ponownie szarpnęło jej sercem tak mocno, jakby miało zatrzymać jego rytm.

— Rysiu? Co się stało? — szepnęła miękko.

Odruchowo wyciągnęła ramiona i przyciągnęła głowę mężczyzny tak, żeby położył ją na jej kolanach. Wplotła palce w jasne włosy. Nie zaprotestował, przyjął pieśczętę z wdzięcznością. Maria go nie ponaglała. Wolną od gipsu ręką uspokajająco głaskała Ryszarda po włosach i czekała, aż sam zacznie mówić.

— Wiktorski... ojczym Jaśka... — zaczął niepewnie chrapliwym głosem. — On... on jest w szpitalu. A ten drugi facet... on nie żyje — dokończył z trudem.

— O Boże... Jak to nie żyje? — Maria przyłożyła dłoń do ust. — Jak to? Co się stało? A Jasio?

— Tego Długaszewskiego...

— Długockiego — poprawiła odruchowo.

— Długockiego wypuścili z aresztu. Zaatakował Wiktorskiego, miał nóż. Bili się. Wiktorski dostał w oko. Musiał się bronić, zabrał mu tę kosę i przypadkiem trafił w brzuch. Długocki zmarł w szpitalu. Próbowali go ratować, ale się nie udało. Mówili, że zbyt duże uszkodzenia wątroby — relacjonował urywanymi zdaniami. — Jaśka zabrali do izby dziecka.

— Jezusie... — Policzki Marii momentalnie zwilgotniały od łez. — To takie okropne. Nie mam słów.

— Widzieliśmy to. Szedłem z Jaśkiem i Julką w stronę cmentarza. Oni byli przed nami. Długocki wypadł na Wiktorskiego ze sklepu. Nie dobiegłem na czas. Nic nie mogłem zrobić. Nie zdążyłem pomóc, zapobiec. — Baliński zaczął się trząść.

— Rysiu, tak mi przykro. To nie twoja wina. — Przytuliła policzek do jego twarzy.

Zamilkli. Ciszę przerywały tylko trzaski palącego się w komiku drewna. Maria nie mogła pozbyć się bolesnej myśli, że mają teraz siebie, a Janek jest sam. Może dostał leki uspokajające, a może przewraca się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Czy rozmawiał z nim psycholog? Czy zostawili go samego? Pytania, na które nie miała odpowiedzi, atakowały raz po raz, jak nienasycone drapieżniki.

Siedzieliby tak jeszcze długo, zastygli w cierpieniu i współczuciu, zakleszczeni w odbierających siły więzach, gdyby nie brat Marii. Andrzej bez słowa przemierzył salon, wyjął z kredensu butelkę koniaku i napełnił dwa kieliszki. Jeden podał siostrze, a drugi Ryszardowi. Po chwili namysłu nalał również sobie. Wypili w milczeniu — mężczyźni jednym haustem, Maria małymi łykami. Alkohol rozgrzewał, palił podniebienie, skupiał myśli.

— Przepraszam, ale słyszałem, co mówiłaś. Cholernie przykra rzecz, taka głupia śmierć — wytłumaczył się Widzyński.

— Nie mieści mi się to w głowie — szepnął Ryszard. Nikt mu nie odpowiedział.

— Połóżcie się spać — poradził im Andrzej.

Posłuchali. Leżeli ciasno objęci, powoli zapadając w sen. Maria zapytała jeszcze, czy zdążył porozmawiać z Wiktorskim. Ryszard jedynie pokiwał głową, jakby nie miał już wystarczająco dużo energii, by wypowiedzieć to głośno.

— Powinnaś zadzwonić do Joasi. I skontaktujemy się z Henrykiem. On jest prawnikiem, doradzi, co można zrobić, jak pomóc Wiktorskiemu. W ogóle musimy także rozwiązać jakiś problem z moim gipsem, bo jak ja będę pizzerię prowadzić? I podpisać twoją umowę powinniśmy jak najszybciej. Mam nadzieję, że pozwolą nam odwiedzić Janka. A pogrzeb? Kto to zorganizuje?

Podczas śniadania Maria, zamiast jeść, nie mogła przestać mówić,

chaotycznie rozważając różne warianty działania, zupełnie jakby chciała zagadać ciszę poprzedniego dnia. Ryszard w milczeniu sączył kawę, Hanna z mężem co jakiś czas to wtrącali coś w monolog Marysi, to zachęcali do jedzenia. Jedno i drugie wypadło równie nieprzekonująco.

W końcu, po drugiej kawie, Baliński ocknął się ze swojego letargu. Łagodnie przytulił Marię i czule ucałował jej czoło. Kobieta umilkła.

— Kochanie, poradzimy sobie jakoś. Przede wszystkim pojedźmy tam. Do domu. Dobrze? — zapytał cicho.

— Dobrze. Pojedziemy do domu — powtórzyła po nim wzruszona.

To jej się podobało. Że tak naturalnie mówił „my” i nazywał miejsce, gdzie byli razem, domem. Nawet jeśli nie miałyby to być układ na dłużej, to była zachwycona tym, co otrzymywała od Ryszarda i tym, co sama mogła mu ofiarować.

Maria odetchnęła. Potrzebowała teraz kogoś zdecydowanego u boku. Ryszard wczoraj był na skraju załamania. Czuła to doskonale, bo sama była w identycznej sytuacji. I bała się, że nie podoła, nie powstrzyma go, a mogła tylko przy nim trwać, jak wczoraj.

Lekki wiatr poruszył firanką, przygnał do środka zimne i wilgotne powietrze. Wiosna budziła się powoli, więc ranki były jeszcze chłodne, jakby wspominały zimowe śniegi. Poruszenie powietrza zbudziło Joannę. Przeciągnęła się w cieplej pościeli, ciesząc się, że czeka ją prawie cała niedziela z Bartoszem. Była zadowolona, że posłuchała Ryszarda i przyjechała, bo wyjaśniła dręczące ją wątpliwości, a wszystko okazało się jej wymysłem.

Otworzyła oczy. Sypialnia Bartka, urządzona minimalistycznie i utrzymana w łagodnych szarościach, tonęła w łagodnym świetle poranka. Chłopaka nie było obok, ale z salonu dobiegał jego cichy głos. Przemawiał do psa, najwyraźniej wrócili ze spaceru. To także cieszyło.

Sięgnęła po porzuconą przy łóżku obszerną koszulę Bartosza i zawinęła się w nią jak w szlafrok. W takim stroju wyrzała z pokoju, chcąc przemknąć do łazienki. Na widok Olszaka pochylonego nad pupilem zmieniła zdanie. Mężczyzna nadal wydawał się zmęczony. Podeszła i przytuliła się do jego pleców. Rus na powitanie machnął ogonem, a Bartek pocałował jej dłoń.

— Hej, słonko. Zobacz, jaki on słaby. — Wskazał na owczarka.

— Ty też — mruknęła, chowając nos w jego koszulkę. Pachniał snem. — Położysz się jeszcze czy chcesz zjeść śniadanie?

— A zrobisz? To nie chcę spać. — Odwrócił się i wziął ją w ramiona.

Roześmiała się, kiedy sięgnął pod koszulę i gorącymi dłońmi przesunął po jej nagim ciele. Przyjemny dreszcz przebiegł po skórze dziewczyny, zostawiając kropeczki gęsiej skórki. Odszukała usta Bartosza i delikatnie przesunęła koniuszkiem języka po jego wargach. Odpowiedział na prowokację gwałtownym

pocałunkiem. Uległa mu chętnie. Chłopak podniósł ją i przeniósł z powrotem do sypialni. Kochali się powoli, inaczej niż w nocy, kiedy pośpiechem chcieli zatrzeć chwile niepewności między nimi. Teraz mieli czas na delectowanie się zapachem i smakiem, na wspólne przeżywanie każdego jęku, każdego uniesienia, na wzajemne wskazówki na drodze do rozkoszy.

Potem Bartek zasnął, wtulony w Joannę, a ona nie chciała się ruszać, żeby go nie obudzić. Mieli przecież czas. Sama też błędziła na granicy jawy i snu, nawet nie zauważyła, kiedy zapadła w sen. Dopiero sygnał telefonu sprawił, że oboje usiedli, gwałtownie wyrwani z drzemki.

— O rany, przepraszam, to mój. — Joanna, zła na siebie, że nie wyciszyła dzwonka, sięgnęła po porzucone na fotelu džinsy i odnalazła aparat.

Dzwoniła Marysia. Wieści o Długockim oraz ojcu rudowłosego Jaśka sprawiły, że Joanna długo nie była w stanie nic powiedzieć. Wreszcie po usilnych prośbach zaniepokojonego Bartosza wyplakała mu swój żal i niedowierzanie. Wszystko w niej buntowało się przeciwko okrutnemu losowi, który stawiał na drodze jej ulubionego ucznia tyle przeszkód. Było jej także szkoda rodziny Długiego i nawet wyrzucała sobie, że mimo wszystko ojca Janka żałowała bardziej. Uspokoila się dopiero po kilku minutach. Bez słowa pomaszerowała do kuchni przygotować jajecznicę ze szczypiorkiem. Nawet nie spytała, czy Bartek ma na taką ochotę.

Pogrzeb ojca Krzysztofa Długockiego nie mógł odbyć się od razu ze względu na procedury związane ze śledztwem. Na uroczystość przybyli niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka. Sprawa tej śmierci wstrząsnęła chyba każdym bez wyjątku i nie było dnia, w którym by o tym nie rozmawiano w szkole, w sklepach czy w kościele. Nikt też nie dopuszczał myśli, że Wiktorski zabił z premedytacją.

Janek, bleśszy niż zwykle, stał przez całą uroczystość wyprostowany jak struna, z zaciśniętymi ustami, ze wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń. Obok niego, jak drugi niemy posąg, trwała Julia Janecka. Ojczym chłopaka nadal przebywał w areszcie i podobno miał tam zostać aż do rozprawy.

Maria patrzyła na tę nietypową scenę i pokazała dojrzałość w wykonaniu drobnej, jasnowłosej nastolatki i czuła wdzięczność, że Jasiek ma taką przyjaciółkę. Ona i Ryszard trzymali się nieco z tyłu, żeby dać niezbędną Jankowi prywatność, ale na tyle blisko, by móc interweniować w wypadku, gdyby coś się działo.

Najtrudniejszy był moment składania kondolencji. Maria widziała, jak chłopak zмага się ze sobą. Gdy przy grobie nie było już prawie nikogo oprócz rodziny Długockiego, ostrożnie podszedł do Krzysztofa.

— Naprawdę mi przykro. — Wyciągnął rękę. Maria bezbłędnie wychwyciła w jego głosie nuty szczerego wzruszenia.

Długi, nie patrząc mu w oczy, krótko ją uściśnął, a wtedy Jasiek prawie

bezgłośnie wyszeptał: „Przepraszam”. Długocki, nadal ze wzrokiem wbitym w ziemię, pobiegł w stronę wyjścia. Za nim, pochlipując, ruszyła matka. Maria wiedziała, z plotek rozprowadzanych przez mieszkańców, że planowali oni wyprawę do rodziny gdzieś pod Krakowem.

Na cmentarzu oprócz niej zostali tylko Janek z Julką oraz Ryszard. Zaoferowali się, że odwiozą chłopaka do ośrodka, w którym musiał przebywać do czasu ustanowienia prawnego opiekuna. Mężczyzna podszedł powoli do stojącej nad świeżym grobem grupki.

Janek prawie się nie odzywał. Przez ostatnie dni nie mówił zupełnie nic. Maria doskonale to rozumiała. Jeszcze pamiętała zbawienną bańkę ciszy, jaką otuliła się po śmierci męża i córki. A przecież ona była dorosła i miała wokół siebie rodzinę. Nagle chłopak postąpił dwa kroki do przodu i przywarł do Balińskiego w rozpaczliwym geście. Zaskoczony Ryszard przytulił Janka, pozwolił mu ukryć twarz przed światem i płakać. Zagryzał tylko wargi i odruchowo gładził rude włosy.

*

Dni mijały nieznośnie wolno. Maria nie mogła się doczekać, kiedy zdejmie gips i będzie mogła zająć się pracą w pizzerii. Gdyby nie pomoc Ryszarda, musiałaby zatrudnić kogoś nieznanego. Baliński zamknął swoje sprawy w Holandii i wprowadził się do mieszkania nad lokalem. Chwilami Maria dziwiła się, jak naturalnie im to przyszło, jak z jednej strony zwyczajnie, a z drugiej niesamowicie wyjątkowo czuje się u jego boku. Ryszard, z natury opiekuńczy, ale i zasadniczy, potrafił zaskakiwać ją romantycznymi gestami. I musiała przyznać, że dobrze jej było, gdy nie zasypiała sama i budziła się w domu, w którymś jest ktoś, kto ją kocha.

Oprócz gipsu ciążyła jej niepewna sytuacja Janka. Ryszard chciał, żeby chłopak jak najszybciej opuścił ośrodek opiekuńczy, gdzie przebywał na czas aresztu Wiktorskiego. Do tego nie było pewności, jaki będzie wyrok sądu. Jednym ze sposobów mogło być udowodnienie, że Ryszard jest biologicznym ojcem Jaśka, i ustanowienie go rodziną zastępczą. Dzisiaj miał spotkanie z prawnikiem, który miał zająć się jego sprawą. Udało mu się umówić w sobotę późnym popołudniem, żeby nie zostawiać Marii samej w pizzerii. Czekala na niego z mieszaniną obaw i nadziei. Wprawdzie z artykułów, które razem wyszukali w internecie, wynikało, że w tym konkretnym przypadku procedura powinna być wyjątkowo prosta, ponieważ chłopiec nie miał żadnych bliskich krewnych, ale Maria obawiała się, że istnieją jakieś przeszkody prawne, z których nie zdawali sobie sprawy.

Wreszcie Baliński wrócił. Widać było, że jest znużony, bo załatwianie formalności zazwyczaj mocno go wyczerpywało. Teraz dodatkowo dużą rolę grały emocje. Maria, przygotowując dwie kawy, obserwowała, jak Ryszard zdejmuje

buty i płaszcz. Miała nadzieję, że mimo zmęczenia ma dobre wieści.

— Zjesz coś? — spytała. — Została sałatka grecka albo mogę zrobić kanapki.

— Może później, nie kłopotz się. Wystarczy kawa. — Z wdzięcznością przyjął od niej kubek.

Usiedli na sofie, w swojej ulubionej pozycji: Marysia oparta bokiem układała stopy na kolanach Ryszarda.

— To czego się dowiedziałeś?

— W większości tego, co sami znaleźliśmy, ale za to on załatwi wszelkie formalności, nie będę się musiał tym zajmować. Najprościej będzie, jeśli wniosę o ustalenie ojcostwa i wystąpię o przyznanie opieki. Oczywiście trzeba zlecić badanie DNA, najlepiej od razu takie protokolarne, czyli w obecności świadków. Tylko... — przerwał nagle i gwałtownie upił spory łyk kawy.

— Nie wiesz, jak na to zareaguje Janek? — domyśliła się Maria.

— Uhm. Nie wiem, co powinienem mu powiedzieć. Poza tym istnieje ryzyko, że jednak on nie jest moim synem, że to tylko zbieg okoliczności. Jego matka wiedziała, że nie miałem nic przeciwko dziecku, a jednak nie szukała ze mną kontaktu.

— Wiesz, nie do końca jej się dziwię. Zważywszy, że najpierw nie miała zamiaru go urodzić — zauważyła Maria.

Ryszard nie odpowiedział. Zamyślony masował jej stopy.

— Po prostu mam wątpliwości, czy powinienem mu mówić, że najpierw nie chciała go urodzić, a potem zmieniła zdanie. Przecież on może uznać, że rzucam oszczerstwa. Chciałbym powiedzieć mu prawdę, ale nie chcę go krzywdzić. Zależy mi na nim, chcę mu pomóc — tłumaczył.

— Rozumiem, kochanie.

I znowu zamilkli. Sączyli ostatnie krople kawy. Z radia dobiegała cicha, łagodna muzyka, za oknem zmierzch ustępował pola nocy. Światła latarni z trudem rozpraszały mleczne pasma mgły snujące się w powietrzu. Maria sięgnęła do wyłącznika i zgasila górne światło, pozwalając, by łagodny półmrok zmiękczył nastrój.

— Po prostu się boję. On nie zna mnie, ja jego... Czy będzie chciał w ogóle ze mną rozmawiać?

— A co było na cmentarzu? — przypomniała Maria, przesiadając się tak, aby przytulić Ryszarda. Oparła głowę na jego ramieniu.

— Chwila słabości. Przypadek... Nie wiem... — westchnął.

— A ja myślę, że nie. Intuicja. Poza tym przecież go odwiedzamy. Nie martw się na zapas, to nie ma sensu.

— Masz rację...

Ktoś przychodził prawie codziennie, jakby bali się spuścić go z oczu choćby

na moment. Rano obowiązkowo wizyta pielęgniarki albo lekarza. Nie starał się nawet rozróżniać tych białych fartuchów. Pilnowali, żeby przychodził na wszystkie posiłki, i odmierzali mu precyzyjnie porcje leków. Janek nie chciał wiedzieć, po co ma brać te pigułki, choć zapewniono go, że ma prawo do informacji. Ale to dla niego były puste słowa. Najpierw zupełnie go to nie obchodziło, potem uznał, że i tak nie otrzyma satysfakcjonującej odpowiedzi.

Po południu pozwalano na wizytę kogoś znajomego. Czasami przychodziła Julia. Siadała obok Jaśka na łóżku i opowiadała, co słyszała w szkole, albo o książce, którą przeczytała. Kilka nawet przyniosła, ale chłopak nie miał ochoty rozpoczynać lektury. Zdarzało się, że przynosiła przygotowane przez siebie pralinki. To było jej najnowsze hobby, więc o każdym smaku potrafiła bardzo zajmująco opowiadać, zanim pozwoliła mu spróbować. Brał z grzeczności lepkie kulki w dwa palce i zanim włożył je do ust, uważnie oglądał, bo każda z nich wyglądała inaczej. Potem długo smakował czekoladową wspaniałość. I nie musiał nic mówić. To były miłe chwile.

Odwiedzali go też nauczyciele — pan Janecki albo pani Joanna. Oni z kolei mówili niewiele, może byli nieco skrępowani. Wuefista zabierał go na krótkie przebieżki, biegali wokół małego parku przez dwa lub trzy kwadransy. To także lubił. Jednostajny ruch mięśni zajmował uwagę, zmęczenie pomagało oderwać się od nieustannych pytań, które zajmowały myśli, kłębiły się niczym stado ponurych ptaków. Pani Joanna z kolei czytała mu książki po angielsku. Zdarzało mu się zapytać o jakieś słowo. To pomagało. Potem wieczorami mógł obracać je w głowie, zapamiętywać, zabierać miejsce złym wspomnieniom.

Była i pani Maria. Ona umiała uśmiechać się tak, że czuł ciepło. I potrafiła także milczeć. Zawsze zostawiła mu jakiś pierożek albo minipizzę, dlatego jej wizyty kojarzyły mu się z aromatycznym zapachem ciasta i sera. Do pani Marii Janek odzywał się sam, nie pytany. Kiedy już posiedzieli w ciszy, chłopakowi zdarzało się opowiadać jej swoje sny. Zawsze pamiętała, czy to nowy, jeszcze nieoswojony sen, czy taki, o którym już rozmawiali. Wymieniali uwagi i znajdowali wytłumaczenia dla motywów, które męczyły go nocami. Potem łatwiej było mu rozmawiać z panią psycholog, dlatego cieszył się, gdy Kowalska przychodziła we wtorki, bo w środy najczęściej miał zajęcia nazywane terapią.

Równie systematycznie pojawiał się u niego pan Ryszard. On także nic nie mówił, przynajmniej nie na pierwszych wizytach. Tylko pytał, czy może wejść, a kiedy Janek kiwał głową, siadał na krześle pod oknem. Początkowo obaj byli zakłopotani, ale w końcu nauczyli się swojej obecności, przestali odczuwać skrępowanie. Cisza sprawiła, że narodziła się między nimi szczególna więź. Wtedy pan Ryszard zaczął opowiadać mu o jego matce. To były proste szkolne historie, o liceum, do którego razem chodzili, o nauczycielach, o znajomych. I tak jak z panią Marysią, Jasiek pewnego dnia zdecydował się przerwać milczenie

i podzielił się z Balińskim swoją opowieścią o szkole. To jeszcze nie były zwierzenia, ale obaj odgadywali, że są coraz bliżej.

Po każdej wizycie Balińskiego Janek czuł, jakby pozbył się części ciężaru, który go dręczył. Zyskiwał wsparcie. Dużo też zmieniło się w jego kontaktach z ojczymem, który systematycznie pisał do niego listy z aresztu. Początkowo chłopak nawet ich nie otwierał, ale któregoś wieczoru coś w nim pękło i płacząc, przeczytał wszystkie. Później siedział długo w nocy, dopóki nie odpisał na każdy. Od tej pory czekał na te kartki, zapisane nierównym, topornym charakterem pisma, nierzadko z błędami ortograficznymi, i starannie kreślił swoje zdania, a im więcej korespondencji wymieniali, tym bardziej wyczekiwał kolejnych, z coraz większą nadzieją. Powoli zaczęło do niego docierać, że nie jest sam. Że nie musi być sam. Odważył się uwierzyć, że los się odmieni.

I wtedy przyszedł dzień, kiedy wydawało mu się, że wszystko się skończy.

Pan Ryszard był wyjątkowo poważny. Usiadł na krześle pod oknem, oparł łokcie na kolanach i zapytał, jak zwykle, czy pogadają, ale kiedy Jasek skinął głową, zamilkł. Ta cisza ciążyła, zatykała gardło. Chłopak poczuł się nieswojo. Wróciła niepewność.

— Pewnie pan wyjeżdża albo coś — rzucił obrażonym tonem, jakby z oskarżeniem.

— Nie. — Zaskoczony Baliński drgnął. — Skąd, wręcz przeciwnie. Mam po prostu trudny temat.

— Aha. — Janek wzruszył ramionami.

— Opowiadałem ci o twojej mamie. Widzisz, my... byliśmy parą — zaczął. — Bardzo mi na niej zależało, ale zaraz po maturze strasznie się pokłóciliśmy.

— Aha — powtórzył. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego pan Ryszard tak się denerwuje.

— Czy zgodziłbyś się, żebym wystąpił do sądu o przyznanie mi opieki nad tobą? Chcę zamieszkać z Marysią, kupić albo zbudować tutaj dom. Chciałbym, żebyś zamieszkał z nami, przynajmniej dopóki twojego ojczyma nie ma. Gdybyś oczywiście ty również tego chciał. Nie musisz od razu mi odpowiadać.

Jasek wstał gwałtownie i zaczął chodzić po pokoju, żeby jakoś uspokoić nerwy. To było zbyt piękne. Przecież tyle razy marzył o takim rozwiązaniu, natychmiast odrzucając je jako nierealne. W ośrodku było okropnie. Nie mógł znieść zamknięcia i kontroli. Gdyby nie odwiedziny, nie miałyby w ogóle kontaktu z normalnym światem. Raz nawet śnił o tym, że prosi pana Ryszarda, żeby zabrał go ze sobą do domu. Jego odpowiedź już mu się nie przyśniła. Teraz bardzo chciał uwierzyć, że to możliwe, ale równie mocno się bał.

— I będzie tak samo jak z ojczymem! — wyrzucił z siebie swoje obawy.

— Co?! — Baliński zupełnie nie rozumiał. — Janku, w żadnym razie nie chcę cię do niczego zmuszać.

— Nie o to chodzi. — Jasiak mimo woli pociągnął nosem, bo nie zatrzymał w porę łez wypełniających mu oczy. — Wtedy, po tym jak mnie pobili, on się zmienił. Przestał pić i w ogóle. A potem była ta bójka i teraz nie wiadomo, ile będzie w więzieniu. I tak jest za każdym razem, jak ma mnie spotkać coś fajnego!

Baliński westchnął.

— Janku, nie znam przyszłości, więc nie jestem w stanie obiecać ci, że wszystko będzie idealnie. Ale mogę przyrzec, że ze wszystkich sił się będę starał.

— Ja też bym się starał — wyszeptał chłopak. — Jakbym z wami mieszkał.

Pan Ryszard wyraźnie się ucieszył, bo aż wstał i go uściskał. Jasiak nic nie powiedział, bo ze wzruszenia zaschło mu w gardle. Zupełnie jak wtedy na cmentarzu, kiedy poczuł, że dłużej nie wytrzyma, że musi się gdzieś schować. Wówczas ten mężczyzna był w pobliżu. Gdzieś zakiełkowała mu myśl, że może to sen, ale odegnał ją szybko, bo nawet jeśli był, to jeszcze trwał, a Janek nie chciał, żeby szybko się kończył.

— Jest jeszcze jedna sprawa związana z twoją mamą — odezwał się Baliński po kilku minutach, kiedy na powrót usiedli na swoich miejscach. — Potem, po tej kłótni, ja wyjechałem z rodzicami za granicę i nie mieliśmy kontaktu. Nie wiedziałem, że się urodziłeś, dopóki się nie spotkaliśmy. A jest prawdopodobieństwo, że jesteś moim synem, ponieważ urodziłeś się niecałe siedem miesięcy po moim wyjeździe. Jeśli byś się oczywiście zgodził, chciałbym wykonać taki test, który to potwierdzi. — Głos mu jeszcze lekko drżał, ale nie zaciskał już tak mocno pięści, jak przy poprzednim pytaniu.

— DNA?

— Tak, DNA. Jeżeli to miałyby być wyniki dla sądu, to pobiera się materiał przy świadkach i spisuje protokół w obecności biegłego sądowego — zaczął tłumaczyć mężczyzna, ale chłopak go nie słuchał. Zacisnął aż do bólu powieki i szczęki. Gdyby to było możliwe, rozpadłby się na milion kawałków, zamienił w pył, żeby odciąć się od kolejnego rozczarowania. To była ta pułapka. Test. Test, który przecież można oblać. Przecież pan Ryszard tylko podejrzewał, że może być jego ojcem. Nagle poczuł dotknięcie na ramieniu. Nawet nie zauważył, że Baliński usiadł obok.

— Janku. Nie musisz się zgadzać. Niezależnie od tego testu chcę, żebyś z nami zamieszkał. — Teraz mówił spokojnie i pewnie. W jego głosie nie było fałszu ani drżenia.

— Naprawdę?

— Tak. Nawet jeśli wykonamy badanie i wynik będzie negatywny, to nic nie zmieni. Będę tylko musiał znaleźć inne argumenty, żeby wystąpić o opiekę nad tobą.

— A jeśli zrobimy test i wyjdzie pozytywnie?

— Będę najszczęśliwszy.

— Dlaczego moja mama nie chciała, żeby pan wiedział, że ma dziecko, że mnie urodziła? — spytał, choć czuł, że nie chce znać odpowiedzi.

— Nie wiem, Janku. Też o tym myślałem, ale chyba nie ma sensu roztrząsać tej sprawy, bo przecież nie poznamy odpowiedzi. Można jedynie gdybać, a to do niczego nie prowadzi.

Chłopak odetchnął. Serce, bijące dotąd jak szalone, powoli się uspokajało. Pan Ryszard go nie zawiodł. Janek postanowił, że ostatni raz zaufa, bo i tak ma niewiele do stracenia.

— Zgadzam się — wyszeptał.

— Był kurier. Mam wyniki. — Ryszard położył na stole kopertę i przez chwilę wpatrywał się w biały prostokąt. Przeczesał palcami włosy i skierował wzrok na Marię. — Pojedziesz ze mną do Janka? Na całe szczęście list przyszedł w momencie, gdy skończyłem ogarniać pizzerię, bo nie wiem, czy inaczej wytrzymałbym do zamknięcia.

— Pojadę. — Kobieta zamknęła program, w którym właśnie skończyła projektować kolejną ulotkę, i odsunęła od siebie laptopa.

Od czasu, kiedy ze względu na gips nie mogła w pełni angażować się w pieczenie i przygotowywanie potraw, więcej uwagi poświęcała działaniom marketingowym i cieszyła się z każdej nowej umiejętności. Teraz też miała ochotę pochwalić się Ryškowi efektami swojej pracy, ale uznała, że sprawa jego ewentualnego ojcostwa jest ważniejsza. Dlatego wstała i zaczęła szykować się do wyjścia.

— Zdradzisz mi, jaki jest wynik? — zagadnęła.

— Nie zaglądałem. — Baliński krążył od drzwi do okna, wyraźnie podenerwowany. — Uznałem, że on ma prawo zobaczyć je pierwszy.

— Jesteś cudowny. — Maria stanęła przed nim, objęła go w pasie i skłoniła do przytulenia. Przez chwilę wsłuchiwała się w mocne bicie jego serca.

— Raczej tchórzliwy — westchnął Ryszard. — Może nie powinienem tym obarczać młodego?

— Nie wiem, może daj mu wybór? Ja bym chyba tak zrobiła.

— Zdecydowanie zbyt często jestem zmuszony przyznawać ci rację — wymruczał w jej ucho. Maria uwielbiała słodkie drżenie, jakie wówczas przenikało całe jej ciało. Wiedziała jednak, że teraz muszą się skupić na wizycie u Janka, więc z zalem oderwała się od mężczyzny.

— To chodź, jak teraz wyjedziemy, to zdążymy jeszcze przed ich kolacją.

Wieczór był ciepły. W zaledwie kilka dni wiosna dała o sobie znać z całą mocą. Wszędzie panoszyły się rozkwitające pąki, a zieleń aż biła w oczy, nieprzywykłe po zimowej szarości do soczystych kolorów. Janka znaleźli na ławce w miniparku, który znajdował się przy ośrodku. Po stroju widać było, że właśnie skończył trening. Ucieszył się na ich widok.

— Nie chcę sam tego otwierać — zdecydował, kiedy Ryszard po krótkim wyjaśnieniu podał mu kopertę. Maria opiekuńczo pogładziła jego rude loki. Niedawno je podcinał i teraz niesfornie rozsypywały mu się na czole.

— Otworzę i podam wam kartkę, przeczytacie razem — doradziła.

Po chwili wszystko było jasne. Wzruszona Maria patrzyła z uśmiechem, jak Ryszard przytula Janka. „To mój syn” — wyszeptał do niej bezgłośnie, a w jego oczach dostrzegła ulgę i szczęście.

* * *

To będzie chyba najpiękniejszy dzień w całym moim dotychczasowym życiu. Patrząc na moją przyszłą żonę i nie mogę się nadziwić, jaka jest piękna. Zachwygam się tak zresztą każdego dnia, od momentu kiedy się poznaliśmy. Może to naiwne, ale zacząłem wierzyć, że wszystko zdarza się z jakiegoś powodu. Nawet jeśli wydaje się jedynie przypadkiem. Tamtego dnia byłem bankrutem dosłownie i w przenośni. Straciłem wszystkie oszczędności, a kobieta, która była moją narzeczoną, rzuciła mi w twarz wynikami testu, jasno świadczącymi, że nie jestem ojcem jej dziecka. I pomyśleć, że gdyby nie piec do pizzy, nigdy nie trafiłbym do tego miasteczka, nie poznał Marysi i nie odnalazł syna.

Tak, jestem podekscytowany jak nastolatek przed pierwszą rozbieraną randką, ale dziś taki właśnie chcę być. Odczuwać czystą radość, cieszyć się każdą chwilą naszego wyjątkowego dnia. Marysia patrzy na mnie łagodnie. Uśmiech rozświetla całą jej twarz. Delikatnie układam dłonie na policzkach mojej ukochanej, samymi opuszkami kciuków gładzę jej jedwabistą skórę. Maria żartuje, że zetrę makijaż. Nie odpowiadam, tylko całuję ją prosto w usta. Ktoś komentuje, żebym poczekał na ślub, i śmiejemy się wszyscy.

Jeszcze raz się jej przyglądam, bo w tym oświetleniu spódnica mojej panny młodej mieni się lekko, jakby obsypał ją gwiazdny pył. Marysia nie chciała białej, długiej sukni. Włożyła taką z gorsetem w kolorze écru, z jasnoszarym dołem ze srebrnymi drobinkami. Na głowie ma mały kapelusz, na który namówiła ją bratowa, bo podobno tak będzie bardzo stylowo. Oczywiście dla mnie nie ma to znaczenia, ale doceniam, że wygląda tak wspaniale w dniu naszego święta. Mój garnitur oczywiście pasuje do stroju Marysi, zdałem się w tej kwestii na nieocenioną Hannę.

Nasi najważniejsi goście i świadkowie czekają z nami na zewnątrz kościoła. Wszyscy ubrani odświętnie i uśmiechnięci. Są moi rodzice. Jest brat Marysi z żoną i synem, jest Joasia ze swoim chłopakiem, Janeccy z Julką i oczywiście mój syn Janek, który ma za zadanie podać nam w czasie ceremonii obrączki. I jego ojczym. Na szczęście został niewinniony i po rozprawie mógł wyjść z aresztu. Z rozmów z Jaśkiem wiem, że Wiktorski przestał pić i stara się odbudować kontakt z chłopcem. To też jest jedna z tych rzeczy, które czynią ten dzień radosnym.

Ciepły, sierpniowy wieczór rozjaśniają pergaminowe chińskie latarnie rozstawione wzdłuż drogi. Widziałem zachwyty na twarzy Marii, kiedy prowadziłem ją do wejścia, i w duchu cieszę się, że to nie koniec niespodzianek.

Wreszcie wychodzi do nas kapłan i tradycyjnie pyta, po co przyszliśmy. Zawsze mnie bawił ten element ceremonii, ale teraz momentalnie poważnieję, aż dziw, że nie mówię z chrypą, takie mam ściśnięte gardło. Wchodzimy do środka. Tutaj również półmrok rozświetlają jedynie światła świec ustawionych w długie

szpalery niemal wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Muszę przyznać, że jestem zadowolony z efektu. Migotliwe płomyki wydobywają ciepłe błyski z witraży, kładą poblask na złotych elementach dekoracji. Spoglądam na Marysię — mruga i dostrzegam, że ma wilgotne oczy. Ściskam jej dłoń i posyłam całusa w powietrze. W tym samym momencie rozlega się śpiew Joanny. Dziewczyna ma piękny głos, aż oboje zwalniamy kroku zasłuchani i zachwyceni.

Rozpoczyna się nasza msza ślubna. Chłonę każde słowo i każdy obraz, zapisuję je głęboko w pamięci, żeby nie uronić ani jednej chwili. Wszystko jest ważne. Każde załamanie głosu, srebrna łza na policzku Marysi, piękne kazanie, które wygłasza ksiądz wikariusz. Czuję, jak wraz z przysięgą małżeńską rozlewa się we mnie niesamowity spokój i pewność, że przyszłość będzie dla nas łaskawa, zupełnie jakbym dostał zapewnienie o opiece, jaką nas otoczy Bóg. Marysia uśmiecha się do mnie najpiękniejszym uśmiechem. Odgarnia włosy, a ja biorę ją w ramiona i całuję.

Kończy się liturgia i, już jako małżeństwo, przy dźwiękach *Ave Maria* opuszczamy kościół. Spada na nas deszcz białego i srebrzystego konfetti, a w górę, niczym zbłąkane gwiazdy, wlatują helowe balony z przywiązanymi migoczącymi ledowymi lampkami. Nie byłem pewien, jak to wyjdzie, ale efekt jest niesamowity. Zauroczeni patrzymy, jak szybują. Marysia ściska moje palce, a drugą dłonią ociera oczy. Wszyscy klaszczą, strzelają korki od szampanów i wznosimy toast prosto w rozświetloną noc.

A potem moja żona obejmuje mnie mocno za szyję i szepcze mi do ucha dwa słowa, które cudownie dopełniają tę magiczną chwilę i są naszym najpiękniejszym prezentem ślubnym. Bardzo się cieszę, że zaczekała z nowiną aż do teraz. Przytulałam ją mocno i kołyszę lekko bez słowa, bo nie jestem w stanie nic wykrztusić ze ściśniętego gardła. Mam wilgotne oczy, ale zupełnie się tego nie wstydzę. To łzy szczęścia i wdzięczności za nas, za miłość, za nasze nienarodzone jeszcze dziecko.

Małgorzata Garkowska

SPOTKAMY SIĘ
PRZYPADKIEM

